PIS A ZIELONY ŁAD, POLSKI ŁAD I KSEF

Czy Czarnkowi uda się odróżnić od Morawieckiego?

Wojna napastnicza Trumpa, czyli rujnowanie prawa międzynarodowego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/673 23–29 MARCA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

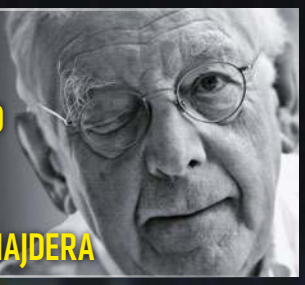

KRZYSZTOF MASŁOŃ PRZEJMUJĄCO O JĄDRZE CIEMNOŚCI ZDZISŁAWA NAJDERA

Synodalna rewolucja wraca do Kościoła w Polsce

TOWARZYSZKA PANIENKA SZOKUJE LEWICĘ

Zagadka Moniki Jaruzelskiej

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

Dziękujemy partnerom za wsparcie w organizacji konferencji

MAŁOPOLSKA

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

eprasa.pl 5b4182b876

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pod okupacją Izraela?

Powiedzieć, że Stany Zjednoczone zaatakowały Iran w sposób lekkomyślny, to nic nie powiedzieć. Im więcej wiadomo – a w miarę upływu czasu nasza wiedza rośnie – o kulisach podjęcia decyzji, która może doprowadzić do największego globalnego kryzysu gospodarczego i do wzrostu napięcia na świecie od kilkudziesięciu lat, tym bardziej włosy jeżą się na głowie. Wszystko wskazuje bowiem na to, że prezydent Donald Trump postanowił zaatakować Iran, podając fałszywe przesłanki i nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami.

Nie wziął pod uwagę najbardziej oczywistego i najbardziej przewidywalnego scenariusza, który dokładnie realizuje się na naszych oczach – powolnego grzęźnięcia Ameryki w przedłużającej się wojnie. Gorzej, że robiąc dobrą minę do złej gry, wciąż zmienia przekaz i popada w sprzeczności. Dla zewnętrznego obserwatora, nawet życzliwie nastawionego do USA, wnioski nasuwają się same: Stany Zjednoczone przestają być godnym zaufania i stabilnym partnerem, stają się, przeciwnie, mocarstwem nieobliczalnym, kapryśnym, humorzastym, kierującym się widzimisię i idiosynkrazją przywódcy. A przede wszystkim mocarstwem niesuwerennym.

Wszystko wskazuje bowiem na to, że – jak to powiedziała w jednej z rozmów na YouTube pani Carrie Prejean Boller, przez lata twarda zwolenniczka Donalda Trumpa (w zeszłym roku prezydent nominował ją do Komisji do spraw Obrony Wolności Religijnej, a dwa tygodnie temu została z niej bez podania przyczyn usunięta) – Stany Zjednoczone po prostu realizują politykę Izraela. Sama Boller nie gryzła się w język i wręcz powiedziała o okupacji USA przez Izrael. Problem polega na tym, że trudno uznać te słowa za przejaw publicystycznej przesady.

Dokładnie to samo stwierdził dyrektor Narodowego Centrum Kontrterroryzmu USA Joe Kent, który w związku z tym podał się do dymisji. „Nie mogę z czystym sumieniem poprzeć trwającej wojny w Iranie" – napisał. I dodał: „Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla naszego kraju i jest oczywiste, że rozpoczęliśmy tę wojnę pod naciskiem Izraela i jego potężnego amerykańskiego lobby".

To wyjątkowo ważne słowa. Po pierwsze, Kent jest najwyższym rangą amerykańskim urzędnikiem, który od kilkudziesięciu lat podał się do dymisji na znak protestu przeciw polityce swojego własnego prezydenta. Po drugie, inaczej niż w przypadku publicystów czy analityków miał on z pewnością dostęp do kluczowych informacji wywiadowczych – bezpośrednio podlegał szefowej wywiadu USA Tulsi Gabbard i odpowiadał za ochronę Stanów Zjednoczonych przed atakiem terrorystów. Musiał mieć zatem odpowiednią do tego wiedzę.

Stwierdzenie, że „Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla naszego kraju", ma też potencjalnie niebezpieczne skutki dla samego Donalda Trumpa. Oznacza przecież, że prezydent okłamał opinię publiczną, gdy uzasadniając atak na Iran, jako pierwszy powód wymienił właśnie rzekome zagrożenie. Jeśli teraz zaprzecza temu jego własny szef Centrum Kontrterroryzmu, to sam prezydent rychło znajdzie się w poważnych opałach.

Po trzecie, warto wspomnieć, że sam Kent był wielokrotnie wyróżniany za swoją odwagę, brał udział w licznych operacjach antyterrorystycznych USA na Bliskim Wschodzie oraz nadzorował je i to właśnie tam, konkretnie w Syrii, zginęła kilka lat temu w zamachu terrorystycznym jego żona. Z każdego punktu widzenia zatem słowa te są nie tylko niezwykle mocnym, lecz także wiarygodnym świadectwem obciążającym Donalda Trumpa.

Co więcej, dokładnie to samo wynika z ustaleń brytyjskiego „Guardiana", który powołuje się na brytyjskiego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Jonathana Powella, który bezpośrednio uczestniczył w negocjacjach w Genewie. Dyplomata ocenił, że oferta złożona przez Teheran w sprawie irańskiego programu nuklearnego była „na tyle znacząca, że mogłaby zapobiec gwałtownemu wybuchowi wojny". Iran miał zgodzić się na zmniejszenie zapasów wysoko wzbogaconego uranu pod nadzorem MAEA. Teheran zaproponował trzy- lub pięcioletnią przerwę w procesie krajowego wzbogacania uranu. Iran złożył również ofertę dającą USA szansę udziału w przyszłym cywilnym programie nuklearnym. W zamian za to zażądał zniesienia ok. 80 proc. sankcji gospodarczych.

Jak to zatem możliwe, że do wojny doszło, skoro zarówno brytyjski dyplomata, jak i wcześniej minister spraw zagranicznych Omanu byli pewni, że Iran poszedł na bardzo dalekie i wystarczające ustępstwa? Jest tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Podczas negocjacji w Genewie stronę amerykańską reprezentowali specjalny wysłannik prezydenta USA Steve Witkoff oraz zięć Donalda Trumpa Jared Kushner. Otóż – jak wynika z wypowiedzi dyplomatów, na których oparł się „Guardian" – doradcy Donalda Trumpa mieli działać jak „izraelskie aktywa". Obaj panowie utrzymują bardzo bliskie relacje z premierem Izraela Beniaminem Netanjahu. Izrael zaś konsekwentnie dąży do wojny z Iranem, w którym to państwie upatruje niebezpieczeństwa dla swojej dominacji od co najmniej 30 lat.

Wszystko to razem brzmi bardzo, bardzo źle. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

TEMAT TYGODNIA

18 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
TOWARZYSZKA PANIENKA SZOKUJE LEWICĘ
Zagadka Moniki Jaruzelskiej

PHALS 2026

12 KAROL GAC
WZMACNIAĆ WSPÓŁPRACĘ
Liderzy biznesu, polityki, samorządów i mediów spotkali się w Krakowie

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
CZY CZARNKOWI UDA SIĘ ODRÓŻNIĆ OD MORAWIECKIEGO?
PiS a Zielony Ład, Polski Ład i KSeF

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLEXIT, NAPRAWDĘ

28 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
NIESPEŁNIONE OBIETNICE UE

31 PIOTR SEMKA
SHOWMAN WRACA DO ŁODZI

34 RADOSŁAW WOJTAS
Z RĘKI DO RĘKI. CORAZ CZĘŚCIEJ KUPUJEMY UŻYWANE RZECZY

KULTURA

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JĄDRO CIEMNOŚCI ZDZISŁAWA NAJDERA
Conradysta i wywrotowiec

40 PIOTR GOCIEK
KOSMICZNI BRACIA

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TUSK OBOWIĄZKOWY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 ADAM WIELOMSKI
WOJNA NAPASTNICZA TRUMPA
Czy na naszych oczach umiera Prawo Narodów?

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
SYNODALNA REWOLUCJA WRACA DO KOŚCIOŁA W POLSCE

54 MARCIN KRASKA
PIENIĄDZE NIE WYSTARCZĄ

56 FILIP MEMCHES
CZY HITLER NAPRAWDĘ BYŁ „LEWAKIEM"?

HISTORIA

58 ROZMOWA Z JACKIEM PIEKARĄ
SKANSEN PONUREJ PRZESZŁOŚCI
Wyprawa do wnętrza PRL

60 RAFAŁ ŁATKA
POWRÓT ANTYKLERYKAŁA

ŚWIAT

64 JACEK PRZYBYLSKI
GROŹNA ZABAWA ZAPAŁKAMI
Wojna wchodzi w nową fazę

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
NAUKA OFIARĄ WOJNY

70 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM ALCOCEREM
FENTANYLOWA SIEĆ „EL MENCHO"

EKONOMIA

72 ROZMOWA Z PROF. WITOLDEM MODZELEWSKIM
JEDYNĄ SZANSĄ JEST KSEF UCHYLIĆ LUB ZLEKCEWAŻYĆ
W Polsce nie ma żadnej „polityki podatkowej"

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 5b4182b876

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Marcin Wziontek/Agencja SE/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Cenne komentarze

Dzień dobry,
czekam na komentarz Pawła Lisickiego na temat weta Prezydenta i późniejszej nagonki medialnej na Niego. Dlaczego? Bo komentarze Pana Pawła są najbardziej wyważone i rzetelne... Lubię też komentarze: Ziemkiewicza, Warzechy, Otoki-Frąckiewicza, Stanowskiego czy Mazurka, ale Lisicki jest na topie tej listy.

Uświadomiłem sobie to ostatnio i dzielę się.

Pozdrawiam serdecznie
Andrzej Walter z Gliwic

„Zniewolenie biznesu i ludzi", Tomasz Cukiernik, „DRz" 12/2025

Szanowna Redakcjo,
po lekturze tekstu o Zielonym Ładzie poczułem się jak pasażer autobusu, który z przerażeniem obserwuje, że kierowca nie tylko zasnął za kierownicą, lecz także jeszcze ktoś z tyłu krzyczy: „Szybciej! Na pewno się uda!". I to chyba najlepiej oddaje obecny stan europejskiej polityki klimatycznej.

Kiedy Donald Trump mówi, że to wszystko przypomina „zielone oszustwo", można się oburzać na formę, ale coraz trudniej ignorować treść. Bo jeśli coś wygląda jak centralne planowanie, pachnie jak centralne planowanie i kończy się rachunkiem jak z centralnego planowania – to może jednak mamy do czynienia z... centralnym planowaniem?

Najbardziej fascynujące w tym całym przedsięwzięciu jest to, że rachunek ekonomiczny został zastąpiony rachunkiem moralnym. Już nie pytamy: „Czy to działa?", tylko: „Czy to dobrze wygląda w raporcie ESG?". W efekcie dochodzimy do sytuacji, w której państwo dopłaca do zamykania kopalń, dopłaca do energii, dopłaca do rachunków i jeszcze dopłaca do tego, żeby ktoś policzył, ile dopłacamy.

Nie mniej zabawne – choć raczej w stylu czarnego humoru – są kolejne „zachęty" dla obywateli. Zakaz tego, nakaz tamtego, podatek od owego. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy za kilka lat oddychanie powietrzem o niewłaściwym śladzie węglowym będzie wymagało stosownego pozwolenia i opłaty klimatycznej. A jeśli ktoś oddycha zbyt intensywnie – cóż, zawsze można wprowadzić system handlu emisjami dla płuc.

Zresztą logika tych rozwiązań jest godna podziwu. Najpierw podnosimy ceny energii do poziomu, przy którym przemysł zaczyna się zwijać, a potem ogłaszamy program wsparcia dla przemysłu, który zwija się przez wysokie ceny energii. To trochę tak, jakby ktoś podpalał dom, żeby potem móc wystąpić w roli strażaka roku. Przyznam, że konsekwencja godna lepszej sprawy.

Osobny rozdział to przekonanie, że urzędnik – gdzieś w brukselskim gabinecie – wie lepiej od właściciela firmy, czym ta firma powinna się zajmować, jak produkować i czym ogrzewać budynek. Historia zna już kilka takich eksperymentów i – o dziwo – żaden nie zakończył się gospodarczym cudem. Ale najwyraźniej tym razem ma się udać, bo przecież tabelki są kolorowe, a cele ambitne.

Najbardziej niepokojące jest jednak co innego. Pod płaszczykiem troski o klimat przemyca się model, w którym wolność wyboru staje się luksusem. A przecież to właśnie możliwość wyboru – czym jeździmy, jak ogrzewamy dom, co kupujemy – była jednym z fundamentów, na których budowano dobrobyt Zachodu. Dziś coraz częściej słyszymy: „Wybór już został dokonany – za państwa".

Można oczywiście dalej udawać, że wszystko jest pod kontrolą, że rachunki to tylko przejściowa niedogodność, a przemysł „się dostosuje". Ale historia gospodarcza ma tę złośliwą cechę, że nie reaguje na deklaracje, tylko na fakty. A fakty są takie, że coraz więcej krajów – jak choćby Niemcy pod rządami Friedricha Merza – zaczyna się budzić z tego zielonego snu.

Pytanie tylko, czy obudzimy się w porę czy dopiero wtedy, gdy rachunek przyjdzie – i okaże się, że jest płatny natychmiast, bez możliwości odroczenia.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 5b4182b876

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zrób to sam

Ponad miesiąc temu w Polsce uwagę przykuła szczera wypowiedź pani Irene Montero ze skrajnie lewicowej i proemigranckiej partii Podemos w Hiszpanii. Wezwała ona wprost imigrantów do wspólnej obrony Hiszpanii przed rządami prawicy. Zażartowała nawet, że chciałaby, aby w ten sposób ziściła się „etniczna podmiana". Było to pierwsze tak prostolinijne przyznanie się działacza lewicy europejskiej do postrzegania imigrantów jako czynnika, który trwale będzie zapewniać zwycięstwo wyborcze lewej strony. Wyjaśniło się, dlaczego pani Montero była gorącą zwolenniczką legalizacji pobytu ponad pół miliona obcokrajowców w Hiszpanii, którzy przybyli do tego kraju nielegalnie i nie posiadają żadnych dokumentów.

W kontekście szczerości przedstawicielki partii Podemos warto zwrócić uwagę na przypadek z francuskich wyborów samorządowych, który pokazuje naiwność zachodniej lewicy. Oto w podparyskiej miejscowości Saint-Denis, która składa się już w ponad 50 proc. z imigrantów, doszło do bardzo znaczącego pojedynku wyborczego. Dotychczasowy burmistrz, socjalista Mathieu Hanotin, walczył o reelekcję. Przeciwko niemu Partia Komunistyczna razem z partią Francja Nieujarzmiona skrajnego lewicowca Jeana-Luca Mélenchona wystawiła pana Bally'ego Bagayoko, którego rodzice pochodzą z Mali w Afryce. Pan Bagayoko wygrał już w pierwszej turze, zdobywając 50,9 proc. głosów, a Hanotin – jedynie 31,49 proc. głosów.

Po wygranej pan Bagayoko ogłosił: „Podążamy śladami wszystkich tych, którzy nas poprzedzili, walk robotniczych, ale i wszystkich tych, którzy opuścili inne kontynenty, aby zbudować społeczeństwo humanistyczne, społeczeństwo antyrasistowskie, społeczeństwo antyimperialistyczne".

W Saint-Denis od 1945 r. zawsze wygrywali komuniści, z wyjątkiem 2020 r., kiedy to raz jeden merostwo przejął socjalista. Ale Hanotin ściągnął na siebie krytykę ze strony imigrantów za wzmocnienie policji miejskiej i za to, że w trakcie wizyty na jednym z osiedli przybył w kamizelce kuloodpornej. Z kolei pan Bagayoko jest reprezentantem coraz silniejszej partii Mélenchona, frakcji czysto już imigranckiej.

Ten nurt zaczyna powoli tworzyć ideologię krytyki „białej lewicy". Do jej przedstawicielek należy Danièle Obono, która wyśmiewa imprezy tradycyjnej francuskiej lewicy jako wydarzenia dla białych, na których imigranci mimo starań wcale nie muszą udawać, że czują się dobrze. Inny reprezentant tego nurtu, pan Aly Diouara, krytykuje, że listy francuskiej lewicy zdominowane są przez „Babtous", jak w slangu przybyszy z Afryki nazywa się obraźliwie białych.

Przypadek Saint-Denis pokazuje, że mając zatem do wyboru swoich i przedstawicieli białej lewicy – imigranci wybierają polityków, którzy są im bliżsi kolorem skóry. Jak trafnie wskazał internetowy obserwator francuskiej sceny politycznej Adam Gwiazda: „Francuska biała lewica chciała zrobić sobie z imigrantów janczarów i wyborcze mięso armatnie. Teraz sama została skancelowana". ©℗

FOT. ADOBE STOCK

KRYZYS PALIWOWY W EUROPIE ŚRODKOWEJ

Rosnące ceny paliwa to niejedyny problem kierowców w naszej części Europy. Coraz więcej państw wprowadza bowiem limity tankowania, aby walczyć z „turystyką paliwową". Na przykład Słowacja zdecydowała o wprowadzeniu nadzwyczajnych przepisów, na mocy których kierowcy z zagranicy zapłacą za paliwo według wyższej stawki niż Słowacy (cenę stanowić ma średnia arytmetyczna cen w Austrii, Czechach i w Polsce). Dodatkowo wprowadzono limit tankowanego paliwa (oprócz baku do pełna można wlać maksymalnie 10 l do kanistra). Podobne ograniczenia wprowadzono już także na Węgrzech i w Słowenii (kierowcy aut osobowych mogą zatankować maksymalnie 30 l). ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dawno, dawno temu, w grodzie Kraka, wskazano nominata do rekomendacji na kandydata do stanowiska premiera z PiS. Gdyby ktoś nie pamiętał, to mąż ów zwał się Przemysław Czarnek. Docierają do nas smakowite szczegóły tego przedsięwzięcia. Podobno autorem przemówienia wygłoszonego przez kandydata był nie kto inny jak Jacek Kurski. Co więcej, nie jest to jedyne wspólne działanie Kury oraz kandydata.

Z doniesień wiewiórek wynika, że Jacek Kurski rozprowadza też kampanię „Promujemy Czarnka". Etap pierwszy – Czarnek w Krakowie – już za nami. Etap drugi – jak najwięcej Czarnka w mediach – trwa. Zakończyć ma się wraz z nastaniem świąt. Po świętach etap trzeci – mniej Czarnka w mediach. Czujemy się podekscytowani. No dobra, nie czujemy się podekscytowani.

Dzwonią do nas ziobryści i dementują. Co? Ano to, jakoby nie byli aż tak bardzo zachwyceni ze wskazania Przemysława Czarnka na nominata do rekomendacji na kandydata do stanowiska premiera z PiS. Ponieważ jesteśmy ludźmi łagodnymi i bezkonfliktowymi, przekazujemy to dementi czytelnikom. Jest oczywiście i drugi powód, dla którego tak czynimy. Jak wiadomo, wierzymy jedynie w zdementowane informacje.

Piekło zamarzło. Otóż widzieliśmy w tramwajach trzaskowskich, to znaczy, pardon, warszawskich, głęboko niesłuszne reklamy. Zachwalały one wstępowanie w szeregi Wojsk Obrony Terytorialnej. Zachodzimy w głowę, cóż to może oznaczać. No bo przecież ustalono już dawno, że WOT to bojówkarze i janczarzy Antoniego Macierewicza. Jak się wzmocnią liczebnie, to, ani chybi, Tuskowi nie odpuszczą. Chyba że Rafciowi Trzaskowskiemu właśnie o to chodzi. W głosowaniu przeciw Donaldowi nie ma szans. A ma za co wyrównywać rachunki. Na przykład za utraconą prezydenturę.

Tymczasem w Ameryce. Za kilka dni w Dallas rozpocznie się konferencja prawaków CPAC USA. Dla tych, co nie pamiętają: Conservative Political Action Conference. Wśród wybierających się na tę ważną imprezę Polaków znajduje się m.in. Waldemar Buda, europoseł PiS. Co ciekawe, ma własny, ukryty cel w tej wyprawie. Będzie mianowicie biegł w biegu maratońskim, gdyż takie ma hobby. Podziwiamy i popieramy.

Szczerze mówiąc, to podziwiamy i popieramy wszystkich z prawej strony zajmujących się w wolnych chwilach bieganiem. Na przykład mało kto wie, że prof. Krzysztof Koehler biega na 100 km. I to w różnych miejscach świata. A prof. Henryk Domański biega przede wszystkim w Polsce, nieopodal domu, ale za to codziennie. Czujemy się zatem nieswojo, jak to kanapowcy. Na swoją obronę mamy fakt, że ku wszystkim bohaterom naszej rubryki często wybiegamy. Myślami.

Są też tacy, którzy preferują jeżdżenie ponad bieganie. Jak się okazuje, do tego grona należy europoseł Bartosz Arłukowicz. Gwiazdor Kołalicji Łobywatelskiej zaskoczył wszystkich, przywożąc do budynku Parlamentu Europejskiego hulajnogę. Po co? Znamy odpowiedź na to pytanie: Otóż aby nią jeździć. Gdzie? Tu też jesteśmy poinformowani: Otóż po korytarzach budynku Parlamentu Europejskiego.

Prawda jest smutna: w Europie nie wszyscy popierają działania ekologiczne i prozdrowotne. Mimo iż hulajnoga z Arłukowiczem nie pozostawiała na korytarzach śladu węglowego (no, chyba że się Bartosz zdyszał), to służby europarlamentu nie wykazały zrozumienia dla jego działań, no i zakazały mu jeżdżenia. W dodatku argumentując w sposób haniebny: że zagraża bezpieczeństwu pieszych. Chcieliśmy odpowiedzieć pytaniem: No i co z tego?

W Krakowie mamy do czynienia z kolejną odsłoną „Martwych dusz" Gogola. Otóż podczas sprawdzenia list podpisów pod wnioskiem o odwołanie włodarza miasta odkryto, że część nazwisk figurujących pod wnioskiem to nieboszczycy. Metoda znana od lat polegająca na złożeniu wizyty na cmentarzu i spisaniu danych osobowych. A ponieważ, jak nam doniesiono, listy dostarczyła Nowa Nadzieja, to poprzestaniemy na skwitowaniu – może i nowa, ale metody stare.

Na mieście poruszenie. Otóż jak donoszą media, do wiatru wystawiony został przez aktorów Krzysztof Zanussi. Tuż przed pierwszym klapsem dwóch aktorów zrezygnowało z ról. Co ciekawe, film ten to nie jest jakieś dzieło PiS-owskie, tylko wybitnie uduchowiona produkcja. Media nie podają nazwisk tych tuzów, ale najczęściej na mieście padają nazwiska Bartosza Bieleni i Andrzeja Seweryna. A także Andrzeja Chyry. Osobiście uważamy, że reżyser zwany z przekąsem Zanudzdzi swoje najlepsze lata ma za sobą, ale wiemy też, że w normalnym kraju producent puściłby zbuntowanych aktorów z torbami. Bo jak mawiał Kazimierz Dejmek – dupa jest od srania, a aktor jest od grania.

Do Sądu Najwyższego weszła pipa. A dokładnie PIP – Państwowa Inspekcja Pracy. Od razu powiedzmy: posypią się mandaty. Otóż pipa szła jak po swoje, wiedząc to, co wiedzieli wszyscy, w Sądzie Najwyższym doszło do masowego łamania prawa pracy. Chodzi o to, że sędziowie oraz inni pracownicy tej instytucji podczas rozpatrywania 30 tys. protestów wyborczych harowali dzień i noc, żeby wyrobić się w terminie. Dodajmy, że gdyby pracowali zgodnie z Kodeksem pracy, to protesty nie zostałyby rozpatrzone do dziś. Nawiasem mówiąc, tak jest przy każdych wyborach. Nie da się jednak ukryć, że każdy kij jest dobry, by pognębić Odchodzącą prezes Manowską. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

PŁYWANIE W KISIELU

Nie rusz naszego, bo zginiesz!

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Nie powiem, żebym współczuł profesorom Safjanowi i Zollowi i innym zawodowym dostarczycielom wykładni prawnych dla kolejnych świństw Tuska – ale z zainteresowaniem patrzę, jakich będą teraz dokonywać fikołków, by wcisnąć widzom TVN24, że w dyscyplinarce dla prokuratora Drelewskiego nie ma żadnego świństwa.

Przypomnijmy – Drelewski, prokurator z wieloletnim doświadczeniem w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej, szczególnie korupcyjnej, rozwikłał międzynarodowy układ łapówkarski wokół Sławomira Nowaka, „złotego chłopca" PO i Tuska, a potem przekuł tę wiedzę w akt oskarżenia. Reakcją oddanych Tuskowi prokuratorów uzurpatorów było odsunięcie go od sprawy i przekazanie jej prokuratorom właściwie politycznie uświadomionym, którzy wypisali wniosek o umorzenie. Jak wiemy, sąd okazał się również sądem „europejskim" i „demokratycznym" i wniosek klepnął na tej podstawie, że na 4 mln zł w gotówce, które miał „złoty chłopiec" poukrywane w meblach, nie znaleziono śladów jego DNA, co dowodzi, że – jak w „Mistrzu i Małgorzacie" – „wrogowie podrzucili".

Już samo w sobie stanowiło to niezły cyrk – i to jeden z wielu, mamy wszak i Grodzkiego, i Wrzosek, i Giertycha, którego, celem umorzenia, tuskowa prokuratura nie wahała się nawet ogłosić oficjalnie debilem, który latami podpisywał kwity swojemu kierowcy i nie zauważył, że tamten wyprowadza za ich pomocą z reprezentowanej przez mecenasa Giertycha spółki 92 mln. A jednak ten cyrk nie wystarczył: Tusk, żeby utrzymać swój gang w posłuchu, musiał pokazać, że tacy prokuratorzy jak Drelewski nie pozostaną bezkarni.

I pokazał: Drelewskiemu wytoczono dyscyplinarkę. Za… przewlekłość postępowania. Niech wszyscy inni prokuratorzy wiedzą, że członków gangu dyktatuska ruszać nie wolno, a kto się ośmieli – zginie.

Nawet dla sorosowej „Rzeczpospolitej", o innych mediach nie mówiąc, to było za dużo. Dlatego niecierpliwie czekam na wykładnię wspomnianych profesorów usługodawców, że Drelewski zasłużył. Ciekawe, co wymyślą. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Uchwała daremna

W sierpniu 2004 r. Sejm przyjął uchwałę ustanawiającą 24 marca Narodowym Dniem Życia. Choć większość miały wtedy proaborcyjne formacje (SLD-UP – 216 mandatów), Marek Jurek, przy rozdrobnieniu prawicy, zdołał przekonać posłów do ustanowienia święta, by uświadamiać Polakom „odpowiedzialność za budowanie kultury życia – zarówno w porządku państwowo-prawnym, jak i w obyczajach, nauczaniu, kulturze i świadomości moralnej narodu".

Tak było 22 lata temu. Od tego czasu polityczna reprezentacja prawicy zawsze już była liczniejsza, a przez trzy kadencje urząd prezydenta sprawowali konserwatyści, natomiast w wymiarze „kultury, obyczajów, w nauczaniu" mamy zdecydowany regres. Największą zapaść obserwujemy jednak „w porządku państwowo-prawnym". Wprowadzone przez rząd Donalda Tuska wytyczne, w tym tzw. przesłanka psychiatryczna, otworzyły praktycznie dostęp do aborcji na życzenie. Tylko w 2024 r. w kraju dokonano 890 „legalnych aborcji", ale statystyki nie ujmują wszystkich zabiegów farmakologicznych. W sąsiedztwie Sejmu działa bezkarnie klinika aborcyjna. Jak widać, ustawę o ochronie życia można zuchwale ignorować, bo przecież do mordu prenatalnego podżegali urzędnicy państwa: Izabela Leszczyna i Adam Bodnar. Jest jeszcze inna cicha praktyka gwałcenia porządku państwowo-prawnego chroniącego życie. To wprowadzone w 2023 r. wytyczne Towarzystwa Internistów Polskich dotyczące terapii daremnej. Bez publicznej debaty, bez konsensusu (poważne zastrzeżenia zgłosili kardiolodzy) opublikowano protokół, który nie sam w sobie, lecz przez brak precyzji umożliwia nadinterpretacje, stając się furtką do „legalnej" eutanazji. Docierające ze szpitali i od rodzin informacje o nadużyciach protokołu TIP są na tyle alarmujące, że konieczna jest nie tylko „ekspercka", lecz także publiczna debata i zatrzymanie śmiercionośnych praktyk. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Dobrze, że nie ma mafii

Teraz będzie nie, że ciekawe, tylko że bardzo ciekawe będzie teraz. Stop. Kiedy już Sejm i Senat przegłosowały pożyczkę SAFE (tę, której nie chcą Niemcy, ale chcą nam ją wcisnąć), kiedy podłożono ją w formie ustawy do podpisu prezydentowi Nawrockiemu, kiedy ponad połowa sondażowanych Polaków miała stwierdzić, że prezydent powinien ją podpisać, kiedy prezydent jej nie podpisał, wtedy… Stop. Biuro Bezpieczeństwa Narodowego ogłosiło, że jest pewien problem, bo nie ma tekstu tej pożyczki, a wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz w czasie wywiadu potwierdził, że tekstu pożyczki nie ma, a jej zapisy są negocjowane. Stop. Jeśli ktoś podpisuje umowę pożyczki, nie znając jej treści, to 1. Jest tak po prostu po ludzku bardzo głupi, 2. Świadomie działa na niekorzyść tych, którzy będą ją spłacać, 3. Musi podpisać, bo jest jak alkoholik, narkoman czy inny uzależnieniec zmuszony po prostu. Stop. Okazuje się, że w nibydemokratycznym państwie przy pomocy mediów, które nie potrafią się zlikwidować, i tych z kapitałem niemieckim można kręcić opinią publiczną jak karuzelą…

Kiedyś to było… Jak prokurator naraził się mafii, znaczy się bandziorom nieźle zorganizowanym, to robili zamach na jego życie albo np. na jego rodzinę. Stop. Tak kiedyś było, ale na szczęście nie mamy już mafii, więc już tak nie jest. Stop. Prokurator Jan Drelewski, który napisał akt oskarżenia przeciw Sławomirowi Tik Tak Nowakowi, został po przejęciu władzy przez znajomego Nowaka o nazwisku Tusk od sprawy Nowaka odsunięty. Stop. Następnie okazało się, że prokurator okręgowy w Warszawie wystąpił o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec prokuratora Drelewskiego. Stop. Zarzucono mu uchybienie godności urzędu i łamanie prawa. Stop. Może należy dodać jakiś artykuł do ustawy Kodeksu karnego: „Oskarżenie kumpli Tuska jest niegodne” i dopisać jakąś sankcję? Stop. Nie upieram się, ale chyba prokuratorom byłoby łatwiej. Stop. A tak swoją drogą, to dobrze, że nie ma już mafii…

Minister Miłosz Motyka w czasie wywiadu z redaktor Kamilą Biedrzycką zgodził się, że Polska nie powinna wysyłać swoich lotniskowców w rejon Bliskiego Wschodu. Stop. Pani redaktor też się zgodziła. Stop. Brawo, zgoda buduje, ale akurat nie lotniskowce… ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BYLE NIE KOŚCIÓŁ

O swoje podejście do religii została zapytana Julia Wieniawa. Aktorka gościła w podcaście influencerki Oliwii Nincevic. Julka wyjaśniła, dlaczego odeszła od Kościoła. – Pochodzę z rodziny wierzącej w Boga, katolickiej, chrześcijańskiej, natomiast ja miałam taki moment odsunięcia się od Kościoła. Nie do końca lubię tę instytucję. Nie podoba mi się, że te kościoły są takie zawsze wielkie, wysokie, całe w złocie. To podejście do człowieka, że ma tylko ciągle żal za grzechy, że to wszystko jest takie zawsze smutne, to mnie odstraszało jako dziecko – opowiada gwiazda, która bardzo chętnie dzieli się na Instagramie kolejnymi remontami własnego M4 (uwierzcie, nie żałuje na nie pieniędzy). Wieniawa przyznaje, że nie

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/DDTVN/EAST NEWS

wszystko w Kościele jest złe. – Z drugiej strony to właśnie ksiądz, który uczył mnie religii, sprawił, że w sumie trochę jestem tu, gdzie jestem. Uczył gry na gitarze, poszłam do niego na parę zajęć i powiedział, że mam ogromny talent wokalny. On mi znalazł szkołę musicalową i mnie tam pchnął, a ta szkoła musicalowa była pierwszą trampoliną do castingu do „Rodzinki.pl" i potem już poszło – zdradziła. W każdą sobotę uczęszczała na próby chóru kościelnego. Dziś jednak 27-latka patrzy na Kościół przez pryzmat „oddalania się od jego pierwotnych założeń". – Kościół wszedł w politykę. To sprawiło, że odsunęłam się, ale nadal wierzyłam i wierzę w Boga. Nie wiem, czy jest to pan w długich włosach z brodą, natomiast wierzę w energię, wierzę, że na pewno coś jest, i śmiem twierdzić, że wszelkie religie typu buddyzm czy wierzenie w Allaha itd. to jest tak naprawdę wiara w tę całą energię, tylko trochę pod inną postacią – wyjaśnia celebrytka. Dalej Wieniawa zdradziła, jak wygląda jej osobista relacja z Bogiem. – Wierzę, że jest ktoś, kto nade mną czuwa, kto mnie prowadzi. To, czego też o mnie na pewno nie wiecie – ja się modlę codziennie przed snem. Nie jest to odmawianie Różańca, ale rozmawiam z moim Bogiem i zawsze zaczynam swoją rozmowę od wdzięczności za to, co mam. Wymieniam wszystko, za co jestem wdzięczna w swoim życiu, a następnie z pokorą i miłością proszę o wsparcie następnego dnia albo żeby coś mi się udało – wyjaśniła w podcaście „Bo chcę wiedzieć". Wszystko, byleby nie Kościół katolicki. Wszystko.

AKCJA REINKARNACJA

Wieniawa nie jest jednak pionierką, a jedynie kontynuatorką „głębokiej" myśli celebryckiej o wierze. Aktorka Grażyna Szapołowska również udzieliła wywiadu na ten temat. Podkreśla, że nie ma w niej obaw przed śmiercią. – Boją się ci, którzy wierzą w piekło, a nabroili w życiu i czują się winni. Dobrzy ludzie nie muszą się bać. Niestety, Kościół robi wszystko, żeby każdy bał się śmierci. Co chwilę straszeni jesteśmy tym, że za nasze grzechy będziemy smażyć się w piekle. Ubolewam nad tym. O ileż lepszy byłby świat, gdyby Kościół skupił się na tym, by uczyć zasad zapisanych w Dekalogu – stwierdziła w rozmowie z Plejadą. Szapołowska wierzy w reinkarnację. Co więcej, wie, co robiła w poprzednich wcieleniach. – Jestem obecnie w swoim dziesiątym wcieleniu, ostatnim. Potem przechodzę do nirwany. W jednym z wcieleń na pewno żyłam w Syrii, w Damaszku. Pamiętam, jak kręciłam tam film „Zagon" z rosyjską ekipą. Chodziłam po wydrążonych w skałach przejściach i czułam się, jakbym znała te miejsca. Później pojechaliśmy do Palmyry. W pewnym momencie powiedziałam, że jestem pewna, że obok nas, w podziemiach, coś jest. Człowiek, który nas oprowadzał, był w szoku. Zapytał, skąd to wiem. Okazało się, że znajduje się tam jeden z najpiękniejszych podziemnych hoteli na świecie. Nie miałam prawa tego wiedzieć, a jednak wiedziałam. Zupełnie tak, jakbym kiedyś tam była – wyznała.

WIELKI POWRÓT Z DUBAJU

Na szczęście polscy influencerzy wracają z Dubaju. Gwiazdy Internetu, które w ZEA zastała wojna, a na początku przekonywały, że wszystko jest OK, dziwnym trafem decydują się na przynajmniej czasowy powrót do ojczyzny. Modelka Marcelina Zawadzka zaledwie parę miesięcy temu zdecydowała się na przeprowadzkę do Dubaju, gdzie zamieszkała ze swoim narzeczonym Maxem Gloecknerem i półtorarocznym synkiem. Niedawno ogłosiła, że wraca do Polski. W Emiratach została rodzina jej partnera. „Maxa brat z trójką dzieci zostali w Dubaju. Proponowaliśmy, by przyjechali z nami do Polski, ale nie chcieli/nie mogli, wiecie oni tam od 10 lat budują swoje życia. Mają dom, pracę [...], a Emily z trójką dzieci byłoby niesamowicie ciężko (niania, którą mają od pięciu lat, niestety nie ma wizy do Europy) [...]. Pomimo wszystko starają się znaleźć jakieś rozwiązanie i przygotować plan B" – napisała influencerka na Instagramie. Zawadzka przyznała też, że naprawdę bała się lotu. „Miałam pietra... Widok był niesamowity – samolot wzniósł się bardzo szybko i po chwili zawracał/kołował nad całym Dubajem i tu... wstrzymałam oddech. Trochę, jakby czas się zatrzymał, trudno opisać to uczucie i ten widok, i ten obecny czas w przestrzeni lotniczej. W momencie, kiedy opuściliśmy tamten region, czułam dużą ulgę" – podsumowała. Influencer mądry po szkodzie? Zero zaskoczenia. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się macie pod koniec Q1? Dla januszy pracujących na tokarkach i w magazynie tłumaczymy: Q1 to kwartał pierwszy, a koniec każdego kwartału to w każdym szanującym się korpo okres rozliczeń. Chociaż nie, to nie jest dobre słowo. „Rozliczenia" kojarzą nam się pisowsko, iż PiS do tego stopnia zawładnął pojęciem rozliczeń pod pretekstem walk z układem, że nie pozwolił rządowi na rozliczenia samego siebie.

Dlatego powiemy inaczej: koniec Q1 to czas, kiedy zdajemy sprawozdanie ze zrealizowanej pracy, podsumowujemy KPI, a więc mierniki efektywności naszej pracy, a także wyciągamy wnioski na przyszłość: co można zrobić lepiej, iżby w kolejnym kwartale (Q) wyniki były jeszcze lepsze.

Ku naszemu zdziwieniu Nowy z Tarnowa pomimo swojego konserwatywnego mindsetu i wielokrotnego sprzeciwiania się korporacyjnemu językowi i obyczajom jest wielkim fanem rozliczenia wyników, tzn. oczywiście sprawdzenia KPI-ów. Po wyrazie jego twarzy, którego po części możemy się tylko domyślać spod jego nastroszonych wąsów, wnioskujemy, iż za niedowiezienie wyników w sprzedaży pakietów Internet + telefon + fotowoltaika + voucher na badania kręgosłupa (idziemy z duchem czasu) najchętniej wymierzałby nam kary cielesne, a możliwość niewypłacania premii jest tylko jakimś średnio satysfakcjonującym substytutem.

Natomiast z dwojga złego, jeżeli wyznaje się zasadę „work smart, not hard", lepsze jest osiąganie niższych KPI-ów niż wyznaczone. Z jednej strony nie będzie premii w wysokości 1 proc. wynagrodzenia netto rozłożonej na trzy miesiące i wypłacanej pod warunkiem 100 proc. frekwencji w kolejnych trzech kwartałach, ale przynajmniej w Q2 nikt nie uzna, iż skoro tak dobrze zrealizowaliśmy cele w pierwszym kwartale, to teraz dosypujemy wam +25 proc. do zrealizowania w drugim, a jak nie osiągniecie, to potrącimy z pensji równowartość kosztów utraconych przez korpo na skutek nieudolności teamu sprzedażowego.

Sami więc widzicie, iż w neoliberalizmie nie da się po prostu być uczciwym i transparentnym, a jedynie jest się zmuszanym do zachowań, z których może i jest się dumnym, bo świadczą o sprycie, ale jednocześnie nie można się nimi chwalić xD.

Nie dość, iż kończy się Q1, to w dodatku kończy się zima i – nie wiemy, kochani, czy to zauważyliście – przyszedł do nas już Wiosen. A razem z Wiosenem przyszła konieczność przestawienia zegarków o godzinę do przodu, która to przykra konieczność spotka nas już w nadchodzący weekend.

Wiecie, my kminimy, kminimy i od lat nie możemy wykminić, czy ta brakująca godzina jakkolwiek nam się w ostatecznym rozrachunku kalkuluje? Bo z jednej strony słyszymy od ekspertów od produktywności, iż dzień się wydłuża, światła więcej, osoba pracownicza dzięki temu żwawsza i chętniejsza do działania, a więc rośnie nam capacity operacyjne jednostki ludzkiej.

Z drugiej jednak strony, gdy przychodzi poniedziałek po tej całej operacji na czasie, to siedzimy przed Excelem, jakby ktoś nam odjął nie godzinę, a godność, sens istnienia i zdolność rozróżniania cyfr od liter.

I tak sobie po cichu myślimy, iż w gruncie rzeczy ta zmiana czasu to kolejny neoliberalny spisek. A my, oczywiście, musimy się dostosować. Wstaniemy wcześniej, położymy się później, dowieziemy to, co trzeba… albo i nie dowieziemy xD. Bo jak pisaliśmy wyżej, czasem lepiej nie dowieźć, niż dowieźć za dobrze i dostać w kolejnym kwartale +25 proc. do normy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Spektakl

Dobra, Przemek, wszystko jest gotowe.
Ale Rafał, na pewno autentycznie wygląda?

Tak, zbudowaliśmy według zdjęć twojego domu. Solidny kartongips, pomalowane jest, nawet okna się otwierają. Wygląda jak prawdziwy dom. Nikt nie pozna, że to atrapa.
I panele na dachu daliście?

Panele są nawet prawdziwe.
Ale jak wejdę na dach, żeby je zrzucić, to się nie zawali?

No… Ja testowałem. Tam daliśmy porządne wsporniki.
No dobra, to zapraszamy dziennikarzy na spektakl. Przecież jakbym z własnego domu skasował, to żona by mnie zabiła. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Siłę Polski w Europie buduje się otwartą dłonią, a nie zaciśniętą pięścią".

DONALD TUSK, *premier RP, na platformie X*

eprasa.pl 5b4182b876

Wzmacniać współpracę

Karol Gac

Ponad 150 uczestników, dziewięć paneli dyskusyjnych, sesje networkingowe oraz uroczysta gala, podczas której wręczono nagrody Polonia Recordatur – za nami trzydniowe międzynarodowe forum gospodarczo-geopolityczne Polish-Hungarian-American Leadership Summit, zorganizowane przez redakcję „Do Rzeczy", które odbyło się w dniach 15–17 marca 2026 r. w Krakowie

Polish-Hungarian-American Leadership Summit (PHALS) rozwinął ideę Polish-American Leadership Summit zorganizowanego w 2018 r. na Florydzie w USA. Tegoroczna edycja zgromadziła liderów biznesu, polityki, samorządów i mediów, którzy przez trzy dni rozmawiali m.in. o polityce, gospodarce, inwestycjach, a także kulturze czy suwerenności. – Inicjatywa z 2018 r. była dużym sukcesem i naszym celem było kontynuowanie jej z udziałem kolejnych krajów Trójmorza. W tych trudnych czasach ważna jest współzależność i my tę współzależność, również dzięki takim spotkaniom, budujemy – mówił Michał M. Lisiecki, wydawca tygodników „Do Rzeczy" i „Wprost" oraz twórca PMPG Polskie Media SA.

TOAST ZA BRATANKÓW

Forum otworzyła sesja powitalna z udziałem m.in. ambasadora Węgier Istvána Íjgyártó, marszałka województwa małopolskiego Łukasza Smółki, Michała M. Lisieckiego i redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Pawła Lisickiego. Z okazji Węgierskiego Święta Narodowego, które przypada 15 marca jako upamiętnienie rewolucji węgierskiej z 1848 r., wzniesiono wspólny toast.

Punktem kulminacyjnym pierwszego dnia była dyskusja „Suwerenność czy tożsamość? Polska i Węgry w nowej architekturze Europy", w której wzięli udział konsul generalny Węgier w Polsce w latach 2020–2025 dr Pál Attila Illés oraz redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki. Podczas dyskusji poruszono m.in. temat relacji z Ukrainą.

POLITYKA MIĘDZYNARODOWA I BEZPIECZEŃSTWO

Oficjalne rozpoczęcie PHALS miało jednak miejsce drugiego dnia, podczas którego głos zabrali Paweł Lisicki, ambasador Węgier w Polsce, a także jeden z gości honorowych wydarzenia Bobbie Vickery, szeryf hrabstwa Calhoun w Teksasie.

Podczas swojego wystąpienia redaktor naczelny „Do Rzeczy" zwrócił uwagę na napięcia w relacjach między rządem Polski a władzami Węgier. – Od momentu zmiany władzy w Polsce rząd węgierski stał się chłopcem do bicia. Nie ma dnia, by Donald Tusk albo Radosław Sikorski nie krytykowali Viktora Orbána – mówił.

István Íjgyártó podkreślił z kolei znaczenie współpracy regionalnej oraz dialogu między państwami. – Nasza

eprasa.pl 5b4182b876

Gala laureatów nagród Polonia Recordatur FOT. I.M.

ambasada od samego początku wspierała pomysł konferencji. Jest to dyskusja, która wypełnia pewne luki i tworzy przestrzeń do uzgadniania ważnych kwestii – mówił.

Bobbie Vickery mówił zaś o znaczeniu współpracy gospodarczej oraz relacji międzynarodowych budowanych na fundamencie przyjaźni. – Bez pokoju nie ma nic. Mam nadzieję, że dzięki takim spotkaniom będziemy mogli jeszcze bardziej rozwijać nasze relacje i współpracę gospodarczą – wskazywał.

Pierwszy panel dyskusyjny dotyczył polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa, a wzięli w nim udział: ambasador Węgier w Polsce, doradca prezydenta Karola Nawrockiego do spraw europejskich dr Jacek Saryusz-Wolski, historyk prof. Andrzej Nowak oraz dr Józef Orzeł, współtwórca Klubu Ronina, były poseł. Rozmowę moderował redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki, który rozpoczął od postawienia pytania o skalę zagrożeń we współczesnych stosunkach międzynarodowych. – Czy rzeczywiście stoimy dziś u progu trzeciej wojny światowej czy też jest to przesada i zagrożenie globalnym konfliktem jest wyolbrzymione? – pytał.

Ambasador Węgier István Íjgyártó wyraził przekonanie, że scenariusz wojny nuklearnej jest skrajnie mało prawdopodobny. – W latach 1938–1939 mocarstwa nie dysponowały bronią atomową. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Wojna nuklearna oznaczałaby koniec ludzkości, a żaden odpowiedzialny polityk nie może mieć takiego celu – stwierdził. – Budowanie psychozy wojennej jest bardzo niebezpieczne. Węgierski rząd jest za pokojem. Widzimy dziś wyraźną przepaść między elitami politycznymi a społeczeństwami – dodał.

Profesor Andrzej Nowak zwrócił zaś uwagę, że współczesny konflikt międzynarodowy ma głębsze korzenie historyczne. – Równie nierealistyczne jak wizja wojny nuklearnej jest twierdzenie, że nie mamy dziś do czynienia z wojną światową. W pewnym sensie trwa ona od 1914 r. Chodzi o rywalizację między mocarstwami morskimi a kontynentalnymi – powiedział.

Doktor Jacek Saryusz-Wolski ocenił, że scenariusz trzeciej wojny światowej jest mało prawdopodobny. – Krótka odpowiedź brzmi: nie. Takie alarmistyczne tezy pomagają opracowywać strategie zapobiegawcze, ale nie stoimy dziś na progu globalnego konfliktu – zaznaczył. Jego zdaniem kluczową rolę stabilizującą odgrywają Stany Zjednoczone. – Stany Zjednoczone wzmacniają swoje wpływy i jest to raczej czynnik stabilizujący sytuację międzynarodową – powiedział.

Doktor Józef Orzeł zwrócił z kolei uwagę na strategiczne cele polityki Stanów Zjednoczonych. – Półkula zachodnia pozostaje strefą wpływów USA. W innych regionach świata Ameryka nie dopuści do powstania nowego hegemona – mówił.

GOSPODARKA, GŁUPCZE!

Dalsza część PHALS przebiegła pod znakiem tematów gospodarczych. Drugi panel dotyczył roli państwa w gospodarce oraz wolnego rynku. Wzięli w nim udział Sebastian Kęciek, zastępca dyrektora w Biurze Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP, Richard Austen, prezes zarządu MOL Polska, Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha, oraz Aleksanda Jankowska, prezes zarządu Fundacji Instytut Międzymorza. Dyskusję moderował Piotr Gabryel, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy".

– Czy rzeczywiście stoimy dziś u progu trzeciej wojny światowej czy też jest to przesada i zagrożenie globalnym konfliktem jest wyolbrzymione? – pytał Paweł Lisicki, redaktor naczelny do „Do Rzeczy"

Trzeci panel poświęcono roli mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw oraz regionalnych łańcuchów wartości. Wystąpili w nim Vinicio „Lenny" Llerena, dyrektor wykonawczy Victoria Regional Airport w Teksasie, Péter Lőrincze, współprzewodniczący Konfederacji Węgierskiego Biznesu, Adam Abramowicz, prezes zarządu Organizacji Pracodawców Rada Przedsiębiorców, Andrzej Olkowski, prezes Stowarzyszenia Regionalnych Browarów Polskich i współzałożyciel Browaru Kormoran, oraz Patryk Szczygieł, prezes Fundacji Europa House. Dyskusję moderował Karol Gac, redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl.

SAMORZĄD I ROZWÓJ

Czwarty panel, pod patronatem województwa małopolskiego, poświęcony był samorządowi i rozwojowi regionalnemu. Wzięli w nim udział Ryszard Pagacz, wicemarszałek województwa małopolskiego, Agnieszka Pala, kierująca Centrum Business in Małopolska z ramienia Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego SA, Bobbie John Vickery, szeryf hrabstwa Calhoun w Teksasie, Péter Kovács, burmistrz Szabadbattyán, oraz Marcin Dmowski, burmistrz Świdnika. Panel moderował Karol Gac, szef portalu DoRzeczy.pl.

Wszyscy prelegenci uznali, że współczesne samorządy coraz częściej pełnią funkcję podmiotów prowadzących własną dyplomację gospodarczą, polegającą m.in. na budowaniu relacji międzynarodowych, w tym podejmowaniu kroków przyciągających zagranicznych inwestorów oraz wspieraniu ekspansji lokalnych firm. Wskazali także na kilka obszarów, które mają bezpośredni wpływ na skuteczność tych działań, w tym m.in. na komunikację, infrastrukturę, kompetencje językowe

eprasa.pl 5b4182b876

Dyskusja na temat polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa. Uczestnicy (od prawej): Andrzej Nowak, István Íjgyártó, Józef Orzeł, Jacek Saryusz-Wolski. Prowadzenie – Paweł Lisicki (pierwszy od lewej) FOT. I.M.

administracji, kapitał ludzki, bezpieczeństwo, przywództwo lokalne, sytuację demograficzną oraz bariery finansowe.

– Staramy się mobilizować zarówno mniejszych, jak i większych przedsiębiorców do nawiązywania relacji biznesowych, które mogą przełożyć się na wzrost eksportu – mówił Ryszard Pagacz. Jak wskazywał, jednym z narzędzi wykorzystywanych przez jego samorząd są kontakty dyplomatyczne oraz współpraca z instytucjami europejskimi.

Ważnym wątkiem poruszonym podczas dyskusji była kwestia dotycząca internacjonalizacji biznesu. Mówiła o nim m.in. Agnieszka Pala. – Wspieramy przedsiębiorców w ekspansji zagranicznej. Jesteśmy jedną z instytucji w Polsce, które pomagają lokalnym firmom rozwijać działalność za granicą, a jednocześnie wspierają inwestorów zagranicznych zainteresowanych lokowaniem biznesu w regionie – wyjaśniła.

Interesujące spojrzenie na znaczenie stabilności i bezpieczeństwa dla rozwoju gospodarczego przedstawił gość ze Stanów Zjednoczonych, Bobbie John Vickery. Jego zdaniem bezpieczeństwo stanowi jeden z fundamentów rozwoju regionów. – Jeśli chcemy rozwijać gospodarkę, to musimy zadbać o system bezpieczeństwa – o godność i bezpieczeństwo obywateli oraz przedsiębiorców. Kluczowa jest komunikacja między instytucjami – podkreślił.

O perspektywie mniejszych miejscowości mówił Péter Kovács, burmistrz węgierskiego Szabadbattyán. – W naszej skali niezwykle istotne jest budowanie relacji międzynarodowych, które pozwolą rozwijać biznes. Wielu przedsiębiorców jest zainteresowanych ekspansją na rynki europejskie – mówił.

Z kolei Marcin Dmowski, burmistrz Świdnika, przekonywał, że samorządy muszą być dziś nowoczesne i podążać z duchem czasu. – W pewnym sensie powinniśmy traktować nasze miasta jak firmy – zarówno pod względem rozwoju, jak i sposobu, w jaki są postrzegane przez mieszkańców – powiedział.

NAGRODY POLONIA RECORDATUR PRZYZNANE

Najważniejszym momentem PHALS była uroczysta gala, podczas której wręczono nagrody Polonia Recordatur (Polska Pamięta). Wyróżnienia objęły m.in. osiągnięcia w obszarze innowacji i nowych technologii, rozwoju przedsiębiorczości, zwłaszcza sektora MŚP, wzmacniania bezpieczeństwa i suwerenności gospodarczej, a także działalności na rzecz edukacji, kultury i dialogu międzynarodowego.

– W debatach wiele mówimy o procesach, jak przebiegają, jaki mogą mieć skutek. Za procesami stoją ludzie, którzy podejmują decyzje. I tych ludzi trzeba docenić – wyjaśniał redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki.

Głos zabrał również podsekretarz stanu w biurze dyrektora politycznego premiera Węgier dr Márton Ugrósdy. – Patrzę, co robi Polska, jak walczyła o niepodległość, i szanuję to, jak mocno Polska walczyła, by znaleźć swój kawałek ziemi na tym globie. Mamy podobne doświadczenia i to łączy nasze dwie nacje. Kiedyś narzucano nam, co mamy myśleć i mówić, dzisiaj jest podobnie. Dzisiaj jesteśmy w stanie walczyć o nasze przekonania, o naszą wiarę. Widzę oś Bruksela – Berlin. Tam są osoby, które chcą ograniczyć naszą wolność, o którą walczymy od setek lat – mówił.

Przemówienie wygłosił również wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości prof. Przemysław Czarnek. – Chcę powiedzieć jedno, Europa, UE w szczególności, zmienia się na naszych oczach. Nie do takiej UE wchodziliśmy, jaką jest dzisiaj. Nie o taką UE walczyliśmy dla Polski, gdy w 2003 r. uczestniczyliśmy w referendum akcesyjnym [...]. Jeśli Unia ma mieć znaczenie, rozwijać się dla wolności mieszkańców Europy, nie dla widzimisię lewackich i zacofanych elit, to musimy rozwijać Trójmorze, aby na tej bazie współpracować na kierunku transatlantyckim. To przyszłość dla całej UE. O to się módlmy, na to poświęcajmy nasze starania – mówił.

Nagrodę Polonia Recordatur otrzymał Gregory Abbott, gubernator stanu Teksas, a w jego imieniu odebrał ją Bobbie Vickery. Laureatem kolejnej został Íjgyártó István, ambasador Węgier w Polsce. – Współpraca z takimi kolegami jak „Do Rzeczy" to duży honor. Mamy nadzieję, że jako Węgrzy będziemy kontynuować tę robotę – powiedział dyplomata.

Nagrodę otrzymał także dr Jacek Saryusz-Wolski. – Jeśli chodzi o naszą suwerenność w UE, to wciąż jest wiele do zrobienia [...]. Sposób na Brukselę Viktora Orbána jest naszym sposobem. „Przejąć Brukselę" – to jest pomysł Orbána, do którego my się zapisujemy. Sposób na Brukselę to nie exit, na pewno nie polexit. Ten polexit realizuje dzisiaj Donald Tusk poprzez abdykację z obrony polskich interesów – mówił.

Nagrodę otrzymał także dr Pál Attila Illés, konsul generalny Węgier w Polsce w latach 2020–2025. Nagroda trafiła również do rąk Józefa Orła, współzałożyciela Klubu Ronina. – Myśleć o tym, by Europę zmienić, tylko dlatego że ją władcy zepsuli, to nie jest miłe, bo jak ktoś ci

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie
MAŁOPOLSKA
Partnerzy
IZBA GOSPODARCZA BLOCKCHAIN I NOWYCH TECHNOLOGI
MARR

eprasa.pl 5b4182b876

psuje twój dom, w którym twoi przodkowie się dobrze czuli, to najpierw trzeba by było tych psujów wyrzucić i ten dom wyremontować. I to są te dwa zadania, które musimy wypełnić, abyśmy w tym domu czuli się dobrze jako Europejczycy. To wstyd, by w tak cywilizowanej części świata dopuścić tych szkodników, żeby ją zepsuli prawie do fundamentów – mówił.

Uhonorowany został prof. Jerzy Snopek, dyplomata, ambasador RP na Węgrzech w latach 2016–2022. Nagrodę otrzymał także Piotr Praszkowicz, działacz polonijny, przedsiębiorca, Wielki Marszałek Parady Pułaskiego 2024. Nagrodzona została również firma MOL Polska, a w imieniu przedsiębiorstwa nagrodę odebrał jej prezes zarządu, Richard Austen.

CZARNEK I KACZYŃSKI UHONOROWANI

Do grona laureatów Polonia Recordatur dołączył też poseł PiS Przemysław Czarnek. – Przed nami ogromnie ciężka droga, ale konieczna do pokonania. Od niedawna przejąłem funkcję maszynisty w pociągu do wolności. Jeśli chcemy zrobić cokolwiek dobrego, to musimy iść do wolności, nie tracąc jej treści [...]. Redakcji „Do Rzeczy" dziękuję za walkę o prawdę każdego dnia. Często jej słucham i wypatruję. W tej prawdzie musimy budować życie naszych suwerennych państw – podkreślał prof. Przemysław Czarnek.

Uhonorowany został również prezes PiS Jarosław Kaczyński. W jego imieniu nagrodę odebrał Przemysław Czarnek, który odczytał list skierowany do organizatorów i uczestników PHALS. Prezes PiS podkreślił w nim m.in., że traktuje nagrodę jako „wielki honor" i jest ona motywacją do jego dalszej pracy dla Polski.

AI, EDUKACJA, ROLNICTWO I BIZNES

Trzeci i ostatni dzień PHALS zaczął się od panelu poświęconego AI i innowacjom. Wzięli w nim udział prof. Andrzej Zybertowicz, doradca społeczny prezydenta RP, dr Tomasz Soczyński, ekspert w obszarze cyberbezpieczeństwa, Hubert Bogucki z Prime Academy oraz Robert Bodendorf, wiceprezes Organizacji Pracodawców Rada Przedsiębiorców. Dyskusję moderował Michał Krupa z „Do Rzeczy".

Kolejny panel poświęcony był edukacji, walce o tożsamość narodową oraz zmaganiom z narzucanymi z zewnątrz narracjami. Prowadził go redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki, a uczestnikami byli: Barbara Nowak, radna sejmiku województwa małopolskiego oraz była małopolska kurator oświaty, Mihály Rosonczy-Kovács, dyrektor think tanku Nézőpont Intézet w Budapeszcie, dr Rajmund Fekete, dyrektor węgierskiego Instytutu Badań nad Komunizmem, dr Réka Földváryné Kiss, przewodnicząca Komitetu Pamięci Narodowej w Budapeszcie, oraz prof. Maciej Szymanowski, hungarysta i były dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

Siódmy panel poświęcony był rolnictwu i suwerenności żywnościowej. Wzięli w nim udział Tomasz Obszański, doradca społeczny prezydenta, szef NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych, Bogdan Pęk, radny sejmiku małopolskiego i były poseł, Grzegorz Wojciechowski, polityk i samorządowiec, dr Krzysztof Duda, kierownik katedry antropologii kulturowej Uniwersytetu Ignatianum w Krakowie, oraz prof. dr hab. Filip Grzegorczyk, były prezes zarządu Tauron oraz były wiceprezes Grupy Azoty. Dyskusję moderowała Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska z tygodnika „Do Rzeczy" i portalu DoRzeczy.pl.

Kolejny panel został poświęcony finansom, bankowości i systemom płatniczym. Dyskusję moderował Rafał A. Ziemkiewicz, publicysta „Do Rzeczy", a wzięli w niej udział Zdzisław Sokal, były członek zarządu Narodowego Banku Polskiego i były prezes zarządu Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, oraz prof. Konrad Raczkowski, dyrektor Centrum Gospodarki Światowej UKSW i dyrektor Instytutu Ekonomii i Finansów UKSW w Warszawie.

Ostatni z paneli dotyczył polskich firm w Stanach Zjednoczonych. Wystąpili w nim Zbigniew Zborowski, przedsiębiorca, Piotr Praszkowicz, Wielki Marszałek Parady Pułaskiego 2024 w Nowym Jorku i właściciel firmy PDP Contracting Inc., Wojciech Michalik, dyrektor Nowodworski Foundation NY, Paweł Szewczyk, export manager firmy FAKRO, oraz Agnieszka Maćkówka, prezes Polsko-Polonijnej Izby Gospodarczej. Dyskusję moderował Aleksander Majewski z „Do Rzeczy" i DoRzeczy.pl.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczegółowe relacje z PHALS oraz więcej zdjęć znajdą państwo na www.dorzeczy.pl

Partnerem Głównym Polish-Hungarian-American Leadership Summit w Krakowie było województwo małopolskie. Partnerami byli: Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego, Izba Gospodarcza Blockchain i Nowych Technologii, Instytut Międzymorza, Polsko-Polonijna Izba Gospodarcza, Związek Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce.

Łukasz Smółka (po lewej) oraz Michał M. Lisiecki podczas sesji powitalnej FOT. I.M.

eprasa.pl 5b4182b876

Bezpieczna przyszłość Małopolski

Szybsza pomoc, lepiej przygotowane służby, bezpieczne szpitale – Małopolska uruchamia jeden z najważniejszych programów inwestycyjnych ostatnich lat, wzmacniając tym samym odporność regionu na sytuacje kryzysowe i budując świadomość obywatelską wszystkich Małopolan. Wśród kluczowych projektów znalazły się m.in. nowe Małopolskie Centrum Cyberbezpieczeństwa oraz nowoczesne Centrum Szkoleniowo-Treningowe dla Małopolskiego Garnizonu Policji.

Ponad miliard złotych Małopolska przeznaczy na inwestycje, które mają zwiększyć bezpieczeństwo mieszkańców – od ochrony przed cyberatakami, przez wsparcie służb ratowniczych, po przygotowanie mieszkańców na ewentualne zagrożenia.

Każda z tych inwestycji ma jeden cel – zapewnić mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa. Chcemy, aby pomoc docierała szybciej, by służby były jeszcze lepiej przygotowane, a instytucje – od szpitali po infrastrukturę publiczną – działały niezawodnie w każdej sytuacji. To kompleksowe podejście pozwala nam budować nowoczesny system bezpieczeństwa, który będzie służył mieszkańcom przez wiele lat

– zaznacza marszałek Łukasz Smółka.

STRAŻACY I RATOWNICY Z NOWYM SPRZĘTEM

Jeszcze w kwietniu do strażaków ochotników trafią 23 nowoczesne samochody ratowniczo-gaśnicze z napędem 4 x 4. To drugi etap programu „Bezpieczna Małopolska – Bon na ratowanie", który obejmuje jednostki OSP, działające na terenie 23 gmin o zróżnicowanym charakterze: górskim, uzdrowiskowym, rolniczym i podmiejskim. Całkowita wartość tego projektu wynosi ponad 24 mln zł, z czego 15,64 mln zł stanowi dofinansowanie unijne. Łącznie, w dwóch etapach programu, małopolscy strażacy otrzymają 86 pojazdów.

Poza funduszami unijnymi województwo małopolskie konsekwentnie wspiera służby ratownicze z własnego budżetu. Tylko w 2025 r. przeznaczono blisko 11 mln zł dla OSP oraz ponad 3,2 mln zł dla innych służb.

Środki pozwoliły m.in. na:

- zakup pojazdów, łodzi, quadów i specjalistycznego sprzętu,
- modernizację remiz,
- szkolenia strażaków – w 2026 r. planowane jest przeszkolenie ponad 3,3 tys. osób,
- nowe dopłaty do zbiorników paliwa oraz kursów dla kierowców pojazdów uprzywilejowanych.

Równolegle inwestowane są środki w bezpieczeństwo na wodzie – siedem jednostek WOPR otrzyma ponad 6 mln zł na nowoczesny sprzęt, w tym łodzie, skutery, drony i defibrylatory.

Inwestujemy w ludzi, sprzęt i kompetencje. To one decydują o tym, jak szybko i skutecznie jesteśmy w stanie pomóc naszym mieszkańcom. Bez dobrze przygotowanych strażaków i ratowników nawet najlepsza infrastruktura nie zapewni bezpieczeństwa

– podkreśla marszałek Łukasz Smółka.

GOTOWI NA KAŻDĄ SYTUACJĘ

Jedną z kluczowych inwestycji wzmacniających system bezpieczeństwa w regionie będzie budowa Centrum Szkoleniowo-Treningowego dla Małopolskiego Garnizonu Policji. To nowoczesny kompleks, który ma odpowiadać na rosnące

eprasa.pl 5b4182b876

wymagania wobec służb i zmieniający się charakter zagrożeń. W obiekcie znajdą się m.in. strzelnice, symulatory sytuacji taktycznych, plac manewrowy oraz sale wykładowe, umożliwiające prowadzenie realistycznych i wieloetapowych szkoleń.

Centrum pozwoli funkcjonariuszom doskonalić umiejętności w szerokim zakresie – od działań operacyjnych i interwencyjnych, przez ratownictwo medyczne i bezpieczeństwo ruchu drogowego, po działania w trudnym terenie, w tym górskim i wodnym. Istotnym elementem będzie także szkolenie we współpracy z innymi służbami ratowniczymi, co ma kluczowe znaczenie w sytuacjach kryzysowych wymagających skoordynowanych działań.

Projekt, realizowany przez Komendę Wojewódzką Policji w Krakowie, otrzyma ok. 21 mln zł dofinansowania z Funduszy Europejskich dla Małopolski 2021–2027, przy wkładzie własnym przekraczającym 38 mln zł. Inwestycja ma bezpośrednio przełożyć się na podniesienie kwalifikacji funkcjonariuszy, a docelowo – na większe bezpieczeństwo mieszkańców i turystów odwiedzających Małopolskę.

CYFROWA TARCZA DLA SZPITALI

Małopolskie Centrum Cyberbezpieczeństwa dla szpitali wojewódzkich to przełomowy projekt z zakresu ochrony zdrowia i bezpieczeństwa cyfrowego. Inwestycja o wartości 10 mln euro obejmuje 14 szpitali i ma na celu stworzenie kompleksowej „tarczy cybernetycznej", która będzie chronić sieci, systemy i dane medyczne przed coraz częstszymi atakami hakerskimi.

Centrum będzie na bieżąco monitorować środowiska IT szpitali, analizować incydenty i wspierać placówki w usuwaniu skutków cyberzagrożeń. Projekt obejmuje zakup nowoczesnej infrastruktury serwerowej, wdrożenie oprogramowania i licencji, opracowanie ram zarządzania ryzykiem, zatrudnienie specjalistów oraz prowadzenie szkoleń i działań edukacyjnych dla personelu medycznego.

Jak podkreśla marszałek, w dobie cyfryzacji każda przerwa w działaniu systemów szpitalnych może mieć poważne konsekwencje – nie tylko dla pacjentów, lecz także dla całego funkcjonowania placówek ochrony zdrowia. Centrum ma działać nieprzerwanie, zapewniając stałe wsparcie oraz zwiększając odporność operacyjną szpitali.

Zakończenie prac zaplanowano na grudzień 2027 r., a realizatorem projektu jest spółka Małopolskie Parki Zdrowia w partnerstwie ze wszystkimi wojewódzkimi szpitalami.

INWESTYCJE DUAL-USE

Małopolska stawia na infrastrukturę podwójnego zastosowania – obiekty i transport, które służą mieszkańcom na co dzień, a w sytuacjach kryzysowych stają się elementem systemu bezpieczeństwa. W całej Małopolsce powstaną nowoczesne miejsca schronienia: parkingi przy szpitalach i ośrodkach zdrowia, wielofunkcyjne budynki publiczne, a także przekształcone remizy i obiekty typu „parkuj i jedź", gotowe do ewakuacji ludzi.

Przykładem będzie parking przy powstającym Małopolskim Centrum Psychiatrii i Leczenia Uzależnień od Nowych Technologii Cyfrowych, który w sytuacjach kryzysowych będzie pełnił funkcję punktu doraźnego schronienia i pierwszej pomocy, a także nowa siedziba Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, projektowana tak, by w razie potrzeby chronić mieszkańców.

Równocześnie Małopolska inwestuje w nowoczesny tabor kolejowy dual-use. 25 elektrycznych zespołów trakcyjnych od NEWAG S.A., o wartości 1,39 mld zł będzie obsługiwać codzienne podróże po województwie, ale w chwili zagrożenia pozwoli sprawnie ewakuować Małopolan.

Do końca sierpnia Małopolska otrzyma pierwszych sześć nowych pociągów. To nie tylko wygodniejsze podróże, lecz także dodatkowe połączenia, mniejszy ruch na drogach i większe bezpieczeństwo pasażerów – dodaje marszałek Łukasz Smółka.

INNOWACJE DLA NAUKI I BEZPIECZEŃSTWA

Małopolska staje się jednym z wiodących regionów w Polsce w rozwoju sektora kosmicznego. Województwo wspiera pionierskie działania Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, w tym projekt wyposażenia nowoczesnego Centrum Technologii Kosmicznych oraz Wydziału Technologii Kosmicznych w unikalne na skalę światową laboratoria badawcze. Całość inwestycji, o wartości ok. 39,5 mln zł, będzie realizowana w latach 2026–2028 przy dofinansowaniu Unii Europejskiej w wysokości ok. 33,6 mln zł.

W nowo powstałych laboratoriach prowadzone będą zarówno badania podstawowe, stosowane, jak i wdrożeniowe. Trzy kluczowe jednostki to habitat do symulacji misji kosmicznych, symulator warunków panujących na Księżycu oraz laboratorium systemów teleinformatycznych do testowania technologii komunikacji satelitarnej i naziemnej. W projekcie szczególny nacisk położono na tzw. New Space – technologie, które mogą poprawić bezpieczeństwo i jakość życia na Ziemi, wspierając m.in. rolnictwo, leśnictwo, ochronę środowiska, zarządzanie kryzysowe, działania ratownicze i monitoring zmian klimatycznych.

Projekt wpisuje się w strategiczne ramy rozwoju sektora kosmicznego – jest zgodny z Polską Strategią Kosmiczną, dokumentami ESA oraz komplementarny z innymi projektami AGH, w tym akceleratorem innowacji obronnych NATO (DIANA) oraz programem Gaia AI Factory rozwijającym krajową infrastrukturę obliczeniową i technologie sztucznej inteligencji. Z nowej infrastruktury będą korzystać zarówno naukowcy, jak i przedsiębiorcy.

Fundusze Europejskie dla Małopolski (FEM) wspierają nie tylko badania naukowe, lecz także innowacje. W Małopolsce rozwijane są w trzech kluczowych obszarach: zdrowia – gdzie systemy wsparcia gabinetów lekarskich i centra diagnostyki pozwalają lekarzom poświęcać więcej czasu pacjentom, środowiska – poprzez technologie oczyszczania ścieków przemysłowych i efektywne odzyskiwanie surowców oraz bezpieczeństwa – gdzie inteligentne systemy sterowania pojazdami specjalnymi zwiększają skuteczność działań ratowniczych, policyjnych i medycznych.

CZYSTA WODA

Istotnym elementem bezpieczeństwa jest także dostęp do wody. Dzięki środkom z Krajowego Planu Odbudowy modernizowane są sieci wodno-ściekowe – początkowa pula 62 mln zł została zwiększona do ok. 150 mln zł ze względu na ogromne zainteresowanie samorządów.

Do tej pory podpisano 37 umów o wartości blisko 140 mln zł. Inwestycje obejmują rozbudowę sieci wodociągowych i kanalizacyjnych oraz poprawę infrastruktury komunalnej, m.in. w gminach: Biecz, Bobowa, Pleśna, Spytkowice.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 5b4182b876

Towarzyszka panienka szokuje lewicę

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Córka komunistycznego generała, znawczyni mody współpracująca z mainstreamowymi mediami, w końcu publicystka, dająca głos prawicy. Monika Jaruzelska jest postacią na tyle niejednoznaczną, że budzi po lewej stronie dysonans poznawczy, a niekiedy czystą niechęć

Ona nasiąka poglądami innych jak gąbka" – taką opinię na temat Moniki Jaruzelskiej przedstawił jeden ze znajomych w tekście Dominiki Wielowieyskiej w „Gazecie Wyborczej", składającym się niemalże z samych anonimowych wypowiedzi. Rozmówcy „GW" twierdzą, że od kiedy Jaruzelska „skręciła w prawo", ich kontakty z dawnych lat się poluźniły lub stały mniej przyjazne. „Na jednej z kolacji z przyjaciółmi pojawiło się delikatne, nienatarczywe pytanie: »dlaczego?«. Nie odpowiedziała, mówiła jedynie, że po przyjaciołach nie spodziewała się, iż dołączą do chóru jej krytyków" – czytamy.

Informator, przedstawiony jako „niegdyś bliska osoba", zaznacza z troską: „Nie rozumiem tego, nie wiem, dlaczego to robi, włos się jeży na głowie, jestem zdruzgotana i zmartwiona". Ktoś inny dodaje: „Ona zrobi wszystko, aby zaistnieć".

Tylko Jakub Wojewódzki z TVN wypowiada się pod nazwiskiem. „Monikę Jaruzelską lubię i cenię jej inteligencję, choć faktycznie dawno z nią nie rozmawiałem. Nie chcę jej ostro krytykować, choć chodzi o nazwisko – co tu ukrywać – pierwszoligowe. Pamiętam naszą dawną rozmowę z medioznawcą prof. Wiesławem Godzicem. Ona już wtedy prorokowała, że radykalizm zdominuje sieć i stanie się mainstreamem. A media tradycyjne osłabną" – wspomina. Wojewódzki twierdzi, że córka komunistycznego generała może próbować zaistnieć w polityce. „Pojawienie się w kręgu Brauna gwarantuje silny strumień światła skierowany właśnie na nią. Brunatny, ale czytelny. Być może właśnie o to jej chodziło" – ocenia.

62-letnia dziś Monika Jaruzelska ma ponad 210 tys. subskrybentów na YouTube. Poprzez serwis Patronite uzyskuje miesięcznie 1290 zł, wspiera ją 66 patronów. „Ten program powstał z powodu mojego sprzeciwu wobec treści i formy obecnych w mediach. Tak trudno znaleźć rozmowy, w których słucha się gościa, nie przerywa mu i nie ponagla. Politycy i media podzielili nas tak skutecznie, że niełatwo o bezstronność i analizy przyczynowo-skutkowe. Poza bardzo nielicznymi przypadkami dziennikarze próbują narzucić swoje poglądy, w zależności od redakcji, którą reprezentują. Ten program powstaje wspólnie z Wami, wykorzystując moją umiejętność słuchania i szacunek do każdego rozmówcy […]. Zasadą jest, że moim gościom przeszkadzać może

eprasa.pl 5b4182b876

FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

tylko mój jamnik – Lolek, wraz z którym serdecznie zapraszam Was do oglądania, komentowania i subskrybowania kanału" – czytamy w opisie kanału „Monika Jaruzelska zaprasza".

URBAN, BRAUN, SIKORSKI...

Jej rozmowy cieszą się sporą popularnością – szczególnie te z rozpoznawalnymi politykami prawicy. Debatę prezydencką Artura Bartoszewicza z Grzegorzem Braunem odtworzono 824 tys. razy. Kolejny w rankingu jest indywidualny wywiad z szefem Konfederacji Korony Polskiej – 780 tys. wyświetleń. Trzeci najpopularniejszy film na kanale Jaruzelskiej to wywiad ze Sławomirem Mentzenem, współliderem Konfederacji – 759 tys. Duże zainteresowanie wzbudził też wywiad z Jerzym Urbanem, kreatorem komunistycznej propagandy – 700 tys. odtworzeń.

W ostatnich miesiącach na kanale „Monika Jaruzelska zaprasza" dominują goście z prawej strony sceny politycznej (Braun, Bosak, Olszański, Rola, Korwin-Mikke) lub ci, którzy z prawicą zgadzają się w kwestii krytyki Ukrainy (Leszek Miller). W domowym studiu publicystki, byłej radnej Warszawy, gościli też przedstawiciele drugiej strony. Rozmawiała m.in. z obecnym szefem MSZ Radosławem Sikorskim, marszałkiem Szymonem Hołownią, prof. Janem Hartmanem czy Joanną Staniszkis.

Rozmówcy „Wyborczej" w większości przekonują, że Jaruzelskiej coś „przestawiło się" nagle – w najgorszym wypadku „zbrunatniała", w najlepszym robi i mówi to, co generuje zasięgi, a dziś zasięgowa jest prawica. Wystarczy jednak uważnie prześledzić wywiady „Towarzyszki panienki" (tytuł jej książki wydanej w 2013 r.), aby dostrzec, że nie doszło do żadnej nagłej rewolucji. Polityczny skręt Moniki Jaruzelskiej następował powoli, stopniowo. Po części dlatego, że jej własne środowisko ją odrzuciło. W 2013 r. zachwalała ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego. – Jestem bardzo zadowolona z tego wyboru i nie w sposób skandalizujący, ale myślę, że bardzo potrzebne jest myślenie w duchu porozumienia, to pan prezydent całą swoją osobą prezentuje – tak komentowała przyznanie mu tytułu „Człowieka Roku" tygodnika „Wprost". – W drugiej turze głosowałam na Bronisława Komorowskiego […]. Jest politykiem, którego szanuję i któremu ufam – przyznała.

W 2018 r. została wybrana do Rady Miasta Warszawy jako jedyna przedstawicielka komitetu SLD-Lewica-Razem. Była radną niezrzeszoną. Blisko współpracowała z Andrzejem Rozenkiem, skupiając się na temacie tzw. ustawy degradacyjnej. Ustawę, „umożliwiającą pozbawiania stopni wojskowych (od generała do podporucznika) żołnierzy w stanie spoczynku, którzy w latach 1943–1990 sprzeniewierzyli się polskiej racji stanu, w tym członków WRON, KBW oraz osób odpowiedzialnych za represje wobec opozycji antykomunistycznej", zawetował ostatecznie prezydent Andrzej Duda. Temat wzbudził jednak duże poruszenie. Wraz z Januszem Zemke Jaruzelska była współzałożycielką Centrum Monitorowania Skutków Ustawy Degradacyjnej. W wywiadzie z marca 2018 r. udzielonym „Rzeczpospolitej", pytana o swoje wejście do polityki, mówiła, że to „polityka weszła w jej życie bardzo głęboko". – Mogłam od niej uciekać, znajdować sobie niszę – dziennikarstwo, moda. A w chwili, gdy całkowicie wyłączyłam się z politycznej aktywności, okazało się, że polityka zaczyna po mnie sięgać. Do mojego domu rodzinnego, życia prywatnego. Siłą rzeczy pomyślałam, że od niej ucieknę, a są rzeczy, które chciałabym zrobić, są dla mnie ważne. Sprawy związane chociażby z wojskiem – wyjaśniała. – Ojciec i tak przejdzie do historii jako generał. Zawsze powtarzam – ojciec był bardzo skromnym człowiekiem. Chciał mieć na grobie napis „żołnierz" i to jest najważniejsze – odpowiadała pytana o Wojciecha Jaruzelskiego.

Dlaczego wybrała SLD? – W Polsce po 1989 r. czasami głosowałam na Unię Wolności, Unię Demokratyczną. W ostatnich wyborach na SLD. Nie głosowałam na PO chociażby dlatego, że w 2009 r. właśnie Platforma wprowadziła ustawę dezubekizacyjną, która odbierała emerytury ludziom, którzy byli w służbach mundurowych. PiS tylko to rozszerza i wprowadza w życie w sposób bardziej brutalny – tłumaczyła. – Nie mam ochoty na robienie kariery. Nie myślę o tym, że mam osiągać spektakularne sukcesy. Jest konkretna rzecz do zrobienia, żeby monitorować skutki ustawy degradacyjnej. Skutki, które mogą być w konsekwencjach społecznych bardzo trudne – podkreśliła.

W niemal każdym wywiadzie była i nadal pytana jest o ojca. – Nazwisko „Jaruzelski" dla połowy społeczeństwa to nienajlepsza marka, dla części dobra marka. Najważniejsze jest, jaką markę ja sobie wyrobię. Jestem autonomicznym bytem. W pewnym sensie mam poglądy konserwatywne – wartości rodzinne są dla mnie ważne i dzieci, które odwracają się od rodziców, mówią publicznie złe rzeczy, to nie są wartości, które są dla mnie. W tym sensie będę na pewno dobrego imienia ojca broniła. Ale przede wszystkim reprezentuję siebie. Mój ojciec mnie nie widzi, mój syn będzie mnie widział i to jest dla mnie ważne. A przede wszystkim wyborcy, którzy mi zaufają – mówiła Monika Jaruzelska w 2018 r.

eprasa.pl 5b4182b876

Już wtedy w jej wypowiedziach można było dostrzec wyłom w oficjalnej narracji tej strony politycznej, do której wtedy przynależała. Poparła postawienie pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Warszawie. – Jest taka potrzeba bardzo wielu osób. Bardzo nie podoba mi się to, co dzieje się w miesięcznice smoleńskie. Tragedia jest wykorzystywana przez dwie siły polityczne. Sądzę, że powinno być miejsce, gdzie walczący ze sobą przyjdą położyć kwiaty. Uczciłabym wszystkie osoby [które zginęły w katastrofie smoleńskiej – przyp. red.] – powiedziała w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Apelowała o ucywilizowanie dyskursu publicznego. – Jestem po studiach polonistycznych. Jestem patriotką i kocham język polski. Widzę, jak ten język w tej chwili degradujemy poprzez debatę polityczną, media. Zaczynamy ze sobą coraz gorzej rozmawiać. Coraz mniej jest wzajemnego szacunku – podkreślała.

SKRĘT W PRAWO

Szybko, bo już w 2019 r., jej drogi z lewicą spod znaku Włodzimierza Czarzastego się rozeszły. Monika Jaruzelska nie dostała miejsca na liście w wyborach do Sejmu. Postanowiła, bez sukcesu, zawalczyć o mandat senatora z komitetu Polska Lewica. W rozmowie z „Super Expressem" opowiadała o konflikcie z Czarzastym. – Dwa miesiące temu, kiedy miał być jeszcze wspólny start z Platformą, przewodniczący Czarzasty czekał na decyzję Grzegorza Schetyny. I powiedział, że mój start może być problemem, bo „Schetyna jest antykomunistą" – mówiła dwa miesiące przed wyborami. Przypomniała o obietnicy SLD o możliwości jej startu do parlamentu. – Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś daje słowo i później zachowuje się tak, jakby nic się nie stało – stwierdziła.

Jaruzelska wskazała, że Adrian Zandberg i Robert Biedroń mają ją za „konserwatystkę". – Jestem absolutną zwolenniczką liberalizacji ustawy antyaborcyjnej z przyczyn psychologicznych i społecznych. Nie podoba mi się jednak sformułowanie „aborcja na życzenie". A już kompletnym absurdem jest fotografowanie się na okładkę czasopisma z hasłem „aborcja jest OK". Nie jest OK. To uraża uczucia osób, które myślą inaczej. Dla wielu kobiet aborcja jest ostatecznością, dramatem. To nie jest temat na happening. Czy szacunek dla innych to już konserwatyzm? – pytała z wyraźnym żalem.

Dziś po sympatii „elit" nie zostało wiele. Monika Jaruzelska wydaje się jednak nie mieć z tym problemu

W przypadku ideologii wydaje się, że zawsze była bardziej umiarkowana niż jej polityczni pobratymcy. W wywiadzie udzielonym w lutym 2024 r. Tomaszowi Lisowi szerzej opowiedziała o podejściu do aborcji. – Kiedy w latach 90. weszła pierwsza tzw. ustawa antyaborcyjna, zorganizowano debatę z udziałem Barbary Labudy i Marka Jurka. Szłam na nią przekonana, że teraz „Basia przyłoży katotalibowi", ale zaczęłam słuchać argumentów Jurka. No tak, jeżeli uznamy, że od momentu poczęcia jest to człowiek, dziecko, to nie ma wyjścia. A jeśli dla kogoś to nie jest życie, a może zaważyć na życiu kobiety, to będzie miał inne zdanie. W związku z tym ja nie wiem [...]. Moja misja, tak bym powiedziała, to starać się zrozumieć świat" – wyjaśniała. Dodała: „Nowa Lewica nie lubi mnie. Sądzę, że za brak jednoznaczności w podejściu do aborcji, że ja przyjmuję duży margines, że można uważać, iż to zabicie człowieka. Dla mnie nie ma odpowiedzi, czy któraś ze stron ma rację". Bardziej zdecydowanie Monika Jaruzelska podchodzi od kwestii ideologii trans. – Dzisiaj nie uważam się za feministkę. Feminizm zmienił swoje oblicze. Czułam się nią w czasach, kiedy zaostrzano prawo aborcyjne. Czułam młodość, power, że my, kobiety, będziemy równo traktowane. Byłam nakierowana bardziej na karierę, nie życie rodzinne [...]. Feminizm, który zawsze był blisko z osobami LGBTQ, dziś zaczyna dostrzegać, że nie do końca to, o co dziś walczy ten ruch, jest walką o prawa kobiet – gdy zaczyna się umożliwiać transmężczyznom rywalizowanie z kobietami w sporcie, a mają przecież wyraźną przewagę – tłumaczyła.

Podkreśliła, że patrzy na tę kwestię nie „z perspektywy fobii", ale próbując przewidzieć konsekwencje rozmywania pojęć takich jak płeć. – Myślę o konsekwencjach i pewnym cierpieniu, jakie to może wywołać w przypadku młodej osoby, która ma problemy z tożsamością. Mówi się, że najlepszym i jedynym rozwiązaniem jest zmiana płci, będzie w tym bardzo wspierana i dojdzie do sytuacji amputacji piersi przez młodą dziewczynę, a po latach zda sobie sprawę, że jednak nie o to chodziło i że to są rzeczy nieodwracalne [...]. Ciężki bywa ten krzyż. Dziś nawet mówienie o tym, że pojawia się trend detranzycji [odwracania procedury „zmiany płci" – przyp. Z.D.P.], czyli powrotu do tego, co było przy urodzeniu, staje się transfobiczne – wskazała w rozmowie z Lisem. Jaruzelska zaprasza na swój kanał wywodzących się z lewicy aktywistów „antytrans" – m.in. „cancelowaną" przez środowiska feministyczne Kayę Szulczewską oraz biologa Łukasza Sakowskiego, który sam stał się ofiarą środowisk protranzycyjnych.

RESORTOWE DZIECKO

Pół roku po wprowadzeniu przez swojego ojca stanu wojennego Monika Jaruzelska ukończyła XLIV Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Banacha (przed dekomunizacją Antoniego Dobiszewskiego). – W liceum byłam w klasie z redaktorem Jankiem Wróblem [...]. Siedzieliśmy zawsze blisko, psociliśmy bardzo. Do tego samego liceum, tylko klasę niżej, chodził Rafał A. Ziemkiewicz, dawany jako przykład przez nauczycielkę polskiego – „wy jesteście polonistki; o, ten Ziemkiewicz to jest humanista, olimpijczyk, całego Lema ma w małym paluszku". Wam tylko dyskoteki i chłopaki w głowie – wspominała u Tomasza Lisa.

– Tak naprawdę najbardziej interesowała mnie psychologia. To mi się marzyło, ale pod wpływem rodziców została ta polonistyka wybrana. Przy skali kwestii politycznych, które były wtedy bardzo gorące, nie było takich trudności, które dzisiaj mogą spotkać ludzie po obu stronach sporu. Wtedy, chyba mimo wszystko, ludzie bardziej ze sobą rozmawiali. Nawet jeżeli się kłócili, to była to jakaś forma dialogu. Teraz tej wymiany już nie ma, są „bańkowość" i wrogość – przekonywała.

Mocno związała się ze światem mody. Na początku lat 90. współtworzyła miesięcznik „Twój Styl", gdzie przez osiem lat kierowała działem mody i stylizacji. Pełniła funkcję dyrektor kreatywnej i członka zarządu grupy kapitałowej, w której skład wchodziły m.in. przedsiębiorstwo jubilerskie W. Kruk i dom mody Deni Cler.

eprasa.pl 5b4182b876

Współpracowała z lifestyle'owym magazynem „Elle Polska". Założyła i współprowadziła kurs „Szkoła Stylu dla Stylistów". Jaruzelska próbowała sił jako projektantka. Dwukrotnie zaprezentowała autorskie pokazy mody w sezonach jesienno-zimowych. W 2010 r. „Szkoła Stylu Moniki Jaruzelskiej" i SWPS stworzyły semestralne studium „Moda, media, marketing".

Przez lata była postrzegana jako ikona stylu, lewicowa intelektualistka, dla mainstreamu była „swoja". Miała momenty „celebryckie" – w 2015 r. paparazzi przyłapali ją na nagim opalaniu się nad jednym z mazurskich jezior, a publikacja zdjęć wywołała niemałą burzę. „Wyrazy głębokiego współczucia dla ukrytego w głębokich zaroślach i kąsanego przez gzy fotoreportera. Tyle godzin tylko po to, by sfotografować pośladki starszej pani. Życzę »Super Expressowi« młodszych i atrakcyjniejszych »modelek«, które same chętnie zapozują. Czytelnikom też życzę lepszych widoków i pozdrawiam ich serdecznie. W przeciwieństwie do redakcji »Super Expressu«, która naruszyła moje dobra osobiste" – odpowiedziała kpiąco Jaruzelska.

Dziś po sympatii „elit" nie zostało wiele. Monika Jaruzelska wydaje się jednak nie mieć z tym problemu. Zapewnia, że jest świadoma politycznego ryzyka, które niesie jej działalność dziennikarska. – Prawie przy okazji każdego gościa wiem, że mi się dostanie – albo od mainstreamu, albo od widzów […]. Najpierw był u mnie Krzysztof Bosak, a potem była rozmowa z Jerzym Urbanem. I niektórzy po rozmowie z Bosakiem byli przekonani, że będą mój kanał oglądać, a tu masz, wyszło szydło z worka, maski zostały zrzucone i „Goebbels stanu wojennego" – opowiadała Lisowi.

Pytana, czy są osoby, których do siebie nie zaprosi, odparła, że nie. – Przy okazji zaproszenia Grzegorza Brauna miałam wątpliwość, że mój kanał może zostać usunięty. Jednocześnie zazwyczaj osoby, które niespecjalnie mogą się pokazać w mediach, generują rekordowe wyświetlenia – przyznaje, potwierdzając tym samym opinie, że jednym z jej motywatorów są internetowe zasięgi. – Zauważyłam, że dziś w tzw. dziennikarstwie śledczym nie pyta się osoby oskarżonej, tylko sąsiadów, znajomych i powstaje portret tej osoby. Tak skonstruowany, że osoba, która powinna być przede wszystkim pytana, odwraca się. Z pewnymi osobami się nie rozmawia – zauważała.

Publicystka zapewnia, że stara się zrozumieć motywy działań swoich gości. – Pytanie podstawowe, które coraz rzadziej zadajemy, brzmi: dlaczego? Jeżeli zrozumiemy, dlaczego, to jak, po co, stają się prostsze […]. Grzegorz Braun przyszedł do mnie po raz pierwszy, kiedy jeszcze prowadziłam program „Towarzyszka panienka" w „SE" i to była dla mnie bardzo trudna rozmowa, emocjonalnie. Miałam założenia bezstronności, a wiedziałam, że Braun będzie sporo złych rzeczy mówił na temat mojego ojca. Zrobił to w sposób kulturalny, ale czułam w trzewiach, że to mnie boli, ale przeprowadziłam rozmowę tak, że nie przerywałam mu, nie wybielałam generała – podkreśliła.

Pod koniec stycznia Monika Jaruzelska wzięła udział w kongresie KINGS (w panelu poświęconym wolności słowa), organizowanym przez Grzegorza Brauna, co ściągnęło na nią kolejną falę krytyki

Monika Jaruzelska uważa, że podział na prawicę i lewicę jest nieaktualny. – Dziś nie ma optyki „ZOMO kontra opozycja". Istotne są inne rzeczy. Kwestia stosunku do UE, stosunku do klimatu, do pandemii i szczepień, do pomocy Ukrainie, stosunku do tego, co dzieje się w Strefie Gazy. Te rzeczy dziś nas bardziej dzielą […]. Cały czas posługujemy się podziałami prawica – lewica, opozycja postsolidarnościowa – komuniści, a sytuacja się zmieniła – przekonuje. W wywiadzie u Tomasza Lisa dała wyraz swojemu sceptycyzmowi wobec klimatycznych nowinek. – Jestem przeciwko Strefie Czystego Transportu, która naprawdę będzie wykluczała bardzo wiele osób. Nie będzie ich stać na nowe, elektryczne samochody. Nie mieszkają w samej Warszawie. Nie jest tak, jak radośnie głosi Lewica, że można przyjechać do pracy na rowerze albo metrem. Jeżeli ktoś sprzedaje warzywa na bazarku, to nie przywiezie ich na rowerze. Albo osoby, które chorują onkologicznie i muszą jeździć między szpitalami samochodem – argumentowała, będąc jeszcze stołeczną radną. – Myślenie o tym, żeby smog był mniejszy, powinno być myśleniem architektonicznym – jak budować, żeby nie zabudowywać korytarzy powietrznych. Zresztą były robione badania w czasie ostrego lockdownu, kiedy niewiele osób przemieszczało się, i okazało się, że natężenie smogu było takie samo […]. Ludzi zachęcało się do zakładania ogrzewania elektrycznego, a zaraz i to będzie likwidowane. My dzisiaj żyjemy tym, czy kogoś wsadzą do więzienia czy nie, co powiedział prezydent czy premier, natomiast nasze życie to ile będziemy płacić za gaz, za prąd – podkreślała. Jej zdaniem lewica, która tradycyjnie broniła najuboższych, dziś forsuje rozwiązania na rzecz klimatu, uderzające głównie w nich.

WPIS W „BRUNATNEJ KSIĘDZE"

Pod koniec stycznia Monika Jaruzelska wzięła udział w kongresie KINGS (w panelu poświęconym wolności słowa), organizowanym przez Grzegorza Brauna, co ściągnęło na nią kolejną falę krytyki. – Redaktor Karolina Lewicka z TOK FM powiedziała, że już właściwie zdecydowałam się i będę startowała do Senatu z list Konfederacji Korony Grzegorza Brauna. Państwo, którzy mnie oglądają, wiedzą, że za każdym razem dziękuję, mówię, że pochlebia mi taka propozycja, ale nie zamierzam – z różnych względów – podejmować się tego. Niedokładność dziennikarska niepołączona z dobrą wolą potrafią splatać figla i przedstawić słuchaczom wiadomość, która nie jest prawdziwa – odpowiadała później krytykom.

W 2020 r. Monika Jaruzelska została wpisana do „Brunatnej księgi" Stowarzyszenia „Nigdy Więcej", które reklamuje się jako „antyfaszystowskie". Powodem była publikacja na kanale rozmowy z Grzegorzem Braunem. Publicystce zarzucono „brak reakcji na nienawistne treści wygłaszane przez Brauna, a wręcz przytakiwanie im". Szef Stowarzyszenia, Rafał Pankowski, krytykował Jaruzelską za to, że „zdecydowanie skierowała się w stronę radykalnej prawicy, zapraszając do swojego programu innych prawicowych komentatorów".

PS Monika Jaruzelska nie odpowiedziała na próby kontaktu z mojej strony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Łukasz Warzecha

Kłopoty Prawa i Sprawiedliwości mają strukturalne źródło, a zrobienie z byłego ministra edukacji twarzy partii na ok. półtora roku przed wyborami nie jest zmianą strategiczną, tylko pudrowaniem trądu

Od lewej: Przemysław Czarnek, Jarosław Kaczyński, Joachim Brudziński, Mateusz Morawiecki FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Z próżnego i Czarnek nie naleje

Wyobraźmy sobie dużą, renomowaną firmę, która jednak przez złą strategię rynkową, fatalne zarządzanie, nietrafione inwestycje popadła w poważne problemy. Kurs jej akcji spada, zmniejsza się kapitalizacja, rynek dominuje największy konkurent, ale też w jej segment, niegdyś opanowany przez nią bez reszty, coraz śmielej wgryzają się mniejsi drapieżni, agresywni konkurenci, głodni sukcesu. W tej sytuacji założyciel firmy, stojący na czele jej rady nadzorczej, doprowadza do nominacji nowego prezesa zarządu. Pomiędzy oboma panami dochodzi do spotkania. Nowy prezes jest pełen najlepszych chęci, ale od seniora dowiaduje się, że jego możliwości decyzyjne są ograniczone do minimum. Ma tylko dawać nową twarz przedsięwzięciu, natomiast nie może planować żadnej własnej taktyki rynkowej, zmienić sposobu inwestowania, a nawet dobrać sobie współpracowników według własnej woli. Wszystko, co może, to popracować trochę z działem PR nad nowymi reklamami. „Pod maską" wszystko ma zostać po staremu. Nowy prezes wie, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Próbuje wytłumaczyć przewodniczącemu rady nadzorczej, że bez głębokiego wstrząsu firma sobie nie poradzi, ale ten pozostaje nieugięty. Taki brak elastyczności w biznesie na ogół zapowiada upadek.

Sytuacja Przemysława Czarnka, namaszczonego na kandydata Prawa i Sprawiedliwości na premiera, jest taka, jak owego wyimaginowanego nowego prezesa zarządu – a może nawet gorsza, bo formalnie prezes zarządu ma jednak w bieżących sprawach więcej do powiedzenia niż przewodniczący rady nadzorczej firmy, podczas gdy Czarnek jest tylko jednym z 11 figurantów, funkcjonujących w PiS jako wiceprezesi, a o wszystkim ostatecznie decyduje tylko Jarosław Kaczyński.

PODSTAWOWY KŁOPOT

O byłym ministrze edukacji można powiedzieć wiele dobrych rzeczy – jest to bez wątpienia jeden z najinteligentniejszych ludzi w PiS, wybijający się ponad poziom takich tuzów jak Małgorzata Gosiewska czy Joanna Lichocka. Nie zmienia to faktu, że jego nominacja jest desperacką grą pozorów, z której nic nie wyniknie. Kłopoty PiS mają bowiem strukturalne źródło, a zrobienie z Przemysława Czarnka twarzy partii na ok. półtora roku przed wyborami nie jest zmianą strategiczną, tylko pudrowaniem trądu.

eprasa.pl 5b4182b876

Podstawowym kłopotem ugrupowania Kaczyńskiego jest trwała, jak się wydaje, zniżka poparcia do poziomu wyraźnie poniżej 30 proc. Zakładane przez prezesa PiS 40 proc. lub więcej pozostaje w sferze marzeń i staje się przedmiotem kpin prawicowej konkurencji, która łącznie – Konfederacja Wolność i Niepodległość oraz Konfederacja Korony Polskiej – zbierała już w niejednym sondażu więcej niż sam PiS. Odchodzących od PiS wyborców można z grubsza podzielić na trzy grupy: przechodzących do obozu Grzegorza Brauna, przechodzących do Konfederacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oraz generalnie zniechęconych, którzy obecnie deklarują się jako niezamierzający głosować. Jeśli do którejś z tych grup może przemówić Czarnek, to jedynie do tej ostatniej. To są bowiem wyborcy, których do PiS zniechęciły wewnętrzne spory i to, co mogli postrzegać jako brak pomysłu; którzy nie tyle szukali czegoś innego, ile po prostu stracili zainteresowanie polityką. Nowym pomysłem samo w sobie oczywiście nie jest wyznaczenie kandydata na premiera, ale dla tej grupy może to być wystarczający powód, żeby powrócić do popierania ulubionego ugrupowania.

Jeśli jednak ktoś uważa, że pokrzykiwania Czarnka o „OZE-sroze" będą metodą na odzyskanie pozostałych grup, to znaczy, że nie rozumie, co było powodem ich odejścia. Tymczasem za opuszczaniem PiS przez wyborców przechodzących do autentycznie prawicowej alternatywy stały konkretne powody i działania PiS z przeszłości: postępowanie podczas pandemii, stosunek do Ukrainy i traktowanie ukraińskich uchodźców, Polski Ład, etatyzm rządów Mateusza Morawieckiego, polityka wobec Unii Europejskiej, przyjmowanie imigrantów zarobkowych, wreszcie akceptowanie kolejnych elementów Zielonego Ładu. Te dezercje z obozu PiS były zatem świadome, nie emocjonalne. Odzyskiwanie straconych w ten sposób wyborców musiałoby się zacząć od pokazania przez PiS, że przepracował swój dorobek i przyznaje się do błędów. Nic takiego jednak nie tylko nie miało miejsca, lecz było wręcz przeciwnie: jesienią 2024 r. Jarosław Kaczyński w Przysusze wygłosił pamiętne słowa: „Żadnej ekspiacji, żadnego bicia się w piersi – to byłoby wyłącznie działanie na korzyść naszych przeciwników".

Gdy z kolei Jarosław Kaczyński wybierany był po raz siódmy na prezesa partii – także w Przysusze – w lipcu ubiegłego roku, w swoim długim wystąpieniu wyliczył wiele spraw, które były powodem odejścia wyborców, ale w przypadku żadnej z nich nie przyznał się do błędów. Teza przemówienia była taka, że działania były dobre, ale nie spodobały się tej czy innej grupie. Przypominało to niegdysiejsze narzekania środowiska Unii Wolności, że Polacy nie dojrzeli do oświeconej polityki tamtej formacji.

Prezes PiS jest w tej sprawie konsekwentny – także w Hali Sokoła podczas ostatniej konwencji kanwą jego wystąpienia było kilkakrotnie powtarzane stwierdzenie, że ośmioletnie rządy Prawa i Sprawiedliwości były bardzo dobre. Tym razem w ogóle nie było mowy o jakichkolwiek niedociągnięciach, a nawet więcej: padła groźba wobec tych, którzy w PiS chcieliby wspaniałość tamtych ośmiu lat podważać. Takie osoby mają zostać „odrzucone". Czytaj: Naczelnik wykreśli je z list wyborczych.

OKNO MOŻLIWOŚCI SIĘ ZAMKNĘŁO

Każdy specjalista od psychologii polityki i wizerunku łatwo zidentyfikuje zatem nieprzekraczalną trudność, przed którą staje Przemysław Czarnek. Z jednej strony – gdyby przyjąć, że faktycznie jego zadaniem jest odbicie wyborców od obu Konfederacji – ma on przyjąć bardziej asertywny ton w sprawach takich, jak Zielony Ład czy Ukraina. Z drugiej strony jednak wiarygodność tego zabiegu ma poziom – by użyć określenia z rynku obligacji – śmieciowy, ponieważ w procesie zmiany orientacji zabrakło etapu przejściowego pomiędzy poprzednią a obecną polityką, czyli wskazania błędów, przyznania się do nich i opowiedzenia wyborcom, dlaczego zmienia się pogląd. Wrażenie, a nawet więcej: diagnoza jest zatem taka, że wierchuszka PiS uważa wyborców za idiotów, którym da się w niedługim odstępie czasowym opowiedzieć dwie całkowicie odmienne historie, a ci wyborcy przyjmą to za dobrą monetę. Można by nawet uznać, że tak się bardzo często w polskiej polityce dzieje. Jednak w przypadku ruchów na prawicy mamy do czynienia z procesem niejako wyjątkowym, polegającym na wspomnianym już świadomym odchodzeniu od PiS. Tragizm sytuacji Czarnka polega zaś na tym, że okno możliwości, gdy idzie o przyznanie się PiS do błędów i ich rozliczenie, już się zamknęło. Zatem bez tego etapu nie da się odzyskać wyborców, a zarazem nie ma już możliwości jego realizacji. Jest za późno. To kwadratura koła.

Mało tego – mówimy nie tylko o czasie minionym. Niespójności dotyczą również czasu teraźniejszego. Z jednej bowiem strony Czarnek gromko pokrzykuje o konieczności domagania się od Ukrainy szacunku – co, nawiasem mówiąc, jest polityką czysto symboliczną, a od szacunku znacznie ważniejsze są konkretne różnice interesów – a z drugiej w niemal tym samym czasie prawie cała delegacja PiS w Parlamencie Europejskim głosuje za darowizną 90 mld dla Kijowa, opartą w dodatku na wspólnym unijnym długu, przeciwko któremu PiS opowiada się w przypadku SAFE. Takie paradoksy są nie do wytłumaczenia i w oczach uczulonego na nie wyborcy

eprasa.pl 5b4182b876

wyglądają bardzo źle: PiS mówi o sprzeciwie wobec wspólnego długu, gdy idzie o pieniądze na obronność dla Polski, ale głosuje za wspólnym długiem, gdy idzie o podarowanie 90 mld euro skorumpowanej Ukrainie.

Ze słabości wynikającej ze strategii Kaczyńskiego zgrabnie skorzystał Sławomir Mentzen, który w godzinnym filmie wyliczył Przemysławowi Czarnkowi wszystkie jego niekonsekwencje, od głosowania za „piątką dla zwierząt" począwszy, na stworzeniu przez PiS KSeF i planie zrobienia z niego systemu obowiązkowego skończywszy.

Kandydat na premiera niesie również w bagażu wszystko to, co dzisiaj głosi jako cel przyszłego rządu PiS, a czego PiS nawet nie tknął w ciągu swoich dwóch kadencji. Jeżeli w Hali Sokoła Czarnek oznajmia, że czas zerwać z „OZE-sroze" funkcjonującymi dzięki dopłatom oraz wypowiedzieć system ETS, to natychmiast pojawia się pytanie: Dlaczego PiS nie zrobił nic z ETS, mając swojego prezydenta, swój Trybunał Konstytucyjny i osiem lat niemal niepodzielnej władzy? Owszem, można by uznać, że dopiero teraz politycy tego ugrupowania zaczęli rozumieć, w jaką kabałę pakuje nas polityka klimatyczna UE, ale znów – brakuje etapu wyjaśnienia i rozliczenia się z czasem, gdy Jarosław Kaczyński publicznie oznajmiał w Polskim Radiu 24, że nie możemy pozostawać poza Zielonym Ładem, bo oznaczałoby to ustawienie się na marginesie Unii Europejskiej. Jak wyborca zniechęcony do PiS ma oceniać pełną ferworu tyradę Czarnka, gdy trzy metry przed nim siedzi w pierwszym rzędzie Mateusz Morawiecki, który w 2020 r. składał podpis pod konkluzjami szczytu Rady Europejskiej, wprowadzającymi do strategii UE „Fit for 55" oraz mechanizm warunkowości? Tak – ten sam, który dzisiaj politycy PiS przywołują jako powód odrzucenia SAFE oraz który może zagrozić pieniądzom z UE w perspektywie budżetowej lat 2028–2035. Mało tego – przymuszony wewnątrzpartyjnymi względami Czarnek tegoż Mateusza Morawieckiego na konwencji fetuje.

Jak mają się z kolei czuć wyborcy z kręgów przedsiębiorców, wobec których Czarnek składał rytualne ukłony i mówił, jacy są ważni, jeśli co miesiąc dosięgają ich skutki Polskiego Ładu, a obecna władza przepchnęła właśnie przez Sejm radykalną, antybiznesową reformę Państwowej Inspekcji Pracy przy wstrzymującym się gremialnie od głosu PiS, która to reforma jest realizacją jednego z kamieni milowych KPO, będących dziełem nie kogo innego, jak Mateusza Morawieckiego?

Dodajmy do tego niezrozumienie przez PiS, że odchodzący wyborcy nie tolerują już wasalnej relacji z jakimkolwiek aktorem zewnętrznym. Stąd ich głęboka awersja do środowiska Koalicji Obywatelskiej i premiera Donalda Tuska z ich wasalnością wobec Brukseli i Berlina, a także równie głęboka do PiS z jego wasalnością wobec Waszyngtonu i Ukrainy.

Czy Jarosław Kaczyński tego nie rozumie? Trudno powiedzieć. Momentami można odnieść wrażenie, że posunięty w latach polityk nie jest w stanie przyjąć do wiadomości, iż nie jest już po umownej prawej stronie hegemonem. Że wyrosła mu konkurencja, która nie obawia się jego pohukiwań oraz jest odporna na jego szantaże i naciski. Argument z autorytetu Naczelnika, który zawsze działał wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy, jest całkowicie nieskuteczny wobec Mentzena, Bosaka i Brauna. Mało tego – im bardziej Jarosław Kaczyński ich atakuje, tym bardziej działa na ich korzyść.

Żeby PiS zaczął odzyskiwać straconych wyborców, musiałby przepracować swój dorobek i przyznać się do swoich błędów

CHWILOWE USPOKOJENIE SYTUACJI?

Jeśli jednak przyjąć, że prezes PiS nie stracił całkowicie kontaktu z rzeczywistością, to trzeba założyć, że celem nominacji Czarnka nie jest wcale odbijanie wyborców, którzy odeszli, ale wyłącznie choćby chwilowe uspokojenie sytuacji w partii. To w jakiejś mierze może się udać – w krótkim okresie. Mobilizacja wokół jednej osoby, która stara się wypośrodkować pomiędzy różnymi obozami, daje impuls do zajęcia się przygotowaniami do wyborów. Problem w tym, że wszystkie takie dotychczasowe impulsy – a było ich wiele, wystarczy posłuchać wystąpień Jarosława Kaczyńskiego na kongresach i konwencjach PiS z ostatnich dwóch lat – działały jedynie przez krótki czas i zapewne podobnie będzie tym razem. Napięcia w PiS, który prędzej niż później będzie się musiał zmierzyć z sukcesją po swoim założycielu, są zbyt potężne, a nie istnieje żaden uporządkowany i zinstytucjonalizowany mechanizm ich obsługi. PiS retorycznie chwali się, że ścierają się w nim różne poglądy, a jednocześnie Jarosław Kaczyński zapowiada zero tolerancji dla krytyki ośmiu lat rządzenia – co przecież musiałoby być podstawą jakiejkolwiek sensownej debaty.

Podczas konwencji w Krakowie Mateusz Morawiecki sprawiał wrażenie skwaszonego – trudno się dziwić, bo żaden polityk z jego ambicjami nie mógłby siedzieć spokojnie w pierwszym rzędzie, fetując swojego rywala, któremu właśnie powierzono jego wymarzoną rolę. Na te urażone ambicje sygnatariusza „Fit for 55" nakłada się powszechna już przecież w PiS świadomość, że lada moment przyjdzie czas bezpardonowej walki o schedę po Jarosławie Kaczyńskim, który okazał się niezdolny do stworzenia uporządkowanego mechanizmu przekazywania władzy.

W warszawskim Muzeum Narodowym oglądać można jeden z najciekawszych obrazów Jana Matejki: „Śmierć Zygmunta Augusta w Knyszynie w roku 1572". Umierający w wieku zaledwie 52 lat władca leży częściowo bezwładnie na łożu pod baldachimem. Do komnaty cisną się ludzie różnego autoramentu, jeden z dworzan wczytuje się już przy stole w ostatnią wolę króla, być może zamierzając nią manipulować, a inny zaczyna rabunek z królewskich kufrów. Matejko oddał doskonale obraz opuszczenia władcy w ostatnich chwilach, zgodny z relacjami współczesnych. Król nie pozostawił dziedzica, a jego śmierć rozpoczęła okres turbulencji z nieudaną elekcją Henryka de Valois na czele. Ten historyczny epizod powinien sobie Jarosław Kaczyński dokładnie przestudiować, choć być może na zapobieżenie podobnemu rozwojowi wypadków w PiS jest już za późno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami o najważniejszych sprawach dotyczących Polski. Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK

W RUCHU

SEZON 2

PREMIERA
NIEDZIELA
17:45
w Republice

PONIEDZIAŁEK
OD **9:00**

@Telewizja_Republika

MARCIN ROMANOWSKI

PAWEŁ KUKIZ

KAROL NAWROCKI

PATRYK JAKI

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 5b4182b876

Polexit, naprawdę

FOT. ADOBE STOCK

Rafał A. Ziemkiewicz

Wobec przyjętej w Polsce polaryzacji polexit nadchodzi nieuchronnie – i w przeciwieństwie do komentatorów prorządowych widzę w tym nie retoryczne straszenie PiS-em, tylko stwierdzenie faktu. Pytaniem przestaje być „czy", a staje się „jak" to zrobić. Jak uniknąć błędów, które popełnili i nadaj popełniają Brytyjczycy?

Słowo „polexit" wróciło na pierwsze strony gazet i na centralne miejsce infografik pokazywanych w prorządowych dziennikach. Medialną „wajchę", jak zwykle, przełożył sam Kierownik (jak, w przeciwieństwie do „Naczelnika" Kaczyńskiego, zwykli nazywać Tuska jego podwładni). Od pewnego czasu robi to już zupełnie jawnie, wpisami w mediach społecznościowych, i tak samo wyznaczył linię teraz: „Polexit to dzisiaj realne zagrożenie! Pragną go obie konfederacje i większość PiS. Nawrocki jest ich patronem. Rozwalić Unię chcą: Rosja, amerykańska MAGA i prawica europejska z Orbánem na czele. Dla Polski byłaby to katastrofa. Zrobię wszystko, żeby ich powstrzymać".

Można rzec: kolejna „powtórka z rozrywki". Historia „wyprowadzania Polski z Europy" przez PiS sięga bowiem już bardzo głęboko w przeszłość. Bez szeroko zakrojonej kwerendy w źródłach trudno ustalić, kiedy właściwie po raz pierwszy pojawiło się ze strony lewicowo-liberalnego salonu oskarżenie, że „PiS dąży do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej" czy też, jak to chętnie upraszczano, „z Europy", ale na pewno używał go Donald Tusk już w roku 2006. Wtórujące mu media usilnie podkreślały wtedy rozbieżność pomiędzy „wartościami europejskimi" a promowanymi przez Kaczyńskich „przesądami" polskiego „zaścianka". Ze wzmożoną siłą wątek „wyprowadzania z Europy" wrócił po tragedii w Smoleńsku. W kampanii wyborczej w roku 2011 PO niedwuznacznie sugerowała, że upierając się przy jej wyjaśnieniu i tym samym konfliktując nas z Rosją, PiS szkodzi naszym stosunkom z Unią i odcina od płynących z niej dobrodziejstw.

ZDARTA PŁYTA

We wszystkich tych oskarżeniach nie padało jednak jeszcze słowo „polexit". Narodziło się ono po brytyjskim referendum. Abstrakcyjne dotąd „wyprowadzenie" z Europy nabrało wtedy realnego kształtu: to, co zdarzyło się na Wyspach, może się zdarzyć i u nas. Oczywiście w propagandzie PO nie było mowy o tym, że Polacy mogliby zadecydować podobnie jak Anglicy – to byłoby sprzeczne z przyjętą linią, że w większości zdrowe, proeuropejskie społeczeństwo popiera opozycyjny wówczas obóz lewicowo-liberalny, a powrót PiS do władzy to tylko wypadek przy pracy, brak czujności i błąd ordynacji, która dała partii w istocie niechcianej przez większość „techniczną" większość w parlamencie, ale przecież nie moralne prawo do zmieniania czegokolwiek. Aby podtrzymać tę linię, rzucono hasło, że „PiS może wyprowadzić Polskę z UE jednej nocy", za pomocą uchwały sejmowej (!). Jak widać, wiara obozu Tuska w moc sejmowych uchwał także ma swoją historię, a Róża Thun – która pierwsza rzuciła to hasło w „Wyborczej" – może się uważać za prekursorkę „przywracania" nimi „praworządności".

„Rząd PiS wyprowadza nas z UE" – podjął jej hasło Grzegorz Schetyna, ówczesny chwilowy lider PO pod nieobecność Tuska. „PiS kontra Unia Europejska – nieoficjalny polexit już trwa!" wtórowała „odzyskana" przez PO „Rzeczpospolita", a sam Tusk oskarżeniem o „faktycznie już dokonywany" polexit uczynił osią kampanii wyborczej 2023 r. „PiS i Kaczyński chcą wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. Ja to wiem!" – mówił w wywiadach i na wiecach, w imię przedwyborczych emocji odchodząc od argumentacji, że „decyzje Kaczyńskiego układają się w logiczny ciąg" na rzecz wyznania (wiec w Płońsku, wrzesień 2023 r.), że sam był świadkiem takich rozmów Kaczyńskiego ze współpracownikami.

Nie wystarczyłoby miejsca, by wyliczyć wszystkie krzyczące tytuły i transparenty oraz hasła o szykowanym przez PiS polexicie, któremu trzeba zapobiec za wszelką cenę, odsuwając go (względnie:

eprasa.pl 5b4182b876

nie dopuszczając ponownie) do władzy. Wystarczy wrzucić stosowną frazę w internetową wyszukiwarkę. Sama ta obfitość wyników świadczy, że polexitowa propaganda była skuteczna. Innym, pośrednim dowodem jej skuteczności były równie liczne prounijne deklaracje składane przez atakowaną partię, w tym sławna uchwała jej zarządu, zapewniająca, że nigdy, przenigdy Unii PiS nie opuści. A przede wszystkim podejmowane w atmosferze „polexitowego" medialnego terroru decyzje Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudy, pragnących społeczeństwu, deklarującemu we wszystkich sondażach masowe poparcie dla UE, pokazać czynem, że rząd PiS jest równie prounijny i oddany Brukseli jak ci, którzy go oskarżają o zamiar polexitu, a nawet bardziej.

Odgrzanie starej i zawsze dotąd skutecznej narracji i gromkie okrzyki, że niepodpisanie przez prezydenta SAFE czy sprzeciw wobec ETS-ów to „faktyczny polexit", tak jak była nim swego czasu „utrata środków z KPO", wydaje się więc oczywiste, zwłaszcza biorąc pod uwagę ogólny brak nowych pomysłów ekipy rządzącej i jej aparatu medialnego. Pytanie, czy jest to z ich punktu widzenia dobry pomysł, gdy poparcie dla Unii, dotąd masowe i bezkrytyczne, zaczęło się chwiać. Coraz więcej Polaków dostrzega, że Unia nie jest rogiem obfitości i skarbnicą mądrości, tylko źródłem coraz większych problemów. Że zamiast oczekiwanych korzyści – coraz mocniej wiązanych z szantażem i wtrącaniem się w nasze sprawy – płyną z niej nie tylko drobne, dające się jakoś znieść głupoty, w rodzaju korków na uwięzi, lecz także poważne zagrożenia – relokowani migranci, szaleństwa klimatyczne wiodące ku gwałtownemu podniesieniu kosztów życia i upadowi gospodarczemu etc. Dyskurs antyunijny nie jest już własnością grupki radykałów, przemawiają nim Amerykanie. Można oczywiście propagandowo dyskredytować kolejnego prezydenta USA, jak za czasów Jaruzelskiego poniewierano w mediach Reagana, ale to już zupełnie inna sytuacja niż kilka lat temu.

POLITYCZNA RULETKA

Polityczna gra czasem przypomina ruletkę – politycy obstawiają określone trendy i w wyborach okazuje się, który trafił. W ten sposób PiS obstawił kiedyś „Polskę solidarną" przeciwko „Polsce liberalnej" PO – i wygrał. Potem obstawił oczyszczanie życia publicznego z korupcji i układów, podczas gdy PO postawiła na obietnice dobrobytu za unijne pieniądze, które załatwi – i wygrała PO. Dziś Tusk wyłożył już karty na stół: obstawia „pozostanie w Europie" przekonany, że erozja poparcia dla UE nie będzie tak szybka, aby spadło ono do wyborów poniżej gwarantujących mu przetrwanie „50 proc. plus".

Coraz więcej Polaków dostrzega, że Unia nie jest rogiem obfitości i skarbnicą mądrości, tylko źródłem coraz większych problemów

Na razie PiS próbuje się obronić przed taką polaryzacją – ale nie jest w stanie zaproponować innej. Jak zwykle tkwi w tej sprawie w rozkroku – podobnie zresztą jak jego wyborcy, którzy w połowie są za polexitem, w połowie przeciw, a spora ich część uciekła już do Brauna, można sądzić, że właśnie mając dość tego rozkroku.

Ciekawostką minionego tygodnia jest entuzjazm, z jakim obóz władzy przyjął tekst Konrada Szymańskiego – w rządzie Morawieckiego ministra do spraw kontaktów z UE – w weekendowym dodatku do „Rzeczpospolitej". Szymański natychmiast został dopisany do listy „dobrych pisowców", „nadających" na swych byłych przełożonych, podobnie jak prof. Czaputowicz i inni (niezwykle łatwo, nawiasem mówiąc, stać się dla tutejszych mediów autorytetem i gwiazdą – wystarczy najpierw być w PiS, a potem zacząć o nim źle mówić). Entuzjazm, przebijający z tytułu „Były minister z PiS przestrzega przed polexitem", wydaje się jednak płynąć z kompletnego niezrozumienia jego tekstu. Często się tak zdarza znękanym psychicznie entuzjastom PO, że gdy widzą coś, co na pierwszy rzut oka przypomina to, czego potrzebuje i pragnie ich udręczona dusza, nie próbują wnikać głębiej.

Problemy zarysowane przez Szymańskiego warte są poważnego rozważenia i – moim zdaniem – w wielu miejscach zasadniczej polemiki. Jednak nawet pobieżna lektura jego tekstu pokazuje, że poza obroną polityki Morawieckiego i swojej własnej przyświeca mu zupełnie co innego niż przestroga, że jak wygra PiS, to „wyprowadzi Polskę z Unii". Szermując przykładem brytyjskim, dowodzi Szymański raczej czegoś przeciwnego: że do polexitu prowadzi narzucana przez Tuska polaryzacja po linii „za czy przeciw członkostwu w UE". Owszem, padają słowa, że narracja antyunijna „wymknęła się PiS spod kontroli", ale główna tezą Szymańskiego jest, że stało się to z powodu prymitywnego używania przez rząd Tuska UE wyłącznie jako symbolu finansowych transferów i korzyści gospodarczych, tak właśnie jak czynili to swego czasu brytyjscy torysi. W świetle argumentów Szymańskiego postawienie przez Tuska na polaryzację „za czy przeciw polexitowi" jawi się jako powtórka fatalnego pomysłu Davida Camerona, by poddać brexit pod głosowanie w referendum: on też był bezbrzeżnie przekonany, że referendum to wygra w cuglach i na straszeniu brexitem się umocni.

Szymański popełnia, pośród innych błędów, także ten, powszechny niestety, że nie rozumie, iż kłopoty Anglików po brexicie nie wynikają z tego, że go zrobili, ale właśnie z tego, że nie zrobili. Wyjście z Unii pozostało na papierze, bo elita polityczna kraju nadal realizowała wszystkie wskazania Brukseli, i to bardziej gorliwie niż rządy krajów, które w UE pozostały – ponieważ tradycyjne brytyjskie elity polityczne zwyczajnie nie umieją sobie wyobrazić innej przyszłości niż powrót do Unii i w zaczadzeniu nie chcą zrozumieć, że Niemcy, których starania o budowę niemieckiego państwa europejskiego brexit odblokował, nigdy już na to nie pozwolą, więc dorzynanie własnego kraju unijną polityką klimatyczną, migracyjną etc. nie ma żadnego sensu.

NIE „CZY", ALE „JAK"

Szymański pisze, że wobec przyjętej polaryzacji polexit nadchodzi nieuchronnie – i w przeciwieństwie do komentatorów prorządowych widzę w tym nie retoryczne straszenie PiS-em, tylko stwierdzenie faktu. Pytaniem przestaje być „czy", a staje się „jak" to zrobić. Jak uniknąć błędów, które popełnili i nadaj popełniają Brytyjczycy? Jak rozciąć więzy Polski z UE, które miały nas ciągnąć w górę, a ciągną w dół, i jak wykorzystać do tego politykę amerykańską. O tym czas najwyższy zacząć myśleć, zamiast poddawać się propagandowym wzmożeniom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Powrót do przeszłości

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Wiele wskazuje, że projekt europejski w kształcie, który znaliśmy, wypala się na naszych oczach. Czy znajdujemy się w krytycznym momencie, w którym stary porządek – pod pretekstem zagrożenia ze strony Rosji – zamieniany jest pospiesznie w nową strukturę, nazywaną potocznie „superpaństwem europejskim"?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Rzeczywiście następuje dalszy proces centralizacji, skupiania władzy Komisji Europejskiej, poszerzania jej kompetencji wychodzących poza literalne zapisy traktatu o Unii Europejskiej, ale nie myślę, że jest to zerwanie z projektem europejskim. Przecież tego rodzaju zamysł przyświecał integracji europejskiej od samego początku. Dziś mniej się mówi bezpośrednio o takich ideach jak „Stany Zjednoczone Europy" itp. To jest proces bardziej ukryty. Ale u tych, którzy Unię zakładali, także u jej „ojców założycieli", znajdujemy ideę, wedle której Europa powinna stać się także jednością polityczną. Ma więc nie tylko stanowić strefę wolnego handlu, lecz także należy ją wyposażyć w jakieś kompetencje polityczne.

Jeżeli popatrzymy na ostatnie trzy dekady, to widać, że każdy kryzys jest wykorzystywany w celu dalszej integracji, kończy się wzmocnieniem struktur unijnych. Tak było z kryzysem finansowym w 2008 r., tak było w czasie pandemii, tak było z kryzysem energetycznym, tak jest teraz z wojną na Ukrainie. Zmiana, z którą dziś mamy do czynienia, gdzie nie tylko agresja Rosji na Ukrainę jest wyzwaniem, lecz także polityka amerykańska, która wyraźnie opiera się na założeniu, że Europa, państwa europejskie powinny same zadbać o swoje bezpieczeństwo, a zainteresowania geopolityczne Amerykanów są gdzie indziej, daje oczywiście impuls do dalszej ewolucji w kierunku rozwoju struktur państwowych Unii. Politologowie w zasadzie nie bardzo wiedzą, czym jest Unia Europejska. Nie jest to po prostu organizacja międzynarodowa czy blok państw; nie jest to także klasyczne państwo tzw. typu westfalskiego, ale niewątpliwie ma charakter polityczny, jest bytem politycznym skupiającym więcej władzy niż większość poszczególnych państw europejskich. Skłoniłbym się do tezy, że jest to już pewien rodzaj państwa federalnego, być może nowego typu, struktura quasipaństwowa.

W takiej Unii państwa narodowe nie są już potrzebne. Czy w kolejnym etapie „integracji europejskiej" nastąpi ich stopniowa eliminacja?

Zgadzam się z tezą, że na początku procesu integracji europejskiej miało miejsce wzmocnienie państw narodowych w sensie ich spoistości. Przypomnijmy, że te państwa narodowe w Europie, a w latach 30. XX w. nie było ich aż tak bardzo dużo, przeżywały ogromne kryzysy i polaryzacje. Potem przyszła wojna, trzy ideologie uniwersalistyczne, komunizm, narodowy socjalizm, a także faszyzm (co trzeba odróżniać), które miały ambicje ponadnarodowe. Pierwsze lata po drugiej wojnie światowej to czas konsolidacji państw narodowych w Europie Zachodniej – etap, który myśmy opuścili, będąc pod przymu-

eprasa.pl 5b4182b876

sem częścią bloku wschodniego, innego rodzaju unii politycznej. Dziś jesteśmy w fazie, w której rozbudowa quasipaństwa unijnego odbywa się kosztem kompetencji państw narodowych. Ale te państwa wciąż mają swoją polityczną rolę jako poszczególne człony federacji. Niewątpliwie ważną instytucją Unii Europejskiej jest Rada Unii – no i oczywiście Rada Europejska, czyli szczyty przywódców, które wyznaczają strategie całej tej politycznej struktury. Widać ostatnio, że Komisja Europejska i Rada mają więcej władzy i coraz częściej omijają Parlament Europejski.

Sprawa programu SAFE jest tego dobitnym przykładem...

To nie tylko sprawa SAFE, lecz także sprawa umowy Mercosur. Parlament unijny to instytucja, która uchodzi za demokratyczną, jedyna bezpośrednia reprezentacja obywateli w Unii, choć wybierana w państwach narodowych, jest figowym listkiem demokracji.

Atrapą rzeczywistej demokracji.

Tak, ale ma swoje ambicje. I nawet ta ograniczona demokracja bywa w UE niewygodna. Parlament Europejski czasami nie zgadza się z Komisją Europejską. Większość europosłów, z twardej lewicy i z twardej prawicy, nie chce Mercosur, więc Komisja stara się PE zneutralizować. Pomimo protestów Parlamentu Europejskiego i odwoływania się do TSUE układ wejdzie w życie. To samo dotyczy SAFE. W obydwu wypadkach wykorzystywany jest art. 122 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, który umożliwia obchodzenie europarlamentu i wydaje mi się, że ta ścieżka będzie coraz częściej wykorzystywana. Paradoks obecnej ewolucji Unii polega na tym, że z jednej strony mamy coraz silniejszą centralizację przejawiającą się w tym, że Unia będzie mogła się zadłużać na rzecz państw członkowskich, jak w sprawie SAFE, czyli to, co miało być jednorazowe, jak w przypadku Instrumentu Odbudowy i Wzmacniania Odporności w reakcji na pandemię COVID-19, staje się normą, Unia zyska nowe kompetencje. Dodajmy do tego projekt Unii Oszczędnościowo-Inwestycyjnej, czyli kolejny duży krok w stronę stworzenia struktury państwowej. Słabnie rola europarlamentu, rośnie rola Rady, ale jednocześnie wzmacnia się dominacja Berlina. Na pewno nie można powiedzieć, żeby Komisja Europejska miała większe uprawnienia niż rząd w Berlinie.

Jeśli popatrzymy na trzy ostatnie dekady, to widać, że każdy kryzys wykorzystywany jest w celu dalszej integracji

To centralna kwestia. Czy Unia Europejska, przekształcona w przyszłości w superpaństwo europejskie, to wehikuł, który ma umożliwić Niemcom zbudowanie hegemonii w Europie?

Unia wciąż nie jest systemem monocentrycznym. Wciąż jest w niej przynajmniej parę ośrodków, pomiędzy którymi występują pewne tarcia. Takie napięcia mają też miejsca między Brukselą a rządem w Berlinie, co znalazło odbicie w kilku przemówieniach kanclerza Merza. Ale niewątpliwie Unia jest dla Niemiec wygodnym instrumentem. W jakimś sensie ciągle jest nim jeszcze również dla Paryża. To jest tak, że my widzimy tutaj pewną grę o sumie zero-jedynkowej: im więcej ma do powiedzenia Bruksela, tym mniej ma do powiedzenia rząd w Polsce. To też nie zawsze tak było. Można powiedzieć, że przez jakiś czas uczestnictwo w Unii Europejskiej nas jako państwo wzmacniało. Ale w przypadku Niemiec w ogóle nie ma takiej strukturalnej sprzeczności. To znaczy, że Niemcy mogą być silne czy silniejsze również wtedy, gdy Komisja Europejska czy struktury unijne są silniejsze, bo te dwa ośrodki władzy respektują się nawzajem, uzgadniają swoje interesy, nawet jeśli czasem występują różnice. Niemcy mają ogromne wpływy w Brukseli. Podobnie było kiedyś w relacjach Brukseli z Paryżem. Pamiętamy wszyscy słynne powiedzenie Junckera: „Francja jest Francją", które oznaczało wprost, że wobec Francji pewnych rzeczy się nie robi, które już można robić wobec Polski, nie mówiąc już o słabszych krajach. Pytał pan wcześniej o przyszłość państw narodowych w Unii, myślę, że część z nich, zwłaszcza tych mniejszych, widzi w nowej formule Unii protektora swojej nominalnej suwerenności, swojego istnienia. Tą kartą gra przecież także Tusk, jeśli chodzi o propagandę wewnętrzną.

Unia gwarantem polskiej prosperity po wsze czasy...

Naszego bezpieczeństwa, dobrobytu, cywilizacji zachodniej.

Czy to nie jest całkowicie chybiona argumentacja, gdy obserwujemy coraz więcej symptomów implozji Zachodu na wielu płaszczyznach? Za jeden z tych symptomów uznać można wojnę, którą USA i Izrael wszczęły z Iranem. Ta wojna na razie pokazuje, że Zachód nie doszacował siły Globalnego Południa.

Jeżeli mówimy o implozji Zachodu, to nie można pominąć kwestii relacji ze Stanami Zjednoczonymi czy innymi pozaeuropejskimi państwami należącymi do tej cywilizacji. Unia i integracja europejska na pewno nie spełniły dwóch obietnic. Pierwsza dotyczy założenia, że kiedy państwa europejskie będą działać wspólnie, to cała Europa będzie mogła konkurować z Chinami, Indiami i oczywiście ze Stanami Zjednoczonymi. To się nie stało. Jak wiemy, jest potężna luka innowacji i dynamizmu gospodarczego. Widzimy raczej, że Europa traci gospodarczo. Unia budowała mit o swojej potędze na rzekomej potędze gospodarczej i moralnej jako czempion ochrony klimatu, z wielką soft power w obszarze praw człowieka. To wszystko zawiodło. Obecnie okazało się, że konieczna jest twarda siła. Stąd przyspieszenie zmian, o których mówimy.

Druga obietnica integracji europejskiej, której Unia nie spełniła, to związanie Niemiec, tak żeby znowu nie stały się krajem dominującym w Europie. Jeżeli dziś „na agendzie" jest obronność, to raczej będzie to wzmacnianie sił zbrojnych na poziomie państw narodowych. W istocie oznacza to wielką remilitaryzację Niemiec. I to taką, która będzie miała zupełnie inny charakter, inną skalę niż w okresie zimnej wojny. Niemcy już planują wydawać na zbrojenia więcej niż Francja i Wielka Brytania razem wzięte. Dziś, jeśli chodzi o procentowy udział w budżecie, przeznaczają na obronność znacznie mniej niż my, ale w sumach bezwzględnych te nakłady są ok. trzech razy większe od polskich. Jaka będzie dysproporcja za parę lat? Niemcy mają silne zaplecze przemysłowe. Oczywiście teraz są pogrążone w kryzysie i pojawia się pytanie, jak szybko z niego wyjdą...

eprasa.pl 5b4182b876

Innym strategicznym wyzwaniem, które staje przed Polską, jest akcesja Ukrainy do Unii. Jej wielkim rzecznikiem są Niemcy, które przez całe lata blokowały Turcję w jej staraniach o członkostwo w Unii. Dlaczego Niemcom tak bardzo zależy na Ukrainie w Unii, mimo że jest to scenariusz nie do przyjęcia przez Rosję?

Jest to tym bardziej dziwne, że przez całe lata utrzymywał się mit o jakimś porozumieniu z Rosją, że NATO nie może się rozszerzać na wschód, że w Polsce nie mogą stacjonować znaczne siły NATO-wskie, zwłaszcza żołnierze amerykańscy. Złamanie tego rzekomego układu miało być przyczyną agresywnej polityki Rosji, a ostatecznie ataku na Ukrainę. Wydaje mi się, że siły rządzące Europą, to znaczy z jednej strony kontrolujące instytucje europejskie, z drugiej mające władzę w najważniejszych ośrodkach politycznych, takich jak Berlin czy Paryż i Londyn, bo Wielka Brytania zachowuje przecież istotną rolę w polityce europejskiej, są zdeterminowane w sprawie włączenia Ukrainy do swojej strefy wpływów. Przypuszczam jednak, że na początku w grę nie wchodzi pełne członkostwo. Trzeba zakładać, że wykreowana zostanie jakaś nowa struktura albo forma uczestnictwa w Unii Europejskiej. Odwołam się w tym miejscu do znanej teorii prof. Jana Zielonki, według której Unia Europejska stanowi imperium. Przy czym nie jest to nowoczesne imperium, w sensie państwa typu westfalskiego, o określonych granicach, kompetencjach, tworzące jedną przestrzeń polityczną i prawną, tylko mozaika, w ramach której są też jakieś terytoria zależne. Moim zdaniem Ukraina będzie miała status takiego terytorium zależnego. To będą takie, używając metafory I Rzeczypospolitej, Dzikie Pola, gdzie będą Kozacy pilnujący granic. Państwo Ukraina już dziś utrzymywane jest ze środków unijnych, tak jak przez lata utrzymywana była Autonomia Palestyńska, stanowiąc w pewnym sensie unijny protektorat.

Trzymając się historycznych analogii. Kozaczyzna na Dzikich Polach, ze względu na swoją wojowniczość, była źródłem stałych problemów dla Rzeczypospolitej, finalnie w istotny sposób przyczyniając się do jej upadku. Historia lubi się powtarzać...

Nie wiadomo oczywiście, jak potoczy się historia. Nie można wykluczyć, że włączenie Ukrainy do Unii doprowadzi do implozji całego systemu. Rozważmy różne warianty. Sądzę, że w najbliższym czasie Ukraina – tradycyjnie zorientowana na Niemcy – będzie coraz głębiej wchodziła w struktury unijne. Ale to będzie rodziło dla nas ogromne problemy związane z ekonomią, rolnictwem itd. Można się spodziewać, że w tej sytuacji Unia będzie poświęcała interesy pewnych swych prowincji na rzecz pozostałych. Nie znamy do końca rozstrzygnięć, do jakich dojdzie w przyszłości, zwłaszcza że w różnych częściach unijnego „imperium", również tych metropolitalnych, pojawia się silny opór wobec tendencji, które są forsowane przez centrum polityczne.

Na pewno nie udało się powstrzymać hegemonii niemieckiej w Europie tzw. metodami wspólnotowymi

Na Bliskim Wschodzie toczy się wojna, która jest chyba najbardziej spektakularną odsłoną narastającego konfliktu między Zachodem a Globalnym Południem. Czy „mozaikowe imperium", które próbuje zbudować Unia Europejska, pozbawione realnego potencjału militarnego może przetrwać „wojnę światów"?

Zapewne nie i stąd niektórzy wyciągają taki wniosek, że należy pozwolić uzbroić się państwom, ale żeby nie było zbyt dużej nierównowagi między nimi, musimy się uzbroić, wykorzystując także mechanizmy i fundusze unijne, wspierając tych, którzy są słabsi. Myślę, że tak myślą premier Tusk i minister Sikorski. I chcą realizować tę strategię niezależnie do tego, ile to będzie kosztowało politycznie. Gotowi zapłacić są kolejnym stopniem uzależnienia się od UE także dlatego, że docieramy do granic wyporności polskiego budżetu. A trzeba przecież także podtrzymywać lojalność swego elektoratu.

W przyszłości można spodziewać się dążenia do zespolenia wszystkich tych narodowych armii pod flagą unijną. Armie państw członkowskich przybiorą postać chorągwi regionalnych czy narodowych. Unia będzie wzmacniać swoją „siłę twardą", by zapewnić sobie bezpieczeństwo, wygrać wojnę gospodarczą wobec narastającego wskutek wojny na Bliskim Wschodzie kryzysu energetycznego i mieć jeszcze coś do powiedzenia w ramach „kolektywnego Zachodu", wobec Stanów Zjednoczonych. To jest wizja, która przyświeca architektom nowego ładu politycznego w Europie. Bardzo często patrzymy na tendencje, o których rozmawiamy, jako na zagrażające nam, a na pewno ograniczające nasze możliwości i podmiotowość.

W Polsce nie mówi się tak głośno, jak w mniejszych państwach Unii, że jedyną szansą przeżycia jest przyklejenie się do większej całości, połączone z rezygnacją ze swoich ambicji, ale tak myślą politycy obozu rządzącego. Opozycja sądzi natomiast, że Polska jest państwem na tyle dużym, żeby nie być skazana na politykę rezygnacji z realnej suwerenności.

Musimy sobie jednak zdawać sprawę, że gdyby doszło do implozji obecnej architektury politycznej, to staniemy przed ogromnym wyzwaniem. Widać to na przykładzie „kwestii niemieckiej". Na pewno nie udało się powstrzymać hegemonii niemieckiej w Europie tzw. metodami wspólnotowymi. Część naszych polityków jednak nadal w to wierzy. Nawet byli ministrowie spraw zagranicznych i europejskich rządu Zjednoczonej Prawicy głoszą takie tezy. Nie chcą się pogodzić z tym, że historia sfalsyfikowała to założenie. Ale alternatywą nie może być po prostu Europa rywalizujących ze sobą państw, lecz jakiś nowy rodzaj sojuszu, jakaś nowa forma polityczna Europy lub poszczególnych jej regionów, abyśmy za 20–30 lat nie mieli do czynienia Niemcami zremilitaryzowanymi, jeszcze bardziej ekspansywnymi i nacjonalistycznymi. Ewentualny rozpad UE sprawi, że będziemy mieli bardzo trudną sytuację.

Wrócą demony przeszłości...

Niestety tak. Nikt nam nie zagwarantuje, że po dekadach integracji europejskiej na końcu otrzymamy mniej więcej taki sam układ sił, jaki był w Europie w latach 1938–1939. Byłoby to tragiczne. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale to zależy też od naszego wysiłku, zarówno gospodarczego, militarnego, dyplomatycznego, jak i intelektualnego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Showman wraca do Łodzi

Piotr Semka

Kardynał Konrad Krajewski wraca do kraju i można przypuszczać, że po objęciu archidiecezji łódzkiej dołączy do lobby „franciszkańskiego", które właśnie wciela wprowadzanie procesu synodalnego do swoich diecezji. Na tym tle bliskie relacje Konrada Krajewskiego z Grzegorzem Rysiem mogą jeszcze wzmocnić specjalną pozycję metropolity krakowskiego w polskim Kościele, szczególnie w jego relacjach z resztą polskiego episkopatu

Papież Leon XIV mianował kard. Konrada Krajewskiego metropolitą łódzkim. Niegdysiejszy jałmużnik papieski obejmie swoją archidiecezję w archikatedrze łódzkiej 28 marca. Polskie media skomentowały tę decyzję pontifexa w większości w dość jednostajny sposób. „Czy Robin Hood z Łodzi da radę?", „Nowa misja dla ulubieńca papieża Franciszka" czy „Przedstawiciel linii franciszkańskiej na czele jednej z polskich archidiecezji".

Do znudzenia przypominano opowieść o tym, jak Krajewski włamał się do zapieczętowanej skrzynki z włącznikami elektrycznymi w domu ubogich emigrantów, w którym prąd wyłączono za niepłacenie rachunków, i jego specjalne misje z nadania Franciszka na Ukrainę w czasie trwającej tam wojny z Rosją.

Nie zabrakło też tonu triumfalizmu rzeczników polskiego Kościoła otwartego. „Nominacja kard. Konrada Krajewskiego na arcybiskupa Łodzi będzie kontynuacją stylu kard. Grzegorza Rysia i jednocześnie wzmocnieniem biskupów, którzy jednoznacznie i coraz odważniej wypowiadają głośne »nie« traktowaniu migrantów i uchodźców jako straszaka z jednej strony, a z drugiej – ludzi drugiej kategorii"– pisał w „Gazecie Wyborczej" ks. Kazimierz Sowa.

FOT. REMO CASILLI/REUTERS/FORUM

ŁÓDZKI RZYMIANIN

Kim jest następca kard. Rysia na łódzkim tronie metropolitalnym? Konrad Krajewski urodził się 25 listopada 1963 r. w rodzinie nauczycieli i wyrastał na łódzkim osiedlu Marysin. Jest to dzielnica na obrzeżach Bałut, złożona z blokowisk i nienajbogatszych domków z lat 60.

Dorastał w latach stanu wojennego, gdy ruch oazowy był ucieczką od wszechogarniającej brzydoty i przygnębienia epoki rządów gen. Jaruzelskiego.

Zaangażowanie oazowe pchnęło go do wyboru drogi duchownego i w latach 1982–1988 studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi. Równolegle studiował teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Praktykę wikarego odbywał tylko przez dwa lata w kolejnych parafiach, najpierw w Ruścu, a potem w jednej z parafii w Łodzi. W 1990 r. po raz pierwszy wyjeżdża na trzy lata na studia do Rzymu w Papieskim Instytucie Liturgicznym św. Anzelma. Potem bezpośrednio przechodzi na kolejne studia, też ze specjalizacją liturgii, na Papieskim Uniwersytecie św. Tomasza z Akwinu. Kolejne dwa lata to powrót do Polski i służba w roli ceremoniarza abp. Władysława Ziółka.

Szczęście uśmiecha się do niego w 1997 r., kiedy podczas jednej z kolejnych pielgrzymek do Polski Jana Pawła II pełni funkcję ceremoniarza w czasie Mszy papieskich. Musiał wtedy „wpaść w oko" bądź samemu Janowi Pawłowi II, bądź komuś z jego otoczenia, gdyż rok później został pracownikiem Urzędu Papieskich Celebracji Liturgicznych, a już w 1999 r. został wyniesiony na stanowisko ceremoniarza papieskiego. Potem już kolejne godności sypały się dość miarowo – w 1999 r. został prałatem honorowym papieża, a w 2002 r. kapelanem Jego Świątobliwości. Uwieńczeniem tej passy było przyznanie mu funkcji oficjalnego ceremoniarza podczas uroczystości pogrzebowych Jana Pawła II w 2005 r. Był też ceremoniarzem podczas konklawe, na którym wybrano Benedykta XVI. Gdy w 2010 r. Polska żegnała prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego żonę, koncelebrował Mszę żałobną na Wawelu jako wysłannik papieża Benedykta. Dwukrotnie asystował przy ogłaszaniu nowych papieży: w 2005 r., gdy na balkonie Bazyliki św. Piotra ukazał się świeżo wybrany Benedykt XVI, i w 2013 r., gdy asystował kard. Jeanowi-Louisowi Tauranowi przy ogłoszeniu światu wyboru papieża Franciszka. I wtedy jego kariera gwałtownie przyspieszyła.

Konrad Krajewski otoczony jest mnóstwem anegdot, które chętnie powtarzają dziennikarze, starający się stawiać go w jak najlepszym świetle. Jedna z nich głosi, że Franciszek miał dowiedzieć się o jednym z pracowników jego kurii, który miał się wymykać incognito na miasto, aby rozdawać najbardziej potrzebującym drobne sumy pieniędzy i częstować bezdomnych robionymi przez siebie kanapkami. Miało to skłonić Franciszka do ustanowienia

sa.pl 5b4182b876

go jałmużnikiem papieskim i powierzenie mu opieki nad ubogimi. Opowieść ta brzmi dość cukierkowo, ale faktem jest, że ktoś, kto wchodził w dorosłość w epoce najgłębszego kryzysu w dziejach PRL w niebogatej łódzkiej dzielnicy Marysin, miał wszelkie powody, by być uczulonym na ludzkie ubóstwo.

Krajewski szybko stał się gwiazdą włoskich mediów, które zachwycały się najrozmaitszymi jego inicjatywami charytatywnymi. Wpisywało się to w manierę liberalnych mediów, które gotowe są zaakceptować księży wyłącznie przy pracy charytatywnej. Pisano o tym, jak zaordynował budowę łazienek, a nawet tymczasowego zakładu fryzjerskiego dla ubogich w kolumnadzie otaczającej Plac św. Piotra, zachwycano się opowieściami o jego regularnych wyprawach na rzymskie dworce, gdzie rozdawał bezdomnym dary od papieża, czy najsłynniejszą jego akcją, wspomnianym już zerwaniem plomb z licznika w kamienicy, której mieszkańców nie było stać na opłacanie rachunków, i zadeklarowaniem, że zadłużenie będzie spłacane z jego kiesy.

Krajewski doskonale sprawdził się w roli „człowieka do zadań specjalnych" papieża Franciszka. Gdy papież z Argentyny był krytykowany za swoisty symetryzm wobec Rosji i Ukrainy w komentowaniu wojny, która wybuchła w lutym 2022 r., kardynał z Polski został wysłany w marcu 2022 r. na Ukrainę w demonstracyjnej misji, w ramach której święcił groby poległych żołnierzy ukraińskich i odwiedził potem Buczę znaną z masakry cywilów, którzy zginęli z rąk rosyjskich żołnierzy. Odbył też wyprawę do Fatimy, gdzie w tamtejszym sanktuarium przewodniczył ceremonii zawierzenia Rosji i Ukrainy Niepokalanemu Sercu Maryi. Wtedy zaczęto go nazywać showmanem z Watykanu.

Papież Bergoglio, który w trakcie posługi w Buenos Aires wiele lat spędził w fawelach, do posługi ubogim przywiązywał nieporównanie większe znaczenie niż jego poprzednicy. Był to element jego latynoskiej specyfiki, a także i doświadczeń osobistych. I w tym punkcie doskonale rozumiał się z Krajewskim. Co więcej, „partyzanckie metody Konrada Krajewskiego doskonale pasowały do dość chaotycznej epoki franciszkańskiej w Watykanie. A to dopasowanie się do papieskich wyobrażeń skutkowało kolejnymi awansami w strukturze kościelnej. Już w sierpniu 2013 r., czyli pięć miesięcy po rozpoczęciu pontyfikatu, Franciszek wyniósł go do tytułu arcybiskupa, a pięć lat później ogłosił nominację kardynalską dla duchownego z Łodzi.

Awans w ciągu pięciu lat z arcybiskupa na kardynała w wypadku liczącego jedynie 54 lata księdza z Polski był dość błyskotliwą i szybką karierą. Co jednak warto zaznaczyć – Krajewski zawsze dbał o utrzymywanie kontaktów z rodzinnym miastem. Obie Msze prymicyjne – po mianowaniu na arcybiskupa i później, po nominacji kardynalskiej – odprawił w archidiecezji łódzkiej. Zawsze też przy takich okazjach pamiętał o uhonorowywaniu w wyraźny sposób arcybiskupa łódzkiego Władysława Ziółka, który niegdyś wyświęcił go na kapłana. W 2008 r. został nawet kanonikiem honorowym Kapituły Archikatedralnej w Łodzi.

WZOROWY „FRANCISZKANIN"

Krajewski był jednym z najwyrazistszych reprezentantów tego, co nazywano duchem odnowy Franciszka w Kościele. W 2019 r. Krajewski został zapytany o planowaną paradę środowisk LGBT w Białymstoku, która wówczas wywołała spory sprzeciw części katolików w tym mieście. Krajewski odpowiedział tak: „Gdybym był tam biskupem, to po prostu wyszedłbym na drogę i zaprosił wszystkich do katedry. Jezus robił podobnie". Nie omieszkał przy okazji wzmocnić tej swojej wypowiedzi zjadliwą uwagą: „Wyobrażacie sobie, co by się działo (potem) w poniedziałek? Wszyscy pobożni z katedry przychodziliby z wodą święconą i szorowaliby ławki".

Była to wypowiedź dość arogancka. Ignorowała fakt, że na jednej z homoparad w Warszawie miała miejsce parodia katolickiej Mszy w wykonaniu człowieka, który deklarował, że stworzył nowy Kościół dla homoseksualizmów. Jednak zazwyczaj Konrad Krajewski udzielał wypowiedzi polskim dziennikarzom rzadko. Jeśli już, to wypowiadał się w kwestiach obowiązku chrześcijańskiego jak najszerszego otwarcia się na imigrantów z krajów Trzeciego Świata szturmujących wybrzeża Europy. Status najlepszego ucznia Franciszka dał mu – według licznych opinii – nieformalną rolę decydenta we wszystkich najważniejszych sprawach dotyczących polskiego Kościoła, na dodatek mającego częsty i bliski dostęp do ucha papieża Franciszka.

W wywiadzie dla portalu Onet wykładowca UKSW ks. Andrzej Kobyliński mówił: „W czasie pontyfikatu Franciszka kardynał Krajewski był swego rodzaju »konsulem, namiestnikiem rzymskiego cesarza w naszej słowiańskiej prowincji«. Owszem, mieliśmy oficjalnego ambasadora papieskiego w osobie nuncjusza apostolskiego w Warszawie, ale była także bardzo ważna osoba decyzyjna w Rzymie, czyli Konrad Krajewski. Tak o tym ćwierkały wróble na dachach od Rzymu po Warszawę. Ich zdaniem to Krajewski otworzył wrota Rzymu dla Rysia. W ten sposób w 2020 r. stał się on (tj. Grzegorz Ryś) członkiem niezwykle ważnej Kongregacji (obecnie Dykasterii) do spraw Biskupów, która przygotowuje nominacje biskupie dla całego świata".

Ten nieformalny specjalny status Konrada Krajewskiego potwierdza też Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej", który pisze: „Wśród watykanistów kardynał Krajewski uchodzi za głównego architekta polityki Franciszka w odniesieniu do nominacji polskich biskupów. Swego czasu opowiadano nawet anegdotę, że gdy do papieża wkraczał kard. Marc Ouellet – do kwietnia 2023 r. prefekt Dykasterii do spraw Biskupów – z nominacjami dla polskich diecezji, słyszał od Franciszka pytanie: »Ma Corrado lo sa?« (Ale Konrad wie?). »Si, si« – potwierdzał kardynał prefekt. »Va bene« (To dobrze) – Franciszek kończył temat i płynnie przechodził do innych kwestii".

Nominacje na najważniejsze stolice metropolitalne w Polsce mogą potwierdzać tę opowiastkę. Nominacje dla metropolity gnieźnieńskiego jako prymasa dla Wojciecha Polaka, obsadzenie Warszawy po liberalnym abp. Kazimierzu Nyczu kandydaturą abp. Adriana Galbasa przeniesionego z Katowic czy wreszcie przeniesienie kard. Grzegorza Rysia z Łodzi do Krakowa – wszystkie te nominacje stworzyły silny „liberalny" czworokąt hierarchów na linii Gniezno – Warszawa – Łódź – Kraków. Oczywiście nie były to jedyne nominacje, bo już wyznaczenie dla Poznania abp. Zbigniewa Zielińskiego, abp. Andrzeja Przybylskiego na archidiecezję katowicką czy abp. Wiesława Śmigiela na metropolię szczecińsko-kamieńską było wytypowywaniem hierarchów bardziej zbliżonych do polskiego kościelnego „środka". Ale najważniejsze stolice, być może przy jakimś

eprasa.pl 5b4182b876

udziale Konrada Krajewskiego, zostały obsadzone przez wyraźnych liberałów.

Teraz Krajewski wraca do kraju i można przypuszczać, że dołączy do lobby „franciszkańskiego", które właśnie wciela wprowadzanie procesu synodalnego do swoich diecezji. Na tym tle bliskie relacje Konrada Krajewskiego z Grzegorzem Rysiem mogą jeszcze wzmocnić specjalną pozycję metropolity krakowskiego w polskim Kościele, szczególnie w jego relacjach z resztą polskiego episkopatu.

ŁÓDZKA SZARZYZNA PO RZYMSKIM KARNAWALE

Papież Leon XIV nawiązuje do części haseł epoki Franciszka, ale w jednym odróżnia się wyraźnie od swego poprzednika. W miejsce bergoliańskiego zarządzania chaosem wprowadza na powrót zasady porządku, niepolegania na improwizacji – klimatu, w którym tak doskonale rozkwitła gwiazda Konrada Krajewskiego.

Jeden z księży dobrze znających watykańskie relacje mówi: „Zwraca uwagę stosunkowo szybkie wyekspediowanie byłego jałmużnika z Watykanu. Decyzję o jego powołaniu na metropolitę łódzkiego ogłoszono 12 marca, a już na 28 marca zapowiedziano jego ingres do łódzkiej katedry. Zazwyczaj takie powroty z Rzymu trwały znacznie dłużej. Mało kto zauważa, że obie decyzje o przeniesieniu kard. Rysia z Łodzi do Krakowa i wysłanie kard. Konrada Krajewskiego z Rzymu do Łodzi mają oczywiście pewien walor prestiżowy, ale oznaczają na razie zablokowanie polskich wpływów w Stolicy Apostolskiej. Nie jest żadną tajemnicą, że spekulowano, iż kard. Ryś z Łodzi pojedzie do Rzymu, aby tam na stałe kierować którąś z ważnych watykańskich dykasterii. Dopiero wtedy na zasadzie zastępstwa Krajewski miał obsadzić bądź Łódź, bądź Kraków. Jeśli trzymać się tych pogłosek, to obaj nie dostali tego, czego chcieli. Ryś dostał Kraków, ale nie dostał Rzymu, a Krajewski zamiast do Krakowa musi wracać do Łodzi".

Inny kościelny obserwator typów karier polskich hierarchów zauważa: „Powrót z Rzymu do Łodzi może być dotkliwym doświadczeniem. Konrad Krajewski ma dziś 62 lata, więc do emerytalnego wieku biskupiego ma jeszcze 13 lat posługi. Jaki model »biskupowania« wybierze? Do wyobrażenia są dwa modele. Pierwszy polegać będzie na scedowaniu nudnych obowiązków administrowania Łodzią na biskupów pomocniczych i kontynuowanie tego, co Krajewski najlepiej zna i najlepiej lubi – akcje międzynarodowej pomocy, medialnego udzielania się w spektakularnych działaniach i demonstracyjnego lansowania linii Franciszka w polskim Kościele. Łódź dzieli od Krakowa tylko ok. 250 km, więc można sobie wyobrazić, że nowy metropolita łódzki byłby częstym gościem swego kolegi z Krakowa. Drugi model, o wiele bardziej chwalebny dla Krajewskiego, oznaczałby żmudne wcielanie swoich ideałów w archidiecezji łódzkiej, ale tu może nominat zderzyć się z poważnymi problemami. Łódź to miasto, gdzie współczynnik uczestnictwa w Mszach należy do jednych z najniższych w Polsce. Podobnie jest z poziomem uczestnictwa uczniów szkół średnich w lekcjach religii. Z kolei ci, którzy chodzą na Msze, są dość konserwatywni i nie muszą ich zachwycać elementy »franciszkańskiego karnawału«".

Którą drogę wybierze kard. Konrad Krajewski?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Adolf Hitler

Skrajna prawica?

Czy aby na pewno?

FREEDOM PUBLISHING

eprasa.pl 5b4182b876

Z ręki do ręki

Radosław Wojtas

Kupowanie rzeczy z drugiej ręki już nie kojarzy nam się z niedostatkiem lub z przesadną oszczędnością, jak to było jeszcze kilkanaście lat temu. Przestało być powodem do zakłopotania. Wręcz przeciwnie. Aż 84 proc. badanych uważa korzystanie z produktów używanych za przejaw zaradności

Gdy w latach 90. Polacy tłoczyli się w blaszanych pawilonach i wilgotnych piwnicach, by w stosach ubrań z zachodnich zrzutów znaleźć cokolwiek nadającego się do noszenia, powód popularności takich sklepów był jeden. Z badań CBOS wynika, że jeszcze w 2008 r. aż 69 proc. z nas jednoznacznie kojarzyło odzież używaną z biedą i niedostatkiem. Trzynaście lat później, w roku 2021, odsetek ten stopniał do zaledwie 29 proc. Najnowsze badania wskazują, że jeszcze przed końcem bieżącej dekady co trzeci kupowany przez Polaków element odzieży będzie pochodził z rynku wtórnego, a nasz stosunek do rzeczy używanych zmienił się diametralnie. Obecnie kupowanie rzeczy z drugiej ręki nie kojarzy nam się z niedostatkiem lub z przesadną oszczędnością. Przestało być powodem do zakłopotania. Wręcz przeciwnie. Aż 84 proc. badanych uważa korzystanie z produktów używanych za przejaw zaradności.

Używane ubrania wracają do łask, ale nie tylko ten towar dostaje drugie życie. W Polsce rośnie sprzedaż używanej elektroniki, książek, artykułów dziecięcych, wyposażenia domu. Wpływ na to ma rozwój platform do handlu w Internecie, ale nie tylko. Przybywa sklepów stacjonarnych z używanym towarem. Po raz pierwszy od lat.

UŻYWANA ELEGANCJA

Nie są to jednak najczęściej sklepy, które pamiętamy z lat 90. i 2000. Bo i sama sprzedaż towaru z drugiej ręki przeszła metamorfozę. Wraz ze zmianą nazewnictwa – szyldy „odzież na wagę" i „tania odzież" zostały zastąpione przez takie pojęcia, jak „recommerce" i „moda cyrkularna" – sklepy stacjonarne zmieniły również otoczenie. Dawniej kojarzyliśmy je z takimi lokalizacjami jak blaszaki, podpiwniczenia czy ciągi komunikacyjne, dziś koncepty takie jak butik cyrkularny z powodzeniem funkcjonują na równi z tradycyjnymi markami modowymi w tak znanych obiektach jak warszawska Galeria Wileńska czy wrocławski Pasaż Grunwaldzki. Wystrój tych miejsc przestał w czymkolwiek przypominać chaotyczne magazyny z odzieżą na wagę. Oferują one wyselekcjonowany, starannie wyeksponowany asortyment. Ubrania są czyste, pozbawione charakterystycznego zapachu, wyprasowane, zawieszone na drewnianych wieszakach, ułożone kolorystycznie lub rozmiarami, a sam proces zakupowy, włącznie z odpowiednio dobraną muzyką w tle, niczym nie różni się od wizyty w tradycyjnym salonie sieciowym średniej i wyższej klasy. To celowy zabieg mający na celu zatarcie w umyśle konsumenta różnicy między rynkiem pierwotnym a wtórnym.

Do tego dochodzi odpowiedni marketing. „Ideą działania butików cyrkularnych jest zamknięcie obiegu materiałów. Oznacza to nie tylko ponowne wykorzystanie ubrań w dobrym stanie, lecz także odpowiedzialną utylizację lub przetworzenie tych, które nie nadają się już do noszenia. Odwiedzając butik, możesz nie tylko wybrać piękne, dobrej jakości ubrania, lecz także oddać te, których już nie nosisz. Za każdy kilogram pozostawionej odzieży 1 zł powędruje na wybraną organizację charytatywną" – czytamy na stronie levelupngo.com.

Z danych Dun & Bradstreet przygotowanych dla „Rzeczpospolitej" wynika, że po raz pierwszy od lat liczba sklepów stacjonarnych z towarami (nie tylko ubraniami) z drugiej ręki wzrasta. „[...] w 2025 r. liczba tego typu działalności wzrosła po raz pierwszy od 2008 r. Przybyło nieco ponad 400 sprzedawców, a ich liczba wynosi obecnie 14,2 tys." – pisze „Rz". „Warto podkreślić, że wzrost liczby detalicznych sprzedawców artykułów używanych jest pierwszym od 17 lat. Wówczas na polskim rynku działało 23,4 tys. tego typu działalności. Od tego czasu zniknęło blisko 10 tys. firm w branży" – mówi Tomasz Starzyk z Dun & Bradstreet.

REWOLUCJA VINTED

Jednak rynek napędzają głównie zakupy w Internecie. Tam wzrost w ostatnich trzech latach sięgnął 25 proc. Według danych z raportu „E-commerce w Polsce 2024" przygotowanego przez Gemius we współpracy z IAB Polska z formy recommerce w handlu interne-

eprasa.pl 5b4182b876

FOT. ADOBE STOCK

towym korzysta już co szósty badany (ok. 16–17 proc.) w sposób stały, a aż 61 proc. respondentów zadeklarowało, że kiedykolwiek w swoim życiu kupiło coś z asortymentu z drugiej ręki.

W Polsce (podobnie jak w dużej części Europy) niekwestionowanym liderem odzieżowego rynku cyfrowego jest litewski gigant technologiczny – Vinted. Jego wpływ na polskie szafy jest bardzo duży. Zgodnie z danymi „Vinted Impact Report 2024" (badania zrealizowane przez Vaayu na próbie ponad 100 tys. użytkowników) ponad 40 proc. członków społeczności Vinted w Polsce (a także w Niemczech, we Francji i w Wielkiej Brytanii) deklaruje, że ubrania z drugiej ręki stanowią już ponad połowę ich całkowitej garderoby. W szerszym ujęciu: dla blisko dwóch trzecich (65 proc.) wszystkich użytkowników tej platformy przedmioty używane stanowią co najmniej jedną czwartą zawartości ich szaf.

Vinted Group to dziś gigant. W 2023 r. firma osiągnęła przychody na poziomie 596 mln euro, co oznacza wzrost o ponad 60 proc. rok do roku w porównaniu z 370,2 mln euro w 2022 r. W 2024 r. Grupa Vinted osiągnęła przychody w wysokości 813,4 mln euro. Zysk netto rok do roku wzrósł o 330 proc., osiągając 76,7 mln euro.

Drugim potężnym graczem, mającym ogromne znaczenie na polskim rynku, jest Allegro Lokalnie. Choć to Vinted gromadzi największą rzeszę użytkowników ściśle zainteresowanych modą (w badaniach Gemius korzystanie z tego serwisu zadeklarowało 56 proc. respondentów z segmentu recommerce), to właśnie w ekosystemie Allegro, gdzie aż tak nie dominuje handel ubraniami, ale sprzedaje się np. elektronikę, internauci są skłonni zostawiać największe sumy. Średnie roczne wydatki pojedynczego użytkownika na rzeczy używane na tej platformie w 2024 r. wyniosły 1112 zł.

Platformy te wyeliminowały dawne niedogodności związane z odbiorem towarów z rąk do rąk. Aż 74 proc. użytkowników Allegro Lokalnie wybiera dostawę do automatów paczkowych. Do tego wygodna płatność BLIK i bezpieczeństwo zakupów zbliżone do kupowania nowych przedmiotów od zarejestrowanych firm sprawiają, że handel rzeczami używanymi jest równie bezproblemowy co zakupy w profesjonalnym sklepie internetowym.

Dla gigantów fast fashion odpływ klientów jest poważnym problemem. Dlatego podejmują różne działania wizerunkowe mające na celu sprawianie wrażenia firm dbających o środowisko, takie jak zbiórki odzieży używanej. Tylko że to wcale nie trendy ekologiczne wydają się najważniejszymi determinantami sięgania po odzież i inne przedmioty z drugiej ręki. Według raportu „Vinted Impact Report" decyduje przede wszystkim cena: prawie połowa (48 proc.) polskich klientów zdecydowała się na zakup rzeczy używanej ze względu na niższą cenę. Na kwestie ekologiczne wskazało 29,1 proc. Polaków.

NIE TYLKO CIUCHY

Handel używaną odzieżą dominuje, ale coraz chętniej kupujemy inne towary z drugiej ręki. Vinted podąża za tymi trendami i z platformy koncentrującej się na modzie przekształca się w miejsce oferujące m.in. elektronikę, przedmioty kolekcjonerskie, wyposażenie domu.

– Moda była punktem wyjścia dla naszej społeczności, ale nasza misja sięga znacznie dalej. Chcemy, aby rzeczy z drugiej ręki stały się pierwszym wyborem na całym świecie – mówi Adam Jay, prezes Vinted Marketplace, cytowany przez „Rz".

Już teraz ponad połowa dorosłych konsumentów deklaruje, że chętniej niż jeszcze rok temu kupuje używane przedmioty służące rozrywce, takie jak książki czy płyty oraz przedmioty z kategorii hobby i kolekcjonerskie. A platformy sprzedażowe walczą o to, abyśmy jeszcze chętniej opróżniali nasze szuflady z zalegających „przydasiów". Według najnowszych szacunków OLX przeciętny Polak ma co najmniej dwa stare telefony warte łącznie ponad 550 zł, których nie sprzedaje choćby dlatego, że nie wie, jak je wycenić, by na nich nie stracić. Jest więc o co walczyć – czystsze szuflady to grubsze portfele, zwłaszcza pośredników zgarniających za każdą transakcję odpowiednią prowizję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Jądro ciemności Zdzisława Najdera

Krzysztof Masłoń

Zdzisław Najder, ten „wywrotowiec" – że posłużę się tytułem książki oddającej mu sprawiedliwość – nie jest postacią pomnikową, a jego biografię splamiła współpraca z SB, choćby i nie przyniosła ona fatalnych skutków

Samego Conrada nie lubię, bo wiecznie płakał nad sobą, ale mam poczucie, że swój obowiązek naukowy wobec niego spełniłem" – to nieco zaskakujące wyznanie znajdziemy w tomie „Wywrotowiec", złożonym ze wspomnień, fragmentów dziennika, listów, artykułów i wywiadów Zdzisława Najdera, nie tylko działacza politycznego, lecz także – o czym nie wszyscy pamiętają – wybitnego znawcy życia i twórczości autora „Nostromo", prezesa Polskiego Towarzystwa Conradowskiego.

W styczniu 1997 r., po edycji jego rozszerzonego, dwutomowego „Życia Conrada", przeprowadziłem z nim wywiad dla „Plusa Minusa", który wydłużył się w, pasjonujący zresztą, wykład, który profesor zafundował mi, odpowiadając m.in. na pytanie, czy sławny autor „Tajnego agenta" był dobrym Polakiem.

– Powiedziałbym, że we własnym odczuciu był dobrym Polakiem… z wątpliwościami – mówił Zdzisław Najder. – W odczuciu sobie współczesnych dobrym Polakiem nie był i myślę, że te odczucia trzeba uszanować. Nawet mieszkając za granicą, pisząc po angielsku, mógł Conrad od czasu do czasu wyjść ze swojego kokonu i choćby dla udowodnienia wierności w sprawie przegranej zrobić coś więcej. Prawdopodobnie wynikało to też z tego, że jako Polak nie chciał się poniżać, prosząc o jałmużnę, gdyż upominanie się o prawo Polski do istnienia było bardzo poniżające dla kogoś, kto miał wysokie wyobrażenie o własnym narodzie. No, ale trudno, czasem trzeba się poświęcić. Moja żona, która mieszkała w Anglii przez wiele lat,

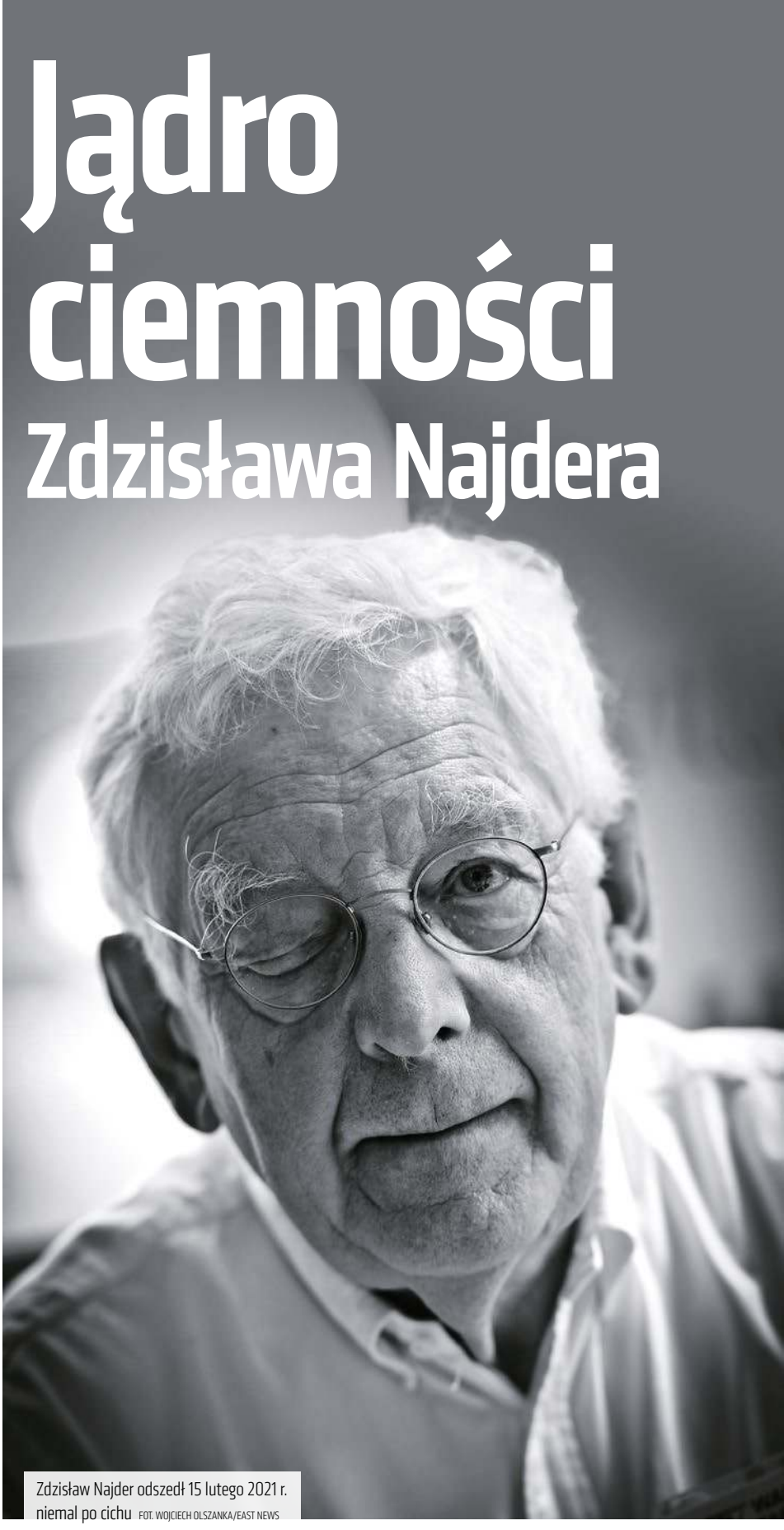

Zdzisław Najder odszedł 15 lutego 2021 r. niemal po cichu FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl 5b4182b876

opowiadała, jak tuż po wojnie było źle widziane upominanie się o polskie sprawy. Podobne doświadczenia w tamtym czasie stały się udziałem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego we Włoszech.

A jak wyglądałaby ocena Zdzisława Najdera jako Polaka właśnie? Uchodził wszak za zapamiętałego euroentuzjastę, przypisywano mu wręcz kosmopolityzm. I jakby na przekór temu, nie co innego, a Polska Niepodległa była tą ideą, która przyświecała mu i której był wierny przez zdecydowaną większość swojego życia. W jego historii, jak powiada w krótkim wprowadzeniu do „Wywrotowca" Zbigniew Gluza, „można dostrzec wyraźny trójpodział: trzy dekady podskórnego buntu przeciw zniewoleniu Polski, dekada zdeklarowanego publicznie wroga Peerelu (z adekwatnym wyrokiem śmierci); trzy dekady pracy państwowotwórczej na rzecz III Rzeczypospolitej – potencjalnie spełniającej warunki demokracji i wolności".

Był, jeszcze w 1976 r., przed Solidarnością, założycielem Polskiego Porozumienia Niepodległościowego; w wolnej Polsce prezesował Klubowi Atlantyckiemu, Klubowi Weimarskiemu i Komitetowi Obywatelskiemu. Był doradcą prezydenta Lecha Wałęsy i szefem doradców premiera Jana Olszewskiego. Z tym ostatnim łączyły go więzy przyjaźni, a już na pewno przeciwników mieli tych samych. W kwietniu 1990 r. na przykład: „Wszystko wskazywało na pilną potrzebę rozmów między Przewodniczącym [Wałęsą – przyp. K.M.] a Premierem [Mazowieckim – przyp. K.M.]. Tutaj zgadzaliśmy się całkowicie z biskupem Orszulikiem. Poufne spotkanie, zorganizowane z jego inicjatywy, a na zaproszenie biskupa Gocłowskiego, odbyło się 8 kwietnia w Gdańsku w gronie około dziesięciu osób ([…] miałem być obecny, ale któryś inny z warszawskich uczestników tego sobie nie życzył). Był na nim Jan Olszewski. Wrócił dość zbrzydzony »pajacowaniem naszych milusińskich«, jak określał Michnika i jego grono. Opowiadał m.in. o Michniku, klękającym przed Wałęsą i wołającym: »Wodzu, czemu nam dałeś tego Najdera«".

Przestał być niebezpieczny, gdy ujawniona została jego współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa, dla której w latach 1958–1963 sporządzał informacje podpisywane pseudonimem Zapalniczka. Z lubością donosił o tym nie tylko tygodnik „Nie" Jerzego Urbana, choć on przede wszystkim.

W liście do przyjaciela Marka Walickiego Zdzisław Najder pisał: „Powtarzam: głupio zrobiłem, że się wówczas zdecydowałem na udawanie współpracy – ale istota rzeczy w tym, czy rzeczywiście coś dla SB pożytecznego, a dla wolnej Polski szkodliwego zrobiłem? Wiem, że nie – i wiem, że tylko ujawnienie całości dokumentacji może to wykazać". Niestety, udzielał esbekom odpowiedzi na pytania o Giedroycia, o Tyrmanda, o Klub Trzeciego Koła. I pozostało potwierdzenie odbioru za to tysiąca złotych.

ODMOWA UDZIAŁU

Był warszawiakiem. Urodził się w 1930 r. na Powiślu. „Bratem chrzestnego ojca mojej mamy – wspominał – był Stefan Okrzeja, więc walka była w tradycji rodzinnej. Babcia też brała udział w różnych akcjach, stała na czatach przy ulicy Wareckiej, kiedy Józef Montwiłł-Mirecki uciekł z transportu wiozącego go do aresztu". Inna była historia jego ojca: „[…] pochodził zupełnie skądinąd, urodził się w Wolborzu, pod Piotrkowem, dokąd rodzina Najderów […] przeniosła się z Niemiec. Ojciec miał pełną świadomość swojej niemieckości, choć w domu po niemiecku nauczył się może paru słów. Dziadek uważał się za Polaka. Ojciec poszedł w 1919 r. na ochotnika do wojska i wylądował w I Dywizji Piechoty Legionów".

Związek rodziców nie należał do najszczęśliwszych, największy wpływ na wychowanie Zdzisława wywarła jego ciotka, pochodząca z rodziny proletariackiej, ale już z aspiracjami inteligenckimi. Do szkoły chodził na Karową, po wojnie kontynuował naukę w Piotrkowie, gdzie zdał małą maturę, po której wrócił do Warszawy, gdzie uczył się w Liceum Reytana. Do ZMP nie wstąpił, maturę jednak zdał, na studia też. Na egzaminie wstępnym pytano go o to, kim jest Stanisław Radkiewicz (chodziło o ministra bezpieczeństwa publicznego) i dlaczego w Polsce Ludowej mamy milicję, a nie policję (obowiązkowo przymiotnikową, bo w tamtym czasie z zasady nazywaną „granatową"). Dostał się na polonistykę, równolegle uczęszczając na wykłady z filozofii.

Uważał się za ucznia profesorów: Wacława Borowego, Juliana Krzyżanowskiego i Władysława Tatarkiewicza. Towarzysko zaś wszedł w środowisko, które było „i inteligenckie, i niepokorne, a zarazem katolickie". Na uniwersytecie nazywano ich reakcjonistami.

„Nigdy nie brałem marksizmu na serio – pisał – zawsze był to dla mnie tylko intelektualny bełkot. Nie tylko że nie przeszedłem przez okres fascynacji marksizmem, ale nigdy się nad nim specjalnie głęboko nie zastanawiałem. Doktryna ta od strony ideologicznej wydawała mi się przestarzała, a od strony politycznej – prowadząca do zbrodni". Z takim stosunkiem do przodującej ideologii nie miał czego szukać na Uniwersytecie Warszawskim. W 1952 r. zablokowano mu dalsze studia i wiele wskazywało na to, że nie zostanie nie tylko profesorem czy doktorem, lecz także magistrem.

Zaczął za to publikować, w „Dziś i Jutro" i, pod pseudonimem, w „Tygodniku Powszechnym". Poznawał coraz ciekawszych ludzi, zapraszany bywał do Kisiela, zaprzyjaźnił się, na lata całe, z Herbertem. Po w końcu ukończonych studiach zakotwiczył się w „Twórczości", dzięki Jarosławowi Iwaszkiewiczowi i Annie Baranowskiej.

„On sam genezę własnego dążenia do Niepodległej wywodzi z doświadczenia swojego dzieciństwa – piętnastu lat przypadających na okres II RP i II wojny. Niemniej doznania przedwojenne i okupacyjne nie wydają się aż tak stanowiące – sądzi, opierając się i na tekstach Najdera, i na jego biografii, Zbigniew Gluza. – To raczej poczucie zagrożenia w instalowanym Peerelu rodziło w dorastającym nastolatku odmowę udziału. Niepodległościowy zaczyn pojawił się w stalinizmie, odtąd krzepła jego postawa wywrotowa".

Nieprzypadkowy wybór Josepha Conrada jako tego autora, na którym postanowił budować swą naukową karierę, wiązał się z niezbędnymi wyjazdami za granicę. A żeby udać się na przyznane mu skromniutkie stypendium do Anglii w celu zbierania materiałów do biografii Conrada potrzebny był paszport. Tylko tyle i aż tyle.

Po latach pisał: „Pierwsze spotkania z SB były dla mnie ostrzeżeniem

eprasa.pl 5b4182b876

i sygnałem, że w tej sytuacji muszę znajdować jakieś własne wyjście […]. To był wniosek niesłuszny, dlatego że własnego wyjścia z tego po prostu nie było".

WIERNOŚĆ I NADZIEJA

Wyjazdy się mnożą, głównie do Anglii i Stanów Zjednoczonych. Zostaje stypendystą Fundacji Forda, ma zajęcia na amerykańskich uniwersytetach, w tym na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie w 1966 r. zastępuje Czesława Miłosza, gdy ten udaje się na urlop naukowy. Jako przedmiot seminaryjnych zajęć wybiera Najder Kochanowskiego. Uświadomił sobie wówczas, że przyczyną jego fascynacji twórczością Jana z Czarnolasu było zdanie sobie sprawy, że – jak pisał – „ten jeden jedyny spośród największych polskich poetów żył w niepodległym państwie i nie musiał widzieć w literaturze surogatu państwowych instytucji ani postulować jego istnienia (za to wytykał mu wady albo chwalił zalety)".

Jego kontakty z SB nie były aż tak sekretne, jak mogło się to wydawać. W końcu sam rozmawiał o nich z kolegami z uniwersytetu, uprzedził też komisję programową Klubu Krzywego Koła, że jest przesłuchiwany. A pod koniec 1963 r. na okoliczność współpracy z SB przesłuchuje go wywiad… brytyjski, niewykluczone, że poinformowany o tym przez polską bezpiekę, „bo już wtedy – wspominał – wyjechałem nie za ich zgodą, tylko dostałem paszport na leczenie".

Zdzisław Najder, z oczywistych powodów postrzegany jako conradysta, nie zamykał się wcale w kręgu spraw dotyczących pisarstwa twórcy „Lorda Jima", a jeśli już, to interesował go Conrad widziany – że tak to nazwę – po polsku. I analizował wnikliwie relacje między nim a np. Henrykiem Sienkiewiczem czy Elizą Orzeszkową. W wywiadzie, który już wspominałem, mówił mi Najder: „Conrad znał tylko Sienkiewicza od pokrzepiania serc, nie rozumiał funkcji pedagogicznej jego książek. Nie domyślał się, że w narodzie, gdzie nie ma szkoły, gdzie większość społeczeństwa nie ma dostępu do czegokolwiek, co by ją do polskości przyciągnęło, trzeba było coś wymyślić. Próbował tego już Kraszewski, ale dopiero Sienkiewiczowi udało się przekonać do polskości chłopów, rzemieślników, masy ludzkie". Przyznawał też, że Orzeszkowa, niezależnie od popełnionych przez nią błędów, miała moralne prawo do zaatakowania autora „Smugi cienia" za zaniedbanie narodowych obowiązków. I cóż, odzyskanie przez Polskę niepodległości było dla Conrada problemem, gdyż – cytuję Zdzisława Najdera – „sam przed sobą musiał tłumaczyć się z grzechu braku wiary, braku nadziei […]. W 1914 r. napisał memoriał w sprawie polskiej, w którym znakomite są fragmenty o tym, jak to Rosja nigdy się na niepodległość Polski nie zgodzi. Nadal żyjemy w podobnym świecie… Dla Conrada lata 1914–1920 były powodem do dumy z Polski, ale i zadrą – no bo gdzie on wtedy był? Dochował, co prawda, wierności, ale wierność bez nadziei mało jest jeszcze warta".

Zdzisław Najder wyciągnął z tego jak najdalej idące wnioski. Wierny ideałom niepodległościowym był zawsze, nadziei mu też nie brakowało, skoro bez wahania podejmował się działań ryzykownych, wręcz karkołomnych. A to, że polskie sprawy toczyć się będą gdzieś obok i nie będzie miał na nie żadnego wpływu, było dla niego wręcz nie do pomyślenia.

Coraz mocniej wchodzi w politykę, a ściśle mówiąc w publicystykę polityczną, zamieszczając teksty m.in. w paryskiej „Kulturze". Chętnie czytany i namiętnie dyskutowany Socjusz to on.

NAJWYŻSZE ODZNACZENIE

„Życie Conrada Korzeniowskiego" nie miało w Polsce szczęścia; książka wyszła tuż przed stanem wojennym, a jej pierwsze recenzje ukazały się dosłownie w przededniu podania informacji o objęciu przez Najdera stanowiska dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Jak później opowiadał autor: „Recenzenci mieli spore kłopoty, a ja wyrzuty sumienia".

Zgoła inne było przyjęcie „Życia Conrada Korzeniowskiego" na Zachodzie: w Anglii, Stanach Zjednoczonych, we Francji. I to za tę pracę, o której pisały niemal wszystkie znaczące pisma literackie, otrzymał cenioną prestiżową nagrodę Modern Languages Association.

28 maja 1983 r. za rzekome szpiegostwo zostaje w Warszawie skazany na karę śmierci. „Od lat 70. – wspominał – byłem przekonany, że nasza przyszłość jest w Europie – mówiłem, że Polska niemająca niepodległości mnie nie interesuje. A ten wyrok to było najwyższe odznaczenie, jakie mogłem dostać od przeciwników.

Akurat byli na kolacji nasi przyjaciele, kiedy zadzwonił dyżurny z dziennika radiowego, że właśnie Program 3 Polskiego Radia nadał, że zostałem skazany na śmierć. Nasz przyjaciel Jan de Weydenthal powiedział: »Poczekajcie chwilę« – i wyskoczył po butelkę szampana. W tym czasie zadzwonił ksiądz Blachnicki, działacz oazowy, z którym się przyjaźniłem – i pogratulował mi wejścia do »klubu skazańców«, bo jego wcześniej też już skazali. Przyjąłem to trochę zabawowo, żona potem miała do mnie lekkie pretensje, że jestem niepoważny. Ale co człowiek ma zrobić w takiej sytuacji?".

Na dyrektorskie stanowisko w RWE rekomendował go jego słynny poprzednik Jan Nowak-Jeziorański. Później uznał ten swój wybór personalny za błąd. A Najder w Monachium nie znalazł wielu sojuszników, przeciwników ma za to nie brakowało. Do dymisji poddał się 2 marca 1987 r. Została przyjęta natychmiast.

W grudniu 1988 r., podczas wizyty Wałęsy w Paryżu, bliżej poznaje przywódcę Solidarności. A niebawem wspomina: „Jeszcze przed obradami Okrągłego Stołu otrzymałem od generała Kiszczaka propozycję powrotu do kraju, przy czym wyrok na mnie wciąż obowiązywał. Kiszczak mówił, że chodzi tylko o udzielenie krótkich wyjaśnień. Moja wizyta miała pomóc rządowi i jemu. Dał mi słowo generała, że wjadę i wyjadę jako wolny człowiek. Odpowiadając na list, spytałem, czy on rzeczywiście uważa mnie za idiotę".

Gdy definitywnie już wracał do Polski w lutym 1990 r., na przejściu granicznym w Cieszynie czekała na niego ekipa telewizyjna. A porucznik Wojsk Ochrony Pogranicza pomógł mu wymienić pieniądze i wykupić, jeszcze obowiązujące, bony na benzynę.

Niedługo po powrocie napisał dla „Rzeczpospolitej" tekst o konieczności odebrania komunistom majątku trwałego. „Premier [Tadeusz Mazowiecki – przyp. K.M.] zakazał ogłoszenia artykułu: »Niech sobie Zdzisław drukuje gdzie indziej«. Redaktor naczelny Dariusz Fikus nie mógł się tej decyzji nadziwić".

Powodów do zdziwień nie brakowało i Najderowi. Mnożące się ataki na Komitet

eprasa.pl 5b4182b876

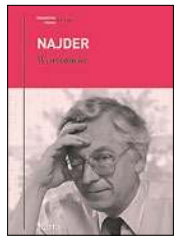

ZDZISŁAW NAJDER „WYWROTOWIEC"
OŚRODEK KARTA 2026

Obywatelski, któremu przewodniczył, doprowadziły w końcu do jego zniszczenia. Przy okazji: sławne zdanie skierowane do Andrzeja Wielowieyskiego [nie do Jerzego Turowicza, jak to zostało utrwalone – przyp. K.M.]: „Stłucz pan termometr, nie będziesz pan miał gorączki" podpowiedział Wałęsie nie kto inny jak Najder właśnie, który w tamtym czasie przekonywał się, że – jak powiadał – „górnolotni i samomianowani obrońcy demokracji byli równie albo i bardziej głusi na argumenty i skorzy do demagogii niż ich przeciwnicy".

A skoro o tych przeciwnikach, to w 1990 r. tak scharakteryzował braci Kaczyńskich, których – jak pisał – „znał słabo": „Są do siebie fizycznie bardzo podobni, psychicznie dość różni. Lech raczej małomówny i spokojny, Jarosława roznosi energia. Zyskuje przy bliskim poznaniu. Nie zdają się obłąkani osobistymi ambicjami; potrafią myśleć i działać w kategoriach dobra państwowego. Przy czym bardzo zręczni gracze. Jarosław patrzy na mnie jako na trochę naiwniaka, chociaż równocześnie traktuje z wielkim poważaniem. A ja ciągle uczę się ludzi… Myślę, że Kaczyńscy odegrali już obiektywnie ogromną i pożyteczną rolę (niezależnie od tego, że to Jarosław Kaczyński wymyślił rząd bez komunistów i zablokował skutecznie plan współpracy między ludźmi Geremka i »reformistycznym skrzydłem« – he, he, z Rakowskim na czele? – PZPR-u, za co go oczywiście nienawidzą)". Po dziś dzień – dodam.

KOZIOŁ OFIARNY

W polityce jeszcze dziać się będzie sporo z udziałem Najdera. Gdy Jan Olszewski przymierzał się do premierostwa, by następnie z niego rezygnować, kiedy okazywało się, że ktoś inny decydować ma o kształcie rządu i jego polityce, Zdzisław Najder towarzyszył mu, pomagając przejść przez wszystkie te meandry, oskarżany przy tym nieustannie, że jest Olszewskiego „złym duchem". Aż w czerwcu 1992 r. wybuchła sprawa „Zapalniczki". „Nie wiem do końca – wspominał – ale myślę, z całej atmosfery to wynikało, iż on [Lech Wałęsa – przyp. K.M.] był przekonany, że jestem częścią spisku Macierewicza i że celem rządu – Macierewicza, Olszewskiego i moim – było pozbawienie go prezydentury, twarzy, godności, atak na niego. I że odegrałem w tym czynną rolę. Roli żadnej nie odegrałem, ale łatwo stałem się kozłem ofiarnym, bo byłem doradcą Premiera. Nawet jeśli ktoś był zarejestrowany jako tajny współpracownik SB, ale wyznał to wówczas, powiedział o tym, to ten fakt stawiał go trochę w innej kategorii. Ja to zrobiłem, tylko co z tego. To, że się przyznałem wtedy, podczas tej głupiej gry, to mi tak bardzo nie pomogło. Choć na tej grze tak naprawdę nie najlepiej wyszło SB, bo o paru sprawach skutecznie dezinformowałem, per saldo najgorzej wyszedłem ja".

Odtąd był spychany na margines. Nawet przyjaciele zawodzili. Gdy Zbigniew Herbert w 1996 r. ogłosił apel „w obronie demokracji", nie zwrócił się do niego, nie poprosił go o podpis. „Czy o mnie zapomniał czy była inna przyczyna – nigdy się nie dowiem […]" – pisał, wyraźnie sprawą dotknięty. Jeszcze zdąży być doradcą innego premiera, Jerzego Buzka – bez znaczących dokonań. Zaangażuje się w stworzenie w ukraińskim Berdyczowie muzeum Conrada. Tam autor „Jądra ciemności" przyszedł na świat.

Komentuje polityczną rzeczywistość w ostrych słowach. W liście do Marka Walickiego w grudniu 2001 r. relacjonuje: „Oto Miller stał się, obok Kwaśniewskiego, czołowym prointegracjonistą. Oto SLD walczy dzielnie z chuliganem Lepperem. Oto ksiądz Prymas, przymuszony przez stanowisko Ligi Polskich Rodzin, staje się też jednoznacznym proeuropejczykiem. Oto Polska (przez czerwonych rządzona) delikatnie opiera się amerykańsko-angielskim planom wpuszczania Rosji do NATO (pisał o tym bardzo dobrze Zbig [Brzeziński], a ostatnio i Kissinger".

Jeśli zaś chodzi o jego osobiste poglądy polityczne i prognozy, no cóż: w 2003 r. z zadowoleniem komentuje wyniki ankiety, z której wynika, że 58 proc. Polaków opowiada się za sojuszem wojskowym z UE, a tylko 19 proc. za USA, a 30 sierpnia 2014 r. odnotowuje w prowadzonym dzienniku: „Podniecony mile wyborem Tuska [na przewodniczącego Rady Europejskiej, do 2019 r. – przyp. K.M.]. Żyjący dziś Polacy mogą sobie tych czasów – najlepszych od końca XVI wieku – pogratulować". Kpił czy o drogę pytał? Raczej nie, był tylko coraz starszy.

UPARTY AUTSAJDER

Jako wiarygodną przyjmuję jego deklarację, że kierował się głównie poczuciem obowiązku wobec Polski". Z tego wzięły się Polskie Porozumienie Niepodległościowe, praca w Radiu Wolna Europa czy późniejsza działalność w Klubie Atlantyckim.

Zdzisław Najder odszedł 15 lutego 2021 r. niemal po cichu – czytamy w „Wywrotowcu"; „po tak burzliwym, zdawałoby się, życiu trudno raczej w ten sposób zniknąć […]. Choć on sam podsumowywał swoje dokonanie jako porażkę, całościowy zapis Jego życia i postawy wobec spraw publicznych potwierdza jednoznacznie, jak ważną rolę odegrał w Polsce powojennej". A „Rzeczpospolita – czytamy dalej – powinna cenić upartych autsajderów, którzy trwają przy swoich racjach niezależnie od okoliczności".

Tak z pewnością jest, z tym że ten „wywrotowiec" – że posłużę się tytułem książki oddającej mu sprawiedliwość – nie jest postacią pomnikową, a jego biografię splamiła współpraca z SB, choćby i nie przyniosła ona fatalnych skutków.

W 1974 r. w „Polityce" tak pisał o Conradzie: „[…] jako wielki klasyk moralistyki zapisał się trwale w naszych tradycjach, nie tylko literackich […]. Każdy z nas, powiada Conrad-etyk, jest członkiem ludzkiej wspólnoty, która ma swoją historię, która nas ukształtowała i która nakłada na nas określone niezbywalne obowiązki. W skład tradycji, z których możemy czerpać, wchodzą pewne ideały moralne: wierność, honor, odpowiedzialność za siebie i innych (to nierozerwalne!). Wartość ludzkiego życia polega, w ramach tych właśnie tradycji, nie na zdobytych dobrach materialnych, produkcji, sukcesie, zadowoleniu – ale na spełnianiu obowiązków i zachowaniu godności. Wymienione ideały albo wartości naczelne – dążenie do których nie gwarantuje wcale szczęścia – nie dają się realizować w warunkach tyranii. Wolność jest warunkiem ludzkiej godności: gdzie jej nie ma, warunkiem takim staje się walka o nią".

Nic dodać, nic ująć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Ryan Gosling w roli głównej wypada świetnie FOT. JONATHAN OLLEY

Kosmiczni bracia

Piotr Gociek

„Projekt Hail Mary" to pierwsza udana superprodukcja tego roku: pochwała przyjaźni, ciężkiej pracy i poświęcenia. Właśnie weszła do kin

Projekt Hail Mary" to kawałek rozrywkowego kina, jakiego dziś się już nie robi, pasowałby bardziej do lat 80., kiedy to zresztą dostaliśmy podobną opowiastkę, tylko na dużo mniejszą skalę. W filmie „Mój własny wróg" („Enemy Mine", 1985) Wolfganga Petersena człowiek oraz obcy (przedstawiciel rasy Draców) musieli połączyć siły, by przeżyć. Było to o tyle trudne, że Ziemianie i Dracowie prowadzili właśnie ze sobą wojnę.

Barry B. Longyear, który był autorem oryginalnego opowiadania zamienionego w film „Mój własny wróg", inspirował się z kolei filmem „Piekło na Pacyfiku" („Hell in the Pacific", 1968) Johna Boormana, w którym Lee Marvin i Toshiro Mifune byli żołnierzami (odpowiednio: amerykańskim i japońskim) na bezludnej wyspie, zmuszonymi do współpracy.

W filmie „Projekt Hail Mary" skala zagrożenia jest nieskończenie większa, a zamiast wyspy na Pacyfiku widzimy statki kosmiczne w układzie Tau Ceti, niemniej założenie jest takie samo: gdy zagłada majaczy na horyzoncie, jedynie współpraca nas uratuje. Nie tylko bohaterów opowieści, lecz także całe cywilizacje, których są reprezentantami. Tyle że na szczęście dla sympatycznego doktora Rylanda Grace'a (Ryan Gosling) Ziemianie oraz rasa kamieniopodobnych obcych nie znajdują się w stanie wojny. Po prostu nie wiedzieli dotąd o swym istnieniu i zetknęli się ze sobą pierwszy raz.

Wspólnym zagrożeniem jest zaś fenomen astrofagów. Kosmiczne pasożyty pochłaniające światło słoneczne doprowadzają do ochłodzenia klimatu na Ziemi. Skąd wzięły się w naszym Układzie Słonecznym? Czy można się ich pozbyć? Zagadek jest dużo więcej, bo świat przedstawiony w filmie i w powieści, na której został oparty, rozwija się przed nami powoli, jak w opowieści detektywistycznej, gdzie trzeba najpierw pracowicie zbierać okruchy prawdy, by zbudować obraz. Ryland budzi się na pokładzie statku dolatującego do układu Tau Ceti. Dotknięty jest częściową amnezją. Czemu inni członkowie załogi nie żyją? Po co zmontowano całą tę wyprawę?

NAUKA PISZE FIKCJĘ

Film „Projekt Hail Mary" wyczekiwany był przez kinomanów z wielką ekscytacją, bo autorem wydanej w roku 2021 powieści pod tym samym tytułem był Andy Weir, którego debiutancka książka „Marsjanin" (2011) została zekranizowana przez Ridleya Scotta w roku 2015. Kinowy „Marsjanin" był wielkim hitem. Nakręcony za 100 mln dol. zarobił ponad sześć razy więcej, doczekał się świetnych recenzji i przyniósł swoim twórcom siedem nominacji do Oscara. W tym, zauważmy, dla najlepszego filmu i dla najlepszego aktora (Matt Damon), więc w kategoriach, w których kino fantastyczne zauważane jest nader rzadko.

„Marsjanin" perfekcyjnie łączył dwa motywy. Z jednej strony była to kosmiczna robinsonada, opowieść o samotnym

eprasa.pl 5b4182b876

bohaterze, którego upór i zdolności umożliwiają mu pokonanie wrogiej przyrody. Z drugiej strony film Ridleya Scotta powtarzał optymistyczne przesłanie filmu „Apollo 13" (1995), którego bohaterami byli przecież nie tylko zamknięci w kapsule kosmonauci, lecz także ci, którzy na Ziemi szukali sposobu na to, jak bezpiecznie sprowadzić ich do domu.

Andy Weir rozbudował tę formułę i perfekcyjnie wypełnił treścią. Powieść „Marsjanin" wprawiła w ekstazę wszystkich miłośników fantastyki naukowej w starym stylu – to znaczy takiej, w której słowo „naukowa" jest kluczowe. Fundamentem takich opowieści musi być jakiś naukowy koncept (prawdziwy lub mocno prawdopodobny). Dopiero wtedy można pozwolić, by – jak to kiedyś ujął jeden z autorów hard SF, Robert L. Forward – „nauka pisała fikcję". Nie bez powodu w dawnych opracowaniach dotyczących literatury SF tak mocno podkreślano, że najczęściej jest to opowieść o cudownym wynalazku (i konsekwencjach jego zaistnienia).

Weir, z zawodu programista komputerowy, to syn fizyka wychowany na klasycznej „twardej" fantastyce i takie też kawałki chciał sam pisać. „Marsjanina" tworzył z myślą przede wszystkim o tym, by była to opowieść jak najlepiej oddająca aktualny stan nauki. Wydawcy nie byli zainteresowani. Wtedy zaczął publikować książkę w odcinkach na swoim blogu. Przyniosło mu to szybką popularność oraz pomogło stworzyć społeczność zapaleńców, którzy dyskutowali wraz z nim nad tym, co jest możliwe, a co nie, często wnosząc do tych debat własny naukowy bagaż i oryginalne koncepty. Kiedy w roku 2014 świat wydawniczy przeprosił się z Andym Weirem, książka szybko stała się światowym bestsellerem.

Trzy lata później, przy okazji polskiej premiery drugiej powieści Weira („Artemis", 2017), pokpiwałem sobie w naszym tygodniku („Do Rzeczy" 49/2017): „Nie podzielałem entuzjazmu kolegów pisarzy fantastów wobec debiutanckiej powieści Andy'ego Weira »Marsjanin«, bo uważam, że literatura powinna mówić o konstrukcji duszy, a nie o konstrukcji śluzy powietrznej" i dodawałem: „Autor sprawdza się jako inżynier, ale o pisaniu wie niewiele".

Swoją opinię podtrzymuję – „Marsjanin" napisany był ledwie poprawnie, a powieść „Artemis" okazała się od niego słabsza. Ale potem chwaliłem, i tutaj też zdania nie zmieniłem: książka „Projekt Hail Mary" zdobyła moje serce. I tu znów powrót do recenzji („Do Rzeczy" 22/2021): „Witam z radością optymizm, ciepło i niezachwianą wiarę w to, że człowiek da radę nawet w skrajnie niesprzyjających okolicznościach. Brakuje nam bardzo takiego podejścia we współczesnej popkulturze, która albo maluje mroczne obrazy niedalekiej przyszłości, albo ucieka w czystą fantazję". A i literacko Weir się wtedy podciągnął.

REŻ. PHIL LORD, CHRISTOPHER MILLER
„PROJEKT HAIL MARY"
USA 2026

Film duetu Phil Lord – Christopher Miller (autorzy m.in. filmów „Klopsiki i inne zjawiska pogodowe" oraz „LEGO: Film") doskonale oddaje ten powieściowy optymizm, sytuując się tym samym w kontrze do fali filmów, które nas od eksploracji kosmosu odcinały. „Ad Astra", „Grawitacja", „Pierwszy człowiek" ukazywały wyjścia poza Ziemię jako krok w nietzscheańską pustkę, niemal jak zbiorowe i bardzo kosztowne samobójstwo: wszystko jest tam wrogie, nic dobrego na nas nie czeka.

KUKIEŁKA Z KOSMOSU

„Projekt Hail Mary" jest natomiast przypowieścią o tym, że – sięgnę po cytat z Janusza A. Zajdla i jego „Limes inferior" – „jak niewola przyszła wprzód, tak i nadzieja zstąpi z gwiazd". Owszem, wszechświat niesie nam nowe zagrożenia, ale przecież nie inaczej było na Ziemi – przypomina nam Weir. A jednak zawsze wygrywaliśmy z naturą kolejnymi pomysłami, wynalazkami, lekami. Nie wiem, na ile świadomie, ale przesłaniem swoich książek amerykański pisarz uderza z całą siłą w samobójczą antynaukową krucjatę prowadzoną przeciw ludzkości przez rozmaitych naśladowców Harariego, wedle których człowiek to pasożyt, którego matka Ziemia powinna się jak najszybciej pozbyć. Otóż nie, człowiek jako jedyny ma siłę przemieniać świat wokół siebie, sięgając zaś do Księgi Rodzaju: by – „czynić ziemię sobie poddaną".

Jednocześnie jest „Projekt Hail Mary" zabawną, wzruszającą opowieścią o pierwszym kontakcie. Choć zagrożenie ma tu skalę międzyplanetarną, to w sercu fabuły jest relacja między dwójką zupełnie niedopasowanych do siebie bohaterów, których połączą przyjaźń, szacunek i wspólna praca. Wszystkie opowieści Andy'ego Weira były traktatami o dobrej robocie, ale dopiero w historii Rylanda i Rocky'ego udało się prawdziwymi emocjami zrównoważyć całą warstwę naukową i techniczny żargon.

Rzeczy uważanych dziś za niemodne jest w filmie „Projekt Hail Mary" dużo. Główny bohater to facet, a nie girl boss. Zabawny Rocky, przedstawiciel obcej cywilizacji, ożywiony został techniką tradycyjnej animacji kukiełkowej, niczym Muppety Jima Hensona. I wiecie co? To działa – dużo więcej w tym dziwacznym kosmicie uroku niż w postaciach wygenerowanych komputerowo. Mamy pochwałę przyjaźni, ciężkiej pracy i poświęcenia. Dostajemy też kpinę z nakręcanych w ostatnich dekadach lęków. Jakże prowokacyjnie brzmi koncept, w którym to nie globalne ocieplenie wykończyć ma naszą cywilizację, lecz odwrotnie – wywołane przez astrofagi wychłodzenie planety. Co może opóźnić ten proces? Uwaga, herezja – produkowanie na jak największą skalę gazów cieplarnianych, topienie na siłę lodów polarnych itd.

DECYDUJĄCY ROK

„Projekt Hail Mary" to pierwsza udana superprodukcja tego roku. Czy dobre recenzje, fanowska baza czytelników książek i naprawdę solidna reżyserska robota wystarczą, aby okazał się sukcesem kasowym? Na dwoje babka wróżyła. Z jednej strony od dawna nie mieliśmy w kinach tytułu, któremu towarzyszyłyby tak dobre opinie w mediach społecznościowych, a Ryan Gosling w roli głównej wypada świetnie. Z drugiej – czy aby kłopoty Hollywood w ostatnich latach nie odzwyczaiły widzów od chodzenia do kina?

Ten rok może zdecydować o kształcie kinowego rynku na całą dekadę. Przed nami nowe filmy Nolana, Spielberga, przed nami trzecia „Diuna". Jeśli okaże się, że gwarantują jedynie pochwały, a nie wpływy do kasy, to fabrykę snów czeka kolejne trzęsienie ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

FOT. WOJCIECH OLKUSNIK/EAST NEWS

Tusk obowiązkowy

Krzysztof Masłoń

Polskim szkołom – zdaniem sterniczki naszej oświatowej nawy, Barbary Nowackiej ministrą zwanej – najbardziej brakuje psychologów. Ich niedobór szczególnie ponoć daje się we znaki na Podkarpaciu, regionie wyjątkowo upośledzonym, czego dowodzą już choćby tamtejsze wyniki wyborów, jakże odbiegające od pożądanych przez ekipę aktualnie trzymającą władzę.

Pomoc psychologiczna niewątpliwie przydałaby się, ale raczej tej właśnie ekipie, a pani „ministrze" edukacji narodowej i jej równie światłym koleżankom z gmachu przy Alei Szucha w pierwszej kolejności. Barbara Nowacka nie snułaby wtedy np. planów zlikwidowania oceny ze sprawowania, będącej rzekomo przeżytkiem istniejącym jeszcze wyłącznie w Polsce i na Białorusi. Na razie, jak wiemy, zlikwidowała inny przeżytek – prace domowe, będące jakoby wyjątkowo dotkliwą szykaną utrudniającą czy wręcz uniemożliwiającą młodzieży odpowiednie spożytkowanie należącego się jej wolnego czasu po wyczerpujących zajęciach szkolnych.

Szefowa resortu edukacji nie sprecyzowała natomiast do końca swojego stanowiska w kwestii szkolnych ubiorów czy – szerzej – tego, jak wyglądać powinien uczeń w placówce jej podlegającej. Jak się zdaje, dziewczęta nie powinny nosić zbyt dużych kolczyków, a chłopcy opadających spodni. Poza tym ministra łaskawie dopuszcza nawet mundurki, no bo jak ktoś się uprze, to nie ma o co kruszyć kopii, przynajmniej na razie. W każdym razie problem pozostaje i ozdoba gabinetu gównianych figur Donalda Tuska ma o czym myśleć. A jak myśli, to i wymyśli, a nawet to wyartykułuje.

Swego czasu oznajmiła np., że podręcznik do, naturalnie zlikwidowanego, przedmiotu historia i teraźniejszość pióra prof. Wojciecha Roszkowskiego na każdej stronie zawiera kłamstwa. Sąd nie doszukał się jednak tych kłamstw nie tylko, że nie na każdej, ale na żadnej stronie tej książki. Nowacka musi teraz przeprosić fałszywie oskarżonego autora „HiT", że jednak obciążony on został kosztami procesu, uznała się za osobę zwycięską, po czym zapowiedziała, jakżeby inaczej, apelację. Dobrego samopoczucia, widać, jej nie brakuje.

Do obowiązków swoich przykłada się z ogromnym zaangażowaniem. Nikt tak jak ona nie wyróżnił się w zgotowanej premierowi przez klakierów owacji, gdy ten nawiedził ostatnio budynek cyrku, przepraszam – Sejmu, przy Wiejskiej. W następnej kolejności, podpowiadam, mogłaby pani minister wpisać na listy lektur obowiązkowych fundamentalne dzieła Donalda Tuska. Nie wszystkie, bez przesady, „Szczerze" i „Wybór" (z Anną Applebaum) w zupełności wystarczą.

Precedensy były, i to liczne. W czasach z coraz większą nostalgią wspominanej Polski Ludowej uczniowie „przerabiali" i Bieruta, i Gomułkę, a kiedy było trzeba, posiłkowano się i Mieczysławem Moczarem. O Leninie, Stalinie, a bywało, że i Mao Zedongu nie zapominając.

Trzeba wszakże przyznać, że w tamtych latach, może i durnych, i chmurnych, ale nade wszystko upiornych, przynajmniej nie udawano tego, co dziś skrywa się pod frazesami o oświatowej reformie i „Kompasie Jutra". W pierwszych klasach szkół podstawowych nie było żadnych lektur, sformułowano za to cele, którym służyć miały ćwiczenia w mówieniu, czytaniu i pisaniu. Celem numer jeden było – cytuję – „rozwijanie umiłowania Polski Ludowej jako realizatora idei sprawiedliwości społecznej, wolności i budownictwa socjalistycznego", a celem numer dwa – „rozwijanie szacunku i przywiązania do międzynarodowych tradycji postępowych". W dalszej kolejności, jakby mimochodem, wspominano również „rozwijanie umiłowania mowy ojczystej", która budziła jednak niejakie wątpliwości ze względu na nadzwyczajną obfitość czytanek o Związku Sowieckim i ludziach sowieckich. W dużej mierze tłumaczonych, stąd też brały się przeróżne Czuki Heki, Witie Malejewy, Timury z jego komandą, Waśki Trubaczowy itd.

No cóż, w II klasie wśród tematów do zrealizowania przez nauczycieli znajdowało się „Polsko-radzieckie braterstwo broni" i „Marszałek Stalin – przyjaciel Polski", a w klasie IV „Przykłady bratania się Polaków i Rosjan w rewolucyjnej walce z caratem i wyzyskiem społecznym" [1863 (!), 1905], a także – uwaga – „obrazki historyczne, np. opowiadania o walce z naporem germańskim".

O tych ostatnich oczywiście musimy zapomnieć. Generalnie jednak wzorce są gotowe. Wykaz lektur, wśród których nieomal za klasyków robią dziś Nicholas Sparks czy Eric-Emmanuel Schmitt, a z autorów rodzimych Monika Sznajderman czy Mariusz Szczygieł, w każdej chwili może zostać wywrócony na nice. Mało kto zauważy różnicę; w końcu kiedyś i Brzechwa w nauczaniu szkolnym był obecny nie z „Akademią Pana Kleksa", lecz z „Planem sześcioletnim".

Szkolne lektury obowiązkowe i uzupełniające to zresztą temat rzeka. Trudno w to uwierzyć, ale pisarz Sofronow, który nad Wisłą zdobył wiekopomną sławę za sprawą Stanisława Barei i jego serialu „Alternatywy 4", gdzie nieustannie powoływał się na niego gospodarz domu Anioł, też był czytany przez polską dziatwę, jako że jego utwór „Do Warszawy" był „przerabiany" w polskich szkołach podstawowych w latach 1949–1955. Tak że Barbara Nowacka nie powinna się dłużej wahać i śmiało sięgnąć po książki swego rządowego pryncypała. Chyba że wolałaby się spakować, co od dłuższego czasu jej doradzam. Szczerze.

©℗

eprasa.pl 5b4182b876

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI: „HEWELIUSZ I INNE PRZEMILCZANE KATASTROFY POWOJENNEJ POLSKI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301~~ ZŁ

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 754 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5b4182b876

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Więzy rodzinne

★★★☆☆☆

SEZON 1
„ROOSTER"
USA 2026

wyst. Steve Carell, Charly Clive, Danielle Deadwyler

Ted Lasso" okazał się fenomenem, którego nie są w stanie powtórzyć nawet jego twórcy – dowodem nowy serial „Rooster" wymyślony przez Billa Lawrence'a. To, co w opowieści o trenerze AFC Richmond było zabawne i niewymuszone, tu wydaje się irytujące. I wiem dlaczego: „Ted Lasso" był opowieścią o grupie bohaterów, których dziwactwa nie przesłaniały faktu, że są z gruntu dobrzy i chcą dobrze. To był ten powiew świeżości i optymizmu, w którym zakochali się widzowie. „Rooster" podąża – niestety – tropem typowej współczesnej amerykańskiej komedii, w której dziwactwa zastępują bohaterom osobowość.

Autor popularnych kryminałów Greg Russo (Steve Carell) przybywa do Ludlow College – niby na spotkanie autorskie, a tak naprawdę z troski o córkę, którą mąż porzucił dla studentki. Pan Russo jest ostatnią osobą, która mogłaby komuś w sprawach osobistych doradzać, bo sam jeszcze nie wydobrzał po rozpadzie swojego związku; inni bohaterowie serialu okażą się równie upośledzeni emocjonalnie. Córka to kłębek nerwów i lęków, jej były mąż to dupek (nawet gra go Phil Dunster, czyli ten sam aktor, który miał podobne zadanie w „Tedzie Lasso" jako pyszałkowaty Jamie Tartt).

Wszystkich ich charyzmą przykrywa John C. McGinley jako rektor Ludlow College, Walter Mann, tyle tylko, że on jest z innej bajki. Jego komediowy styl i timing rozkwitły w odmiennym typie komedii, a mianowicie w ekscentrycznej serii „Scrubs" (u nas znanej jako „Hoży doktorzy"). McGinley jest świetny, ale do całej opowieści zupełnie nie pasuje: wnosi na ekran dziką sitcomową energię, tak jak kiedyś czynił to John Lithgow w „Trzeciej planecie od Słońca", tymczasem Steve Carell i reszta obsadzeni zostali w neurotycznej komedii obyczajowej rodem z tradycji nowojorskiego humoru Woody'ego Allena.

Efekt jest taki, że zamiast wzruszeń dostajemy wygłupy, choć scenarzyści wyłażą ze skóry, żeby niby portrety bohaterów pogłębić, dopisując im dialogi pełne wyznań dość banalnych. „Rooster" pozostaje więc gdzieś w zawieszeniu między szaleństwem „Hożych doktorów" a emocjonalną prawdą „Teda Lasso". I przez to właśnie zamiast ekipie z Ludlow College kibicować, wzruszamy ramionami. ©℗

GRA TYGODNIA: „POKEMON POKOPIA"

★★★★★☆

Pokemony zniknęły. Ludzie też. Świat nie jest zbyt przyjaznym miejscem. Jako pokemon Ditto, który przybiera ludzką formę, musimy sprawić, by ludzie i stworki wróciły. Jak to zrobić? Trzeba stworzyć utopię, to znaczy pokopię, w której będzie chciało się żyć. Odbudowujemy zatem świat, tworzymy nowe siedliska dla pokemonów, dzięki czemu dołączają do nas kolejne ich rodzaje. Wszystko na zasadach znanych z „Dragon Quest Builders 2". Znakomita, wciągająca, relaksująca gra. Spin-off, który jest o niebo lepiej wykonany niż główne odsłony serii. Do poprawienia drobnostki. Kontynuacja raczej pewna. ©℗ ***Radosław Wojtas***

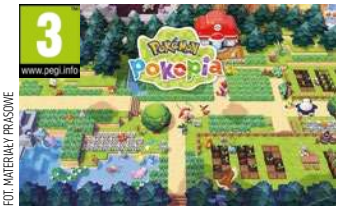

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** ***symulacja***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch 2***
- ***Producent, wydawca PL:*** ***Game Freak, ConQuest***

eprasa.pl 5b4182b876

Jesteśmy na wojnie

KINO

Satyra na pracoholizm ożenio-na z wizją przyszłości czarną jak antracyt.

Chan-wook Park znów prowokuje, twierdząc, że w walce z hydrą kapitalizmu moralność trzeba zawiesić na kołku. A może, jak na rewolucjonistę teoretyka przystało, sądzi, że wielka społeczna zmiana bez ofiar w ludziach obejść się nie może? Nowy film Koreańczyka respektuje dalekowschodnie realia. W Tokio, Seulu czy Szanghaju praca jest sensem życia. Bezrobocie – hańbą. Bohater, niby w żartach, porównuje przymusowe rozstanie z firmą, której oddałeś najlepsze lata, do dekapitacji. Faktycznie, zredukowani fachowcy zachowują się niczym bezgłowe koguty. Jeszcze przed chwilą czuli się panami świata, teraz miotani przedśmiertnymi drgawkami wykonują ruchy tyleż gwałtowne, co bezsensowne.

Man-su również jest w ciężkim szoku. Traci szacunek do samego siebie, zachwalana przez Amerykanów psychoterapia nie pomaga. Prędzej wpadnie w alkoholizm, niż się przebranżowi. W skrytości ducha marzy bowiem nie o „nowym początku", lecz o powrocie do przeszłości. Postępująca deklasacja i brzemię odpowiedzialności za rodzinę kierują jego myśli w stronę rozwiązań radykalnych. A jak uczy nas kino, gdy do łamania praw ludzkich i boskich biorą się tzw. normalsi, wcześniej czy później zostaniemy uraczeni scenami rodem z horroru. Ta historia epatuje okrucieństwem i nie zostawia żadnej nadziei. Człowiek to bestia, która w warunkach „wyższej konieczności" staje się zdolna do wszystkiego. Man-su, szukając usprawiedliwienia swoich czynów, mówi: „Jestem na wojnie". Chodzi mu o wojnę nowoczesną, na której, jak wiadomo, jeńców z zasady się nie bierze.

Pomysł szukania pracy po trupach reżyser „Pasożyta" wziął z filmu Costy-Gavrasa, sfrancuziałego Greka. Ale jeśli ktoś tu zasługuje na order, to Nowojorczyk Donald E. Westlake, za życia pomawiany o grafomanię. Powieść „Siekiera" (wydana u nas pod tytułem „Ostre cięcia"), która natchnęła obu panów, została wydana w 1997 r. Zważywszy, że wkrótce za sprawą AI wszyscy wylądujemy na zielonej trawce, dziś wydaje się książką proroczą. Ludzi, którzy się z tym nie pogodzą, trzeba liczyć w milionach. Ziemia spłynie krwią. Tylko czyją? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. CHAN-WOOK PARK
„BEZ WYJŚCIA" („NO OTHER CHOICE")
KOREA PŁD. 2026

wyst. Byung-hun Lee, Ye-jin Son, Hee-soon Park

PRECZ Z GRZECHEM!

Musical nie dla kucharek, chociaż takim właśnie zajęciem parała się bohaterka, zanim zaczęła czynić cuda. Ann Lee, dziewczyna z Manchesteru, po utracie czwartego dziecka znalazła pociechę w religii. Metodyści byli dla niej zbyt stateczni, przystała zatem do kwakrów. Oskarżana o bluźnierstwo, wzorem innych sekciarzy wsiadła na okręt płynący do Ameryki. Tam razem z garstką fanatyków czekała na koniec świata. Czemu kino nagle przypomniało sobie o kobiecie, wzywającej do życia w celibacie, publicznej spowiedzi tudzież rezygnacji z indywidualnej własności? Tylko z jednego powodu: biblijną frazę „niewiasta ogarnie męża" Ann Lee interpretowała w duchu zgoła feministycznym. Kreacja Seyfried i choreografia się bronią, jednak teksty piosenek chyba wymyślił buddysta. Bardziej przypominają mantry niż chrześcijańskie psalmy. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. MONA FASTVOLD
„TESTAMENT ANN LEE" („THE TESTAMENT OF ANN LEE")
USA 2025

wyst. Amanda Seyfried, Lewis Pullman

KINO

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Raj na ziemi

Po II wojnie, wobec zaniku potrzeby i mody na haftowanie strojów odświętnych na wsi, pasja twórcza wyzwalała się właśnie w dekorowaniu wnętrza mieszkalnego – w malowaniu dywanów i makatek, w wyszywaniu bielizny stołowej i pościelowej". Tak wybuch mody na makatki malowane, makaty, malowanki nad łóżko, dywany malowane, dywaniki, kilimy, kilimiki wyjaśnia Katarzyna Ignas, etnograf z Muzeum w Przeworsku, kurator wystawy „Raj na ziemi. Malowane makaty/dywany".

Kiedy moda przeminęła, a makaty jako przejawy kiczu albo ściągano bez sentymentów, albo niszczały pozostawione na bielonych ścianach opuszczonych chałup, ich losem zainteresowali się niektórzy muzealnicy, którzy je zabezpieczali. Zresztą idei opisywanej wystawy początek dały dwa dywany na sztajfie ze zbiorów Muzeum w Przeworsku, które lata temu zostały zdjęte wprost ze ścian drewnianych chałup, z których jedna już nie istnieje, a drugą, obecnie niezamieszkaną, najpewniej czeka ten sam los. ©℗

FOT. WOJCIECH DULSKI

GDZIE? ***Muzeum w Przeworsku Zespół Pałacowo-Parkowy***
KIEDY? ***do 31 maja***

eprasa.pl 5b4182b876

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gogol-mogel

Tytułowy bohater zajmującej i, nieoczekiwanie, dającej się odczytywać bardzo współcześnie biografii pióra Sylwii Frołow jest, w istocie, pisarzem zagadkowym. Przywykliśmy patrzeć na niego przez pryzmat znakomitych „Martwych dusz" i świetnego „Rewizora", z powodzeniem wystawianego na wszystkich znaczących scenach. Uznajemy Nikołaja Gogola za klasyka literatury rosyjskiej, czasem napomykając, że miał on pochodzenie polskie.

W artykule „Kilka słów o Puszkinie" złożył Gogol hołd twórcy, na wspomnienie którego – jak pisał – „nasuwa się myśl o rosyjskim poecie narodowym". „Minęło prawie dwieście lat… – pisze Sylwia Frołow. – Ukraina została bestialsko napadnięta przez Rosję. Tę samą Rosję, która kocha Puszkina. Tego Puszkina, który pisał o walczących w powstaniu listopadowym o swoją niepodległość Polakach: »[…] należy ich zdusić i dręczy mnie nasza opieszałość«".

To Aleksander Siergiejewicz Puszkin w wierszu „Oszczercom Rosji" pytał tych francuskich polityków, którzy stanęli w obronie tłumionego przez Rosję polskiego powstania:

O co ten krzyk, trybuni ludu? Czemu
Grozicie Rosji anatemą?
Co tak wzburzyło was? Litewski bunt
i kaźń?
To Słowian spór, rodzinny spór
domowy,
Nie rozwiążecie go krasomówczymi
słowy.
Przesądził dawno los tę naszą starą
waśń.

Gogol także zareagował na narodowowyzwoleńczy zryw Polaków. Odrzucił mianowicie drugi człon swojego nazwiska. Odtąd był już tylko Gogol, a nie jak przedtem Gogol-Janowski. W istocie powinien raczej być Hohol i tak zaanektowała go przynajmniej część Ukraińców, do porządku dziennego przechodząc nad tym, że pisarz jako swój język wybrał rosyjski, a carskim poddanym był więcej niż gorliwym.

„Na moją prośbę – pisze Sylwia Frołow – wypowiedział się do tej książki Jurij Andruchowycz. Zadałam mu pytanie, co dzisiaj zrobią Ukraińcy z pomnikami Gogola. Bo to, że obalają pomniki Puszkina, jest w pełni zrozumiałe. Lecz co z pisarzem, który twierdził, że sam nie wie, czy jego dusza jest bardziej chachłacka czy rosyjska?".

Biorąc pod uwagę całą dwuznaczność sytuacji – odpowiada pisarz rodem ze Stanisławowa zwanego także Iwano-Frankiwskiem – „ukraińscy aktywiści pomników Gogola nie ruszą. W całej Ukrainie nie ma ich w końcu tak wiele – najwyżej pięć lub sześć. Nieporównywalnie mało w zestawieniu z liczbą pomników Puszkina, których mieliśmy dziesiątki. Pod tym względem Puszkin – jeśli weźmiemy pod uwagę wyłącznie pomniki postaci rosyjskich – ustępuje tylko Leninowi.

Lenin reprezentował komunistyczną ideę internacjonalizmu, a Puszkin imperialną ideę rosyjską, więc z powodzeniem współistnieli. Gogol zaś jako imperialista wciąż »nie dorównuje Puszkinowi« (vide: ambiwalencja) i dlatego nie drażni tak mocno ukraińskich aktywistów".

Dla nas Gogol powinien pozostać jednak najbardziej jako autor powieści „Taras Bulba", uznawanej za antypolską, choć – trzeba przyznać – przedstawiającej okrucieństwo nie tylko Lachów, lecz także Kozaków. W Polsce w szkołach zaboru rosyjskiego była to lektura obowiązkowa, co trudno uznać za przypadek. W efekcie w II Rzeczypospolitej książki nie wydawano, a po pierwszym tłumaczeniu na polski na przekład następny (Aleksandra Ziemnego) musieliśmy czekać do roku 2000. Trzeba również pamiętać, że im mniej było „Tarasa Bulby" w Polsce, tym więcej było go w Związku Sowieckim, a to dlatego, że – jak akcentował Grzegorz Przebinda – w powieści tej Gogol „nie walczy przeciwko Polsce o Ukrainę, lecz występuje o wschodniosłowiańską prawosławną Ruś pod berłem rosyjskiego cara". Bo też taki był pseudoukraiński ten antypolski Małorosjanin, gustujący ponoć – jak się dowiadujemy – w napitku żartobliwie nazwanym przez niego goglem-moglem, czyli rumem zmieszanym z kozim mlekiem.

A odnośnie do Tarasa Bulby, to uwieczniony został, i to wielokrotnie, na taśmie filmowej. W 1962 r. np. J. Lee Thompson zrealizował awanturniczą wersję powieści Gogola z Yulem Brynnerem w roli głównej. A w 2009 r., w 200-lecie urodzin pisarza, Rosjanin Władimir Bortko nakręcił „Tarasa Bulbę", obsadzając w tytułowej roli Bogdana Stupkę, tego samego aktora ukraińskiego, który w ekranizacji „Ogniem i mieczem" u Jerzego Hoffmana grał Chmielnickiego. W filmie Bortki wystąpił też, specjalnie się tym jednak jakoś nie chwaląc, Daniel Olbrychski.

I jeszcze jedna ciekawostka, powiedzmy, że filmowa: „W marcu 2022 roku, po napaści Rosji na Ukrainę, polska wielbicielka aktora Dogomarowa [odtwórcy roli Bohuna w »Ogniem i mieczem« – przyp. K.M.] napisała do niego na Instagramie; »Bohun, ty jesteś kozak! Ukraiński kozak! Zatrzymajcie Putina!«. Aktor odpisał, że po pierwsze jest Tatarem, a po drugie Rosjaninem. I zakończył deklaracją: »Sława Rosji! Ręce precz od Rosji!«". ©℗

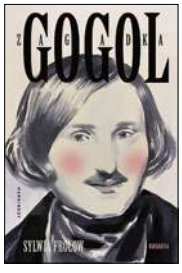

★★★★★☆
SYLWIA FROŁOW „ZAGADKA GOGOLA. BIOGRAFIA"
MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 5b4182b876

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Catalina blues

Pracowitość popłaca. Michael Connelly cierpliwie rozbudowuje uniwersum swych powieści kryminalnych. Pomaga Amazonowi w produkcji seriali o Harrym Boschu („Bosch", „Bosch: Legacy", a ostatnio „Ballard"), z Netflixem robi ekranizacje podserii o Mickeyu Hallerze (znanym jako „prawnik z Lincolna") i ciągle pisze, czego owocem jest powieść „Wilcza jagoda" otwierająca nową linię w opowieściach o gliniarzach z Los Angeles.

Nowy bohater to Stilwell, policjant wygnany na wyspę Catalina, spłachetek lądu długi na 35 km, leżący u brzegów Kalifornii. Catalina słynie z kasyna oraz maleńkich elektrycznych pojazdów, których używa się tam zamiast samochodów. Stilwell nadepnął na odcisk kilku ludziom w wydziale zabójstw, musi więc resetować swą karierę. Co wychodzi mu na zdrowie: nowa kobieta, leniwe popołudnia, a wśród spraw do rozwikłania głównie awantury wywoływane przez pijaków. Wszystko zmieni się, gdy z zatoki portowej wyłowione zostaną zwłoki zamordowanej dziewczyny. Znak szczególny – pasemko fioletowych włosów. Pracowała w miejscowym ekskluzywnym klubie dla bogaczy.

W porównaniu z najlepszymi powieściami o Boschu nowa książka wydaje się błaha, rzekłbym: wakacyjna w temacie i wykonaniu. Złoczyńcy są dość konwencjonalni (skorumpowany polityk, bezlitosny biznesmen oraz ich diaboliczny cyngiel), policjanci pogrążeni w rozgrywkach politycznych i przyduszeni biurokratycznymi procedurami. Na tym tle Stilwell odmalowany jest jako jedyny sprawiedliwy. Upór w prowadzeniu spraw do końca, wbrew obyczajom wydziału zabójstw, gdzie króluje spychologia, już raz wpakował go w kłopoty. Nie inaczej będzie teraz.

„Wilcza jagoda" łączy kryminał prowincjonalny (mieszkańcy Cataliny mówią, że wszystko, co złe, przydarza się w Los Angeles) z klimatami powieści policyjnej, która Connelly'emu wychodziła zawsze najlepiej. Tu wychodzi średnio, jakby pisana była w pośpiechu. Ale i tak godna jest uwagi, bo podobnie jak powieści o Harrym Boschu okazuje się opowieścią z niemodnym dziś przesłaniem. Nie ma tu żadnego zacierania granic, żadnych perwersyjnych kawałków o tym, jak to zło zwalczać trzeba złem, albo o tym, że za wszystko odpowiadają patriarchalne społeczeństwo i tradycyjna rodzina. Zło trzeba ukarać i koniec; gliniarze są od tego, by chronić tych, którzy sami się bronić nie mogą. Tylko tyle – i tyle właśnie wystarcza. ©®

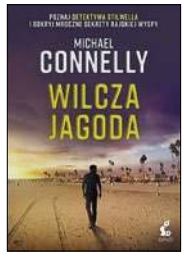

★★★☆☆☆
MICHAEL CONNELLY „WILCZA JAGODA" SONIA DRAGA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książka sprzed dekady, ale niezbędna, by zrozumieć, co dzieje się dziś. Specjalista do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego przybliża dzieje Iranu od Pahlawich do Rouhaniego. Oto korzenie sporu z Ameryką. Nieuniknionego?

ROBERT CZULDA „IRAN 1925–2014" PWN

Arcydzieło literatury meksykańskiej (zachwalałem przy okazji ekranizacji – „Do Rzeczy" 1/2025). Do powieści dołożono tom opowiadań „Równina w płomieniach" oraz (po raz pierwszy po polsku) zbiór opowieści „Złoty kogut".

JUAN RULFO „PEDRO PÁRAMO I INNE PROZY" PIW

„Wampir z Łowicza", „Blacharz z Łodzi" i inni. Jak wielu? Akta procesów zniszczono podczas wojny, świadkowie i sędziowie nie żyją, trzeba więc było rekonstruować prawdę na podstawie dawnych doniesień prasowych.

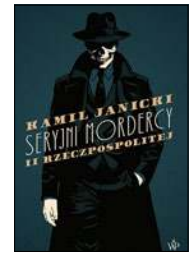

KAMIL JANICKI „SERYJNI MORDERCY II RP" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Klasyka XIX-wiecznego kryminału skrzyżowanego z barwną powieścią obyczajową, bardziej w duchu Dickensa niż Trollope'a: brat bierze na siebie winę za przestępstwo brata, tyle że ten jest niewinny. A kto jest sprawcą?

recenzuje Piotr Gociek

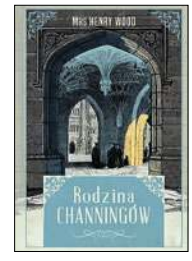

MRS HENRY WOOD „RODZINA CHANNINGÓW" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
BÓG I BOŻEK

Bohater słynnej serii Hugona Pratta (to już tom numer 17) tym razem trafia do Meksyku podczas katolickiego powstania przeciw antyklerykalnemu rządowi (słynna Cristiada). Obieżyświat i romantyczny cynik Corto Maltese bardziej jest jednak zainteresowany losem bezcennych prekolumbijskich zabytków, które trzeba przeszmuglować za granicę.

Piotr Gociek

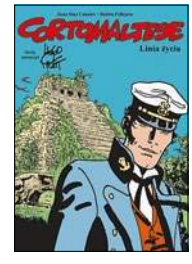

RUBÉN PELLEJERO, JUAN DÍAZ CANALES „CORTO MALTESE. LINIA ŻYCIA" EGMONT 2026

eprasa.pl 5b4182b876

Adam Wielomski

Trump i jego wola wojny

FOT. ADOBE STOCK

Obecna agresja Państwa Izrael i Stanów Zjednoczonych na Iran to klasyczny konflikt zbrojny, którego nowością jest brak celu i powodu. Prezydent USA i niektóre media bliskie są stwierdzeniu, że to Persowie prowadzą wojnę napastniczą, gdyż bez wypowiedzenia wojny zasypują dronami i pociskami balistycznymi amerykańskie bazy w „neutralnych" państwach

Rozpoczęta 28 lutego 2026 r. agresja Państwa Izrael i Stanów Zjednoczonych na Iran wypełnia chyba wszystkie możliwe kryteria tzw. wojny napastniczej, z elementami dość oczywistych zbrodni wojennych. Był to atak bez wypowiedzenia wojny, bez ostrzeżenia, którego celem stali się oficjalni przywódcy państwowi i religijni, a spadające bomby nie ominęły nawet szkoły dla dziewczynek. To, co w obyczajach międzynarodowych stanowi absolutną nowość, to brak podania przyczyny ataku. Trudno za taką przyczynę uznać rzekome irańskie prace nad własną bronią nuklearną, które lada moment miałyby zostać uwieńczone powodzeniem. Beniamin Netanjahu już w 1995 r. stwierdził publicznie, że Teheran może mieć bombę atomową w ciągu „kilku miesięcy". Administracja amerykańska straszy „kilkoma miesiącami" od 2010 r. W dodatku po amerykańskim ataku lotniczym na Iran pół roku temu Donald Trump osobiście ogłosił, że irański program nuklearny został fizycznie zlikwidowany. W kolejnych wypowiedziach Trump zmieniał zresztą swoje wyjaśnienia. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że celem agresji jest zmiana ustroju i elit w Teheranie, a kilka dni temu, iż celem jest… wprowadzenie tolerancji dla osób LGBT pośród Persów. Dlatego agresja ta jest unikatem na skalę międzynarodową, gdyż nie mamy żadnego oficjalnego powodu jej wybuchu.

Ktoś powie, że w lutym 2022 r. Putin podobnie nie podał powodów ataku na Ukrainę, ale wtedy sytuacja była inna. Rosyjski prezydent takie powody obszernie przedstawił w swoim wystąpieniu 21 lutego, czyli trzy dni przed początkiem wojny, lecz media ich nie przedstawiły polskim odbiorcom i stąd możemy mieć takie mylne wrażenie. Poza tym decyzja o wszczęciu wojny w roku 2022 otrzymała może mocno krytykowaną, ale jednak bardzo solidną podstawę ze strony rosyjskich specjalistów od prawa międzynarodowego, wobec której nie można przejść obojętnie, aczkolwiek w Polsce media uzasadnienie to przemilczały.

Dlatego z punktu widzenia prawa międzynarodowego tocząca się w Zatoce Perskiej wojna rzeczywiście stanowi nowość, gdyż nie przedstawiono nam ani jej celów, ani powodów, ani jakichkolwiek przesłanek prawnych do jej rozpoczęcia. Oto wojna, którą moglibyśmy na gruncie filozofii prawa określić mianem woluntarystycznej: Trump miał wolę, aby ją rozpocząć, i nie czuł potrzeby, aby przedstawić jej cele, powody i uzasadnić ją w kategoriach Prawa Narodów. Miał wolę, środki i w istocie stwierdził to samo, co Bóg wyznawców kalwinizmu, który jednym daje łaskę zbawczą, a innym jej nie daje, oświadczając: „Taki mam kaprys" (fr. „C'est mon bon plaisir"). Dobrze tę nihilistyczną i agresywną mentalność amerykańskiego establishmentu opisał Emmanuel Todd w wydanej ostatnio po polsku pracy „Klęska Zachodu".

NATURA PRAWA NARODÓW

Prawo w stosunkach między państwami funkcjonuje zupełnie inaczej niż w państwie. Otóż w państwie jest prawodawca, który stanowi normy i sankcje za ich złamanie, a także – jak chce Carl Schmitt – podejmuje decyzję polityczną o uznaniu, że normy zostały naruszone

eprasa.pl 5b4182b876

i sprawcy zakazanych czynów będą ukarani. W Prawie Narodów są tylko normy, gdyż zastosowanie jakiejkolwiek sankcji zależy od zgody mocarstw. W istniejącym obecnie systemie ONZ skuteczność prawa zależy od jednomyślnej zgody pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa, a przynajmniej od braku niezgody jednego z nich, wyrażonej w postaci weta absolutnego. Już w XVII w. Thomas Hobbes porównywał państwa do wchodzących na arenę gladiatorów, którzy mogą między sobą ustanowić jakieś zasady walki (wzajemnych stosunków) lub mogą nie uzgodnić żadnych i trwa wtedy „wojna wszystkich ze wszystkimi" bez żadnych zasad. Co gorsza, jeśli wchodzący na arenę ustanowią pewne zasady, to nie można ich następnie zmusić do ich stosowania, gdyż ponad nimi nie ma żadnego suwerena, żadnej władzy zwierzchniej, która penalizowałaby łamanie uzgodnionych zasad.

Stąd politolodzy o stosunkach międzynarodowych mówią, że nie są one „monarchią" (gdzie jest suweren), lecz „poliarchią", czyli systemem, gdzie mamy wiele ośrodków władzy, a żaden nie podlega żadnemu. Przestrzeganie Prawa Narodów wynika z konsensusu. Może on być wynikiem przyjętej przez wszystkich umowy poprzez przystąpienie do Ligi Narodów, ONZ lub ratyfikowanie odpowiedniego traktatu o przestrzeganiu proponowanego prawa międzynarodowego. Prawo to jest przestrzegane tak długo, jak długo mocarstwa tak czynią. A dlaczego tak czynią? Dlatego, że prawo międzynarodowe zdaje się przynosić korzyść wszystkim. Słabsi mogą się do niego odwoływać, aby się bronić i znaleźć wsparcie innych państw. Silniejsi mają tę korzyść, że reguluje ono stosunki między potęgami, zapobiegając np. atakowi bez uprzedzenia, ustanawiając stosunki dyplomatyczne wielce przydatne w relacjach między państwami etc. Jeśli jednak jedno z mocarstw zaczyna Prawo Narodów ignorować, to albo zostaje siłą zmuszone do jego szanowania przez pozostałych graczy, albo prawo przestaje istnieć, stając się dokumentem z… historii prawa. Zwykle państwa prawa przestrzegają i to nie tylko z powodu wygody i korzyści, lecz także z przyzwyczajenia, z ludzkiego poczucia, że jakieś normy muszą istnieć, najlepiej tradycyjne, do których przywykliśmy. Jeśli jednak trafi się mocarstwo nihilista, to zaczyna się poważny problem.

EROZJA KARTY ONZ

Po doświadczeniach drugiej wojny światowej Franklin Delano Roosevelt i Jozef Wissarionowicz Stalin podjęli decyzję o ustanowieniu nowego prawa międzynarodowego, którego podstawowym źródłem stała się Karta Narodów Zjednoczonych z roku 1945. Roosevelt naiwnie wierzył, że nowe prawo stworzy lepszy świat. Stalin nie był naiwny, lecz zgodnie z humanistyczną tradycją rewolucyjnej lewicy chętnie podpisywał się pod wszystkimi paktami mającymi lepszy świat ustanowić. W Karcie mamy art. 2, w którym czytamy: „Wszyscy członkowie powstrzymują się w swoich stosunkach międzynarodowych od groźby użycia siły lub użycia jej przeciwko integralności terytorialnej lub niezawisłości politycznej któregokolwiek państwa bądź w jakikolwiek inny sposób niezgodny z celami Organizacji Narodów Zjednoczonych". Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości wielokrotnie odwoływał się do tego zapisu, uzasadniając nielegalność wypowiadania wojen. Czyli Karta zakazała wypowiadania i prowadzenia wojen. Był to idiotyczny zapis, który prowadził wprost do dewastacji Prawa Narodów.

Dlaczego? Dlatego, że żaden artykuł prawa międzynarodowego nie jest zdolny zmienić natury ludzkiej po Upadku i wynikającej z niej rzeczywistości politycznej. Ludzie zorganizowani w państwa zawsze mieli odmienne interesy i często rozstrzygali je za pomocą wojen. Europejskie prawo międzynarodowe w ciągu wieków stworzyło system tradycyjnych norm, w jaki sposób wojny się wypowiada (łac. jus ante bello), w jaki sposób się je prowadzi (łac. jus in bello) i w jaki sposób się je kończy, podpisując traktaty (łac. jus post bellum). Wraz z delegalizacją wojen znikły wszystkie te wypracowane przez stulecia zasady, a wojny jak się toczyły, tak się toczą, gdyż zapis o ich zakazie nie odmienił natury ludzkiej po Upadku. Stąd, zamiast wojen, pojawiły się „interwencje zbrojne", „interwencje pokojowe", „misje stabilizacyjne", „interwencje humanitarne" czy „specjalne operacje wojskowe". Nauki o bezpieczeństwie odróżniły zaś wojny od konfliktów zbrojnych. Wojny to pojęcie historyczne, gdy się je wypowiadało, toczyło się je wedle pewnych reguł i wedle tych samych reguł kończyło. Konflikty zbrojne to takie nie wiadomo co: wojna, której nikt nie wypowiedział, a walczący stosują się do prawa wojny, gdy chcą, albo nie stosują się, gdy nie mają ochoty. Obecna agresja Państwa Izrael i Stanów Zjednoczonych na Iran to klasyczny konflikt zbrojny, którego nowością jest brak celu i powodu, a Trump i niektóre media bliskie są stwierdzeniu, że to Persowie prowadzą wojnę napastniczą, gdyż bez wypowiedzenia wojny zasypują dronami i pociskami balistycznymi amerykańskie bazy w „neutralnych" państwach: Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie, Katarze, Omanie i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Niestety, kasata pojęcia wojny kasuje przy okazji pojęcie neutralności.

Gdy po 1989 r. i zakończeniu zimnej wojny wydawało się, że na świecie

eprasa.pl 5b4182b876

nastanie trwały pokój, dominujący nad nową rzeczywistością Amerykanie raz za razem naruszali prawo międzynarodowe, gdy tylko było im to na rękę. Wbrew Karcie ONZ (art. 1 i 2) broniącej zasady integralności państw oderwali od Serbii Kosowo (2008), przeciwko czemu protestowały Rosja i Hiszpania, obawiając się niebezpiecznego dla siebie precedensu postawienia prawa narodu do samostanowienia ponad zasadą integralności terytorialnej. Gdy w 1999 r. z inicjatywy Amerykanów NATO zaczęło bombardować istniejącą wtedy Jugosławię, Zachód nie posiadał żadnej podstawy prawnej, o czym wprost pisał – popierający tę agresję – zmarły tydzień temu Jürgen Habermas. Gdy w 2003 r. USA rozpoczęły tzw. drugą wojnę iracką, uczyniły to wbrew Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Przy okazji ekipa George'a W. Busha ogłosiła, że Stany Zjednoczone są światowym obrońcą praw człowieka, więc z tej racji nie obowiązują ich zasady prawa międzynarodowego. Mimo to za każdym razem Amerykanie wyszukiwali jakieś prawne uzasadnienie, mniej lub bardziej logiczne, aby kolejne agresje uzasadnić. A to uchwała Rady Bezpieczeństwa sprzed kilku lat, a to obrona praw człowieka etc. Z tą faryzejską tradycją zerwał dopiero Trump. Najpierw w styczniu 2026 r. mieliśmy porwanie legalnie urzędującego prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro pod wyssanym z palca zarzutem kierowania mafią narkotykową (z którego prokuratura amerykańska już się wycofała) i zarzutem… nielegalnego posiadania broni automatycznej (sic!). Zachód w sumie poparł ten akt terroryzmu międzynarodowego z tej racji, że Maduro miał nielegalnie pełnić swój urząd, i uznając ten akt za „przywracanie demokracji" w Wenezueli. Trump szybko wyśmiał tę liberalną narrację, mówiąc, że chodziło o „naszą ropę" – naszą, czyli wenezuelską, którą Wenezuela wydobywała i sprzedawała bez narzucanego jej pośrednictwa amerykańskich koncernów naftowych. Zachód szybko zorientował się, że nie chodzi tutaj nawet o pozór walki o demokrację, gdy Trump zaczął grozić inwazją na Grenlandię, gdzie były „nasze metale ziem rzadkich". Jak wiadomo, Zachód dużo mówi o porządku opartym na „zasadach", ale słowa te traktuje poważnie tylko wtedy, gdy jest to zgodne z jego interesem.

Donald Trump nie ustawał w niszczeniu prawa międzynarodowego, ponieważ ograniczało ono możliwości ekspansjonistyczne Stanów Zjednoczonych. Stąd ogłaszane ciągle nowe pomysły, aby zastąpić instytucje opisane przez Kartę ONZ nowymi, w których amerykański prezydent dobierze sobie współpracowników. Radę Bezpieczeństwa ONZ – przyznajmy, działającą w zupełnie anachronicznym składzie, mającą takie upadłe mocarstwo jak Wielka Brytania, a niemającą w składzie Indii czy Brazylii – miała zastąpić nieumocowana prawnie grupa G5 (USA, Rosja, Chiny, Japonia, Indie). ONZ miała zastąpić Rada Pokoju z udziałem kilkudziesięciu mocarstw i państw średnich (m.in. Polski). Za każdym razem Trumpowi chodziło o kreację ciał zastępujących te, których istnienie wynikało z Prawa Narodów. Amerykański prezydent był przekonany, że w ten sposób stworzy układ złożony z USA i państw, z którymi będzie chciał współpracować i tworzyć porządek międzynarodowy. Chodziło mu o brutalne wyczyszczenie z gremiów decyzyjnych państw europejskich, którymi jawnie gardził, dotąd szeroko reprezentowanych (właściwie nadreprezentowanych) w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, Grupie G7 i G20. Trump widział się w roli dyrygenta światowej orkiestry, którą sam powoła do rządzenia światem. W istocie za pomysłami tymi krył się totalny nihilizm. Aby go zrozumieć, trzeba przeczytać wspomnianą wcześniej książkę Emmanuela Todda.

Zapewne Trump odejdzie w niesławie, lecz stare prawo międzynarodowe będzie musiało zostać nie tyle restaurowane, ile stworzone ponownie

PRAWO CZY BEZPRAWIE?

Najprawdopodobniej atak na Iran jest i będzie największym błędem politycznym Donalda Trumpa. Tą imperialną awanturą zniszczył całą swoją politykę stworzenia koncertu mocarstw i ukształtowania za jego pomocą nowego porządku międzynarodowego bez Europy. Zapewne w wyniku tej awantury republikanie przegrają wybory do Kongresu jesienią 2026 r. i stracą większość, a J.D. Vance utraci szansę na elekcję prezydencką.

Czy po zakończeniu nieudanej kadencji prezydenckiej Trumpa świat wróci do tego, co było wcześniej? Nie sądzę. Jak wiemy z rewolucji angielskiej w wieku XVII i francuskiej na przełomie wieków XVIII i XIX, restauracje integralne nigdy się nie udają. Obecny amerykański prezydent słusznie nauczał, że potęga USA relatywnie słabnie na świecie i musi się podzielić wpływami z Rosją i Chinami. Niestety, pycha imperialna i osobiste skłonności narcystyczne uniemożliwiły mu wyciągnięcie z tej konstatacji słusznych wniosków praktycznych. Dla swojego kolegi „Bibiego" Netanjahu, z poduszczenia związanego z Chabad Lubawicz zięcia Jareda Kushnera i radykalnych chrześcijańskich syjonistów, symbolizowanych przez sekretarza obrony Pete'a Hegsetha, rozpoczął awanturę wojenną bez pomysłu, jak ją wygrać, zakładając, że powtórzy się scenariusz z Wenezueli, czyli system irański upadnie po zamordowaniu znienacka przywódców państwa.

Zapewne Trump odejdzie w niesławie, lecz stare prawo międzynarodowe będzie musiało zostać nie tyle restaurowane, ile stworzone ponownie. Będzie zapewne uwzględniać nowy układ sił, pojawienie się nowych potęg w organach decyzyjnych i zniesienie nadreprezentacji państw zachodnioeuropejskich, o co zabiegał już Trump. Na nowo będzie trzeba rozważyć zakazanie wojen, kwestie prawa narodów do samostanowienia i integralności terytorialnej państw. Paradoksalnie od czasu oderwania od Serbii Kosowa permanentnie postuluje to Putin, który od lat nie wierzy w cerowanie istniejącego systemu Karty ONZ. Starego świata po zimnej wojnie już nie ma, a nowy jeszcze się nie urodził. Tymczasem mieszkamy pod namiotami. Można to potraktować jako szczególne wyróżnienie od Opatrzności: mało kto miał szansę widzieć zgon jednego i narodziny nowego świata.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

RATUJMY WDZ

W Obronie Polskiej Szkoły

Nie zgadzamy się na „Edukację zdrowotną”, która ma stać się obowiązkowa.

Żądamy jej likwidacji i przywrócenia **Wychowania do życia w rodzinie** od nowego roku szkolnego!

PODPISZ PETYCJĘ

i dołącz do tysięcy obrońców polskiej szkoły

wobroniepolskiejszkoly.pl/wdz

Podpis zajmuje kilkanaście sekund.

Paweł Chmielewski

Powrót synodalnej rewolucji

Pamiętają jeszcze państwo synodalność? Jeżeli nie, to najwyższy czas sobie przypomnieć, bo wraca do Kościoła z głośnym przytupem – w tym do Kościoła w Polsce

Synodalna rewolucja pędzi naprzód, a Leon XIV nie wydaje się skłonny do jej zatrzymania
FOT. MATTEO MINNELLA/REUTERS/FORUM

Papież Franciszek przeprowadził Synod o synodalności w latach 2021–2024. Nikt nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Watykan nakazał organizować na całym świecie dyskusje, szerzyć „włączenie", „inkluzywność" i „partycypację". Wszystko skończyło się publikacją dziwacznego „Dokumentu Finalnego", nad którym na równi z biskupami głosowali też świeccy – tak jakby rządy w Kościele uległy nagle jakiejś przymusowej demokratyzacji. Grzmiało, błyskało się, uderzył gdzieś piorun – ale ostatecznie burza jakoś się rozeszła. Wielu uznało, że chmury synodalności zniknęły z horyzontu Kościoła raz na zawsze, kiedy Franciszka na Tronie św. Piotra zastąpił nowy papież, Leon XIV.

Nie tak szybko. Krótko przed śmiercią Jorge Mario Bergoglio podpisał dokument, który – w szpitalu! – podsunął mu jego własny „szef do spraw synodalnych", kard. Mario Grech z Malty. Chodziło o to, żeby przedłużyć synodalność aż do roku 2028, kiedy miałaby zostać uroczyście zwieńczona Zgromadzeniem Kościelnym – kolejnym wspólnym zjazdem świeckich i biskupów. Zgodnie z przedłożoną wtedy przez Grecha agendą do roku 2028 na całym świecie znowu powinny odbywać się różne synodalne spotkania. Papież Leon XIV spotkał się z maltańskim kardynałem w lipcu 2025 r. i zatwierdził cały ten plan. Właśnie teraz nadszedł czas na rozpoczęcie jego realizacji.

POLUZOWAĆ CELIBAT?

Prym wiedzie archidiecezja krakowska. Kardynał Grzegorz Ryś 14 marca 2026 r. otworzył synod archidiecezjalny. Teoretycznie to nic nowego – podobny synod odbywał się już w przeszłości, za czasów Karola Wojtyły. Arcybiskup Ryś postanowił zaprosić jednak specjalnego gościa, prosząc go o wyjaśnienie księżom, na czym polega obecna synodalność. W dniach 27–28 lutego w Krakowie nauki wygłaszał sam kard. Jean-Claude Hollerich, arcybiskup Luksemburga, który za pontyfikatu Franciszka odgrywał kluczową rolę relatora generalnego Synodu o synodalności. W kwestii samej mechaniki synodalności, tak jak wymyślił ją papież z Argentyny, to niewątpliwie człowiek doświadczony. Problem w tym, że na wiele bardzo istotnych kwestii ma poglądy drastycznie odległe od tego, co w Polsce uchodzi za normalny katolicyzm.

Uważa np., że celibat należałoby poluzować, tak by pozwolić księżom na posiadanie żon. Z aktualną sytuacją kapłaństwa Hollerich ma jeszcze inny problem: otóż kilka razy mówił, że jest otwarty na koncepcję udzielania sakramentu święceń kobietom. Można założyć, że teoretycznie możliwe stałyby się wtedy „kapłańskie małżeństwa" – to by dopiero była inkluzja! Nie wiem też, czy koniecznie należy ograniczać takie wyobrażeniowe kon-

eprasa.pl 5b4182b876

strukcje do relacji damsko-męskich. Luksemburski kardynał uważa, że nauczanie Kościoła na temat seksualności jest passé. „Nie definiowałbym moralności – zwłaszcza moralności seksualnej – tak wąsko, jak czyni to Kościół dzisiaj" – stwierdził kiedyś. Innym razem pytany o nauczanie Kościoła na temat homoseksualizmu odparł: „Uważam, że to jest błędne. Sądzę także, że w tej kwestii powinniśmy dalej rozwijać nauczanie". Ktoś mógłby zapytać, jak kardynał łączy to wszystko z faktyczną nauką Kościoła, która odrzuca małżeństwa księży, kapłaństwo kobiet i uznaje akty homoseksualne za grzechy. Być może chodzi o „japońską logikę". „W Japonii poznałem inne myślenie. Japończycy nie myślą tak jak w europejskiej logice przeciwieństw. My mówimy: to jest czarne, nie jest zatem białe. Japończycy mówią: To jest białe, ale może jest też czarne. W Japonii można łączyć przeciwieństwa, bez zmiany stanowiska" – przekonywał kardynał, opowiadając o czasie swoich studiów i posługi w Kraju Kwitnącej Wiśni. Być może synodalny ekspert Franciszka nie opowiadał o tym wszystkim na zamkniętym spotkaniu z księżmi z Krakowa, ale czytelnik przyzna, że to mimo wszystko naprawdę „ciekawy" nauczyciel – zwłaszcza dla kapłanów w dawnej archidiecezji Jana Pawła II.

Na pozór spokojniej kształtuje się synodalność w Warszawie. Arcybiskup Adrian Galbas, podobnie jak kard. Ryś, też zwołał na 2026 r. synod archidiecezjalny, ale jak dotąd próżno szukać ekstrawaganckich gości z zagranicy. Cóż jednak z tego, skoro wśród polskiego duchowieństwa są kapłani o iście zagranicznych horyzontach? W archidiecezji warszawskiej pojawił się w związku z zaplanowanym synodem ks. Grzegorz Strzelczyk z Katowic, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego. Opowiadał o historii synodu warszawskim księżom zgromadzonym na dorocznych kongregacjach. Nie była to jeszcze formalna część synodu, ale element merytorycznego wstępnego przygotowania. Podobnie jak w przypadku Krakowa pytania wzbudza nie to, co konkretnie powiedział ks. Grzegorz Strzelczyk, ale to, jakie w ogóle głosi poglądy.

Przykład? W 2018 r. Konferencja Episkopatu Polski przyjęła dokument, w którym dokonała krajowej implementacji adhortacji Franciszka „Amoris laetitia". To właśnie tam Jorge Mario Bergoglio zawarł dwuznaczne sformułowania, na których bardzo zależało teologom niemieckim, a które otworzyły drogę do udzielania Komunii Świętej rozwodnikom w powtórnych związkach, nawet jeżeli nie żyją w czystości – niezgodnie z wcześniejszym nauczaniem Kościoła katolickiego. Ksiądz Grzegorz Strzelczyk publicznie prezentuje interpretację „Amoris laetitia" sprzeczną z wytycznymi Episkopatu, a bliską optyce niemieckiej. W książkowej rozmowie z Bogdanem de Barbaro twierdził np., że w Polsce „mamy problem" ze zrozumieniem nauki Franciszka, dlatego ludzie powinni po prostu „poszukać porządnego spowiednika", który będzie wierny linii Jorge Maria Bergoglia. Na tym temacie nie koniec. W innej rozmowie książkowej, z Anetą Kuberską, zastanawiał się, czy wejście w związek homoseksualny albo stosowanie antykoncepcji musi być grzechem, a już szczególnie grzechem ciężkim; cytował też Marcina Lutra, rozważając, czy Pan Jezus w ogóle ustanowił kapłaństwo; przekonywał, że „okno" w kwestii diakonatu kobiet jest „znacznie szersze, niż się wydaje". Obrońcy ks. Strzelczyka w roli eksperta od synodalności mogą powiedzieć, że w Warszawie mówił tylko o historii idei synodus, więc nie ma tu związku. Tak się tylko wydaje – ostatecznie to właśnie podczas Synodu o synodalności Franciszka rozmawiano szeroko o celibacie, diakonacie kobiet czy homoseksualizmie. Jednego nie da się oddzielić od drugiego.

SYNODALIŚCI Z WATYKANU

Tyle, na razie, w Polsce. A co w Rzymie? Papież Franciszek zadbał o to, by synodalność rozwijała się nawet po jego odejściu. Powołał 10 specjalnych Komisji Studyjnych, którym powierzył zadanie szczegółowego omówienia różnych zagadnień w duchu synodalności. Właśnie w 2026 r. grupy te zaczęły publikować wyniki prac. Podam tu tylko jeden przykład – bardzo znamienny. 10 marca swój raport opublikowała komisja zajmująca się rolą kobiet w Kościele katolickim. Tekst brzmi tak, jakby wyprodukowała go jakaś organizacja feministyczna walcząca o równouprawnienie płci. Synodalistom z Watykanu nie podoba się np., że w niektórych językach – jak w angielskim – to samo słowo oznacza zarówno „mężczyznę", jak i „człowieka". Ma być to przykład na „przedstawianie płci męskiej jako normatywnego odniesienia do rozumienia człowieczeństwa jako takiego". Dokument domaga się też „przezwyciężenia sztucznego podziału między płciami", co miałoby zostać wyrażone w przekazywaniu kobietom władzy w Kościele. W tekście stawia się postulat przyjrzenia się Matce Bożej w innych aspektach „niż tylko macierzyństwo". Tekst chce, by mężowie przejmowali niektóre obowiązki domowe żon, tak by kobiety mogły „rozwijać swoje charyzmaty w świecie i w Kościele". Wreszcie watykański dokument w pozytywnym świetle przedstawia… parytety płciowe, sugerując, że przydałyby się też w Kościele. Słowem, manifest ideologii feministycznej, ale z pieczątką Watykanu.

To tylko jeden z raportów – w sumie chodzi o kilkanaście tekstów, różnej jakości. Synodalna rewolucja pędzi naprzód, a Leon XIV nie wydaje się skłonny do jej zatrzymania. Trudno się dziwić. Ostatecznie jeszcze jako kardynał kurialny angażował się w synodalność i publicznie aprobował dokument „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par tej samej płci, jeden z najbardziej gorzkich „owoców" synodalizmu. Na początku 2026 r. wygłosił wiele katechez na temat Soboru Watykańskiego II, pozbawionych jakiegokolwiek cienia krytycznej refleksji nad dziedzictwem tego zgromadzenia. Robert Prevost chce, by Kościół katolicki „szedł naprzód" – a według watykańskiego mainstreamu oznacza to obecnie synodalność.

Szkoda, że coraz częściej przyłączają się do tego marszu również Polacy. Wydawałoby się, że jest możliwe postawić na mądrą, konserwatywną politykę kościelną, która unika chodzenia po synodalnych bezdrożach. Jak widać, pokusa płynięcia w głównym nurcie bywa jednak zbyt silna. Długotrwała promocja liberalnych idei za pontyfikatu Franciszka i ścisłe kontakty części Kościoła w Polsce z europejskimi progresistami wywołują określony skutek. Jeżeli będą mieć państwo okazję wzięcia udziału w jakichś spotkaniach synodalnych – w Krakowie, Warszawie czy w innej diecezji – to warto to wykorzystać, by upomnieć się o stabilność i wierność wobec Tradycji. Kościół w Polsce do niczego nie potrzebuje postępowej rewolucji na niemiecką modłę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 5b4182b876

Pieniądze nie wystarczą

FOT. ADOBE STOCK/ZKREDEK

Marcin Kraska

Polska nauka zbyt często funkcjonuje w układzie o ograniczonej międzynarodowej cyrkulacji talentu i zespołów. Produkuje solidną wiedzę, która jednak zbyt rzadko staje się fundamentem dla globalnych trendów i najbardziej prestiżowych grantów

Polscy licealiści i studenci wygrywają prestiżowe konkursy i olimpiady, a Polacy odnoszą sukcesy naukowe w czołowych ośrodkach na świecie i tworzą innowacyjne firmy. To dowód, że nasz system kształcenia działa skutecznie. Tracimy jednak ten impet na dalszych etapach: polska nauka zbyt rzadko liczy się w globalnym wyścigu i zbyt słabo oddziałuje na świat.

W debacie publicznej najczęściej sprowadza się tę lukę do poziomu finansowania. Tymczasem wzrost nakładów – choć konieczny – nie jest warunkiem wystarczającym. Poniżej formułuję cztery tezy, które porządkują kluczowe blokady polskiej nauki i wskazują kierunki zmian, bez których zwiększanie budżetu nie przełoży się na trwały wzrost pozycji w globalnym ekosystemie badań i innowacji.

TEZA NR 1:

Polska nauka jest niedofinansowana, jednak samo zwiększanie nakładów na badania i rozwój w Polsce nie daje gwarancji sukcesu

Świat nauki od wielu lat głośno mówi, że nakłady na badania i rozwój w Polsce są za niskie. Polska zdecydowanie nadal odbiega od poziomów dofinansowania obserwowanych w najbardziej innowacyjnych krajach. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego i raportów Europejskiego Rankingu Innowacyjności (European Innovation Scoreboard, EIS), wskaźnik GERD (krajowe nakłady brutto na badania i rozwój) wzrósł z 0,56 proc. w 2007 r. do 1,41 proc. w 2024 r. (1,56 proc. w 2023 r.), czyli niemal trzykrotnie. Dla porównania: liderzy utrzymują ok. 3 proc. PKB lub więcej: Szwajcaria i Szwecja 3,3–3,6 proc., Dania ok. 3,0 proc., Holandia ok. 2,3 proc.

Problem, jaki jednak dostrzegam, to fakt, że pomimo nadrabiania dystansu w finansowaniu badań i rozwoju nie przekłada się to na automatyczny awans w rankingach innowacyjności. Polska w 2025 r. nadal zajmuje 39. miejsce według Globalnego Indeksu Innowacyjności (Global Innovation Index, GII) i 27. miejsce według EIS (23. miejsce wśród krajów UE), co jest pozycją niemal identyczną jak 10 lat temu. To niestety pokazuje, że poziom finansowania badań i rozwoju nie jest jedynym czynnikiem niedoskonałości naszego systemu innowacji.

TEZA NR 2:

Polska nauka jest za bardzo lokalna i potrzebuje obiegu międzynarodowego

Polska nauka w 2025 r. pozostaje systemem wysoce homogenicznym i zamkniętym, co bezpośrednio przekłada się na naszą niską pozycję nawet w europejskiej hierarchii innowacyjności. Według EIS 2025 Polska zajmuje odległe 25. miejsce w obu kluczowych kategoriach świadczących o otwartości: międzynarodowych współpublikacjach naukowych oraz odsetku zagranicznych doktorantów (osiągając zaledwie 14,5 proc. średniej unijnej).

Już drugi rok z rzędu (2024, 2025) żaden naukowiec afiliowany w polskiej instytucji nie znalazł się na elitarnej liście najczęściej cytowanych naukowców Highly Cited Researchers (Clarivate). Polskie nazwiska pojawiają się w zestawieniu dzięki wybitnym badaczom pracującym w zagranicznych ośrodkach.

Nie oznacza to oczywiście, że mamy słabych naukowców. Potencjał polskich naukowców widać w rankingu World's Top 2% Scientists (Uniwersytetu Stanforda i firmy Elsevier), gdzie posiadamy stabilną bazę ponad 1,4 tys. naukowców i z roku na rok jest ich coraz więcej. Ten pozytywny trend oznacza, że mamy solidną grupę dobrych badaczy, ale potrzeba nam więcej wybitnych liderów, którzy pociągnęliby za sobą światowe talenty i ogromne granty. Najbardziej innowacyjne kraje bazują w budowaniu swojego rankingu innowacyjności właśnie na największych światowych talentach. Polska nauka jest zatem jak „reprezentacja narodowa", podczas gdy nauka szwajcarska czy

eprasa.pl 5b4182b876

amerykańska to „liga mistrzów". Polska nauka zbyt często funkcjonuje w układzie o ograniczonej międzynarodowej cyrkulacji talentu i zespołów. Produkuje solidną wiedzę, która jednak zbyt rzadko staje się fundamentem dla globalnych trendów i najbardziej prestiżowych grantów.

Ta izolacja strukturalna stanowi szklany sufit m.in. w programie Horyzont Europa (HE) – mimo że polskie instytucje (z Uniwersytetem Warszawskim na czele) pozyskały już 823,1 mln euro dofinansowania netto (stan raportowany w 2025 r.), wciąż dominujemy jako partnerzy, a nie koordynatorzy przełomowych projektów. Pomimo tego, że są to rekordowe wartości i robimy postęp w stosunku do poprzedniej perspektywy finansowej (skok z poziomu 1,2 proc. (H2020) do blisko 1,9 proc. (HE), to nadal Polska w obszarze badań i innowacji wpłaca do wspólnej puli więcej, niż udaje nam się z niej wyciągnąć.

Oprócz niskiego umiędzynarodowienia przyczyn niewykorzystania w pełni środków europejskich należy szukać także w małej aktywności Polski w budowaniu wpływu na agendę tematyczną. Często startujemy w konkursach „uszytych" pod silne konsorcja z Europy Zachodniej, które lobbowały za takimi zapisami już dwa lata wcześniej.

TEZA NR 3:

Polskie instytucje badawcze żyją od grantu do grantu, potrzeba planowania strategicznego i ciągłości badań

Polski model finansowania nauki jest modelem reaktywnym. Naukowcy nie realizują strategii rozwoju swoich dyscyplin, lecz dopasowują swoje tematy badawcze do aktualnie dostępnych konkursów, by zapewnić ciągłość zatrudnienia zespołom. To sprawia, że polska nauka jest rozproszona, a instytucje zamiast budować unikalne specjalizacje, zajmują się „zarządzaniem niedoborem". Podczas gdy zagraniczne instytucje badawcze bazują na kilkuletnim finansowaniu i operują w cyklach wieloletnich, polski rektor lub dyrektor instytutu badawczego co roku „zaczyna planowanie od nowa". W Polsce subwencja przyznawana jest na jeden rok budżetowy. Czołowe ośrodki badawcze w Europie, takie jak np. ETH, Fraunhofer czy IMEC, otrzymują środki na zazwyczaj cztero- lub pięcioletnie plany badawcze, których rezultaty weryfikowane są corocznie. Liderzy innowacji mają więc pewność finansowania na kilka lat, co daje możliwość planowania ambitnych badań, bez potrzeby martwienia się, czy w kolejnym roku będą fundusze.

W konsekwencji polskie instytucje badawcze rzadko działają w oparciu o świadome strategie. Dotykają wielu obszarów, bo akurat są dostępne fundusze, rozpraszając działalność, zamiast budować silną pozycję w wybranych, najsilniejszych kompetencjach. Strategiczne myślenie to odpowiedź na pytanie, w jakim ważnym dla społeczeństwa lub biznesu obszarze mamy szansę być najlepsi w Polsce, Europie lub na świecie. Bycie najlepszym w wybranym obszarze badawczym otwiera drogę do współpracy z najlepszymi zespołami i wzmacnia pozycję międzynarodową.

TEZA NR 4:

Polskie badania muszą stawiać na praktyczne zastosowanie i wpływ

Najlepsze ośrodki badawcze koncentrują się nie na „ciekawych", lecz na ważnych badaniach – rozwiązujących obecne lub przyszłe problemy świata. Publikacje traktują jako narzędzie, a nie cel i przez cały cykl prac weryfikują je z odbiorcą technologii. To zwiększa szanse na komercjalizację, bo buduje realny wpływ.

Tym różni się to podejście od polskich realiów, gdzie częściej dominuje skupienie na artykułach i stopniach, kosztem wpływu. Ciekawość świata jest paliwem badań, ale nie powinna być celem końcowym – trzeba ją uzupełnić o nastawienie na wpływ, czyli szukanie powiązań z realnymi problemami i przyszłymi potrzebami, by badania częściej prowadziły do wdrożeń i trwałego oddziaływania. To oznacza, że już od początku prac nad technologią trzeba myśleć o praktycznym zastosowaniu i oddziaływaniu. Im wcześniej, tym łatwiej dopasować rozwiązanie do potrzeb i wdrożyć – a polska nauka ma wiele przykładów, gdzie komercjalizacja zaczyna się dopiero na wysokich TRL, gdy okazuje się, że innowacji nikt nie potrzebuje albo nie da się jej wdrożyć przemysłowo.

Często startujemy w konkursach „uszytych" pod silne konsorcja z Europy Zachodniej, które ubiegają nas w lobbowaniu za daną agendą tematyczną

Myślenie o TRL jako procesie prowadzącym do zastosowania może przesunąć nacisk z „robienia badań" na „dowiezienie technologii do użycia". Wzmacnia to sprzęgło nauka – biznes i zaufanie firm, że naukowcy potrafią dostarczać technologie potrzebne gospodarce – a w polskich realiach tego zaufania nadal brakuje.

Niski poziom współpracy nauki z biznesem nie wynika tylko z winy nauki, lecz także z niskiej skłonności polskich firm do wdrażania innowacji. Według EIS 2025 Polska zajmuje 26. miejsce pod względem odsetka MŚP, które wprowadziły nowy lub istotnie ulepszony produkt, oraz 21. miejsce w innowacjach procesowych. W firmach nadal inwestuje się zbyt mało w innowacje, co naturalnie ogranicza współpracę z nauką.

W krajach najbardziej innowacyjnych (np. Szwajcaria) współpraca jest naturalna. Polska, mimo rosnących nakładów, działa w systemie „wyspowym": nauka i biznes funkcjonują równolegle, skupiając się na wydatkowaniu środków, a nie na trwałych relacjach. Tam, gdzie transfer technologii działa dobrze (Niemcy, Francja, Hiszpania), publiczne pieniądze pośrednio wzmacniają rodzime przedsiębiorstwa, a lokalne instytuty są ich naturalnym partnerem technologicznym.

Wyścig naukowy nie jest dziś konkursem talentów, tylko sprawdzianem systemu. Te cztery blokady są do przełamania, ale nie zrobi tego sam wzrost budżetu. Potrzebujemy nauki bardziej światowej w obiegu, mniej rozproszonej i opartej na kilkuletnim planowaniu, a przede wszystkim nastawionej na realny wpływ. To oznacza: mniej „grantowego dryfu", więcej priorytetów i konsekwencji; mniej lokalnej cyrkulacji, więcej międzynarodowego mieszania talentu – grania w „lidze mistrzów" poprzez przyciąganie i utrzymywanie najlepszych; mniej „publikacji jako celu", więcej badań, które dowożą zastosowanie i budują zaufanie biznesu. Bez takiej korekty systemu będziemy dalej tracić impet i marnować potencjał, który dziś mamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor w latach 2019–2024 był wiceprezesem Sieci Badawczej Łukasiewicz, w tym do spraw badań i rozwoju w latach 2019–2023.

eprasa.pl 5b4182b876

Filip Memches

Tłum na Tempelhofer Feld w Berlinie oczekuje na przemówienie Adolfa Hitlera z okazji Narodowego Dnia Pracy, 1 maja 1933 r.

FOT. DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM, BERLIN

Czy Hitler naprawdę był „lewakiem”?

Czytając książkę „Socjalizm w mundurze”, trudno nie zadać pytania: Jakie były pozanaukowe intencje jej autora? Nasuwa się odpowiedź, że Rainerowi Zitelmannowi chodziło o udowodnienie, że nazizm nie był zjawiskiem prawicowym. Tyle że prawda jest dużo bardziej skomplikowana

Niemiecki narodowy socjalizm wciąż stanowi w Polsce przedmiot sporów. Mimo że należy do przeszłości, to pamięć o nim jest wykorzystywana w bieżących starciach politycznych. Lewica usiłuje wykazać, że nazizm to zjawisko prawicowe, prawica – że lewicowe. I można odnieść wrażenie, że w drążeniu tego tematu nie chodzi o to, żeby dociec prawdy, ale o wywołanie skojarzeń, za pomocą których będzie można dezawuować przeciwników politycznych.

Nazizm jest już bowiem nie tylko zjawiskiem historycznym. W państwach cywilizacji zachodniej – ale w putinowskiej Rosji również – funkcjonuje jako mit. Jest synonimem absolutnego zła, które nie podlega racjonalnym analizom. Jeśli gdzieś się ono znów pojawia, to należy odprawiać nad nim polityczne egzorcyzmy.

Gdy w latach 90. kształtowała się scena polityczna III Rzeczypospolitej, mitologia antynazistowska stała się ważnym orężem sił lewicowych i liberalnych w walce z prawicą. Można powiedzieć, że w spadku po polityce historycznej PRL przejęto pogląd, iż nazizm – i jako teoria, i jako praktyka – był czymś skrajnie prawicowym. Źródło tej wykładni stanowi mapa polityczna, na której poszczególne punkty odniesienia są rozmieszczone następująco: po stronie lewej – nowoczesność, postęp, inkluzywność, po prawej – zachowawczość, wstecznictwo, ekskluzywność.

Nic dziwnego, że środowiska konserwatywne w Polsce zaczęły kontrować opinią, iż Adolf Hitler stał w gruncie rzeczy na czele ugrupowania socjalistycznego (Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników), więc tak naprawdę był „lewakiem”, a nie „prawakiem”. Trzeba się było przecież jakoś wizerunkowo bronić. Przede wszystkim polscy konserwatyści argumentowali, że III Rzeszę cechował etatyzm – podporządkowanie gospodarki państwu, z którego wynikały działania bijące w wolność gospodarczą.

Tym samym tropem podążył – tyle że nieco wcześniej – niemiecki historyk Rainer Zitelmann. Jest on autorem głośnej książki pt. „Socjalizm w mundurze. Adolf Hitler i jego wizja narodowego socjalizmu” z roku 1987. Dopiero niedawno ukazała się ona po polsku. Gdy autor pracował nad tą opasłą publikacją, był na etapie przewartościowywania swojego światopoglądu w prawą stronę. Zaczynał bowiem jako marksista, ale badania nad dziejami nazizmu skłoniły go do wniosków, które uwierają lewicę. Jak twierdzi Zitelmann, zasadnicza teza książki bliska jest diagnozie Friedricha Augusta von Hayeka, austriackiego ekonomisty, teoretyka liberalizmu gospodarczego, i brzmi: Nazizm – zgodnie ze swoją nazwą – był połączeniem nacjonalizmu z socjalizmem. Jednak to właśnie komponent socjalistyczny stanowił jego istotę.

DARWINIZM SPOŁECZNY

Po drugiej wojnie światowej rozpowszechniło się w świecie przekonanie, że najcięższym odium nazizmu okazał się Holokaust. A nie byłoby przecież planu masowego mordowania Żydów przez Niemców, gdyby nie antysemickie obsesje Hitlera i jego zwolenników. Wskazywano zatem, że stanowiły one produkt wielowiekowych uprzedzeń, które narody europejskie żywiły do diaspory żydowskiej. Trzeba było jednak wyjaśnić, kto te uprzedzenia rozsiewał, bo nie wzięły się one znikąd. I padło na prawicę. Z prawicowych kręgów dobywały się bowiem głosy, że Żydzi jako awangarda wszelkich rewolucji są czynnikiem rozkładu tradycyjnego porządku społecznego.

Tymczasem według Rainera Zitelmanna w agendzie ruchu nazistowskiego u jego początków „kwestia żydowska” nie odgrywała wiodącej roli. Przede wszystkim Hitler wtedy kładł nacisk na sprawy społeczno-ekonomiczne. Zanim NSDAP doszła do władzy, priorytetem dla niej była poprawa sytuacji materialnej ludu niemieckiego przy pomocy interwencjonizmu państwowego.

Takie ujęcie zagadnienia koliduje z lewicową narracją o nazistach jako sojusznikach wielkiego kapitału, który obawiał się rewolty socjalistycznej czy komunistycznej. Niemcy w latach 20. pogrążyły się w głębokim kryzysie gospodarczym, który mógł stanowić sprzyjającą okoliczność dla buntu proletariatu pod czerwonym sztandarem. A socjaldemokraci oraz komuniści pozostawali antagonistami NSDAP. Zdaniem Zitelmanna Hitler jednak był wrogiem kapitalizmu. Tyle że postanowił dokonać syntezy gospodarki rynkowej z gospodarką planową. I zamiast – jak na

eprasa.pl 5b4182b876

RAINER ZITELMANN „SOCJALIZM W MUNDURZE. ADOLF HITLER I JEGO WIZJA NARODOWEGO SOCJALIZMU" PRZEKŁAD: MARIA MALINOWSKA, FREEDOM PUBLISHING, WROCŁAW 2025

lewicowego rewolucjonistę przystało – pójść z magnatami niemieckiego przemysłu na zderzenie, potraktował ich instrumentalnie. Owszem, wszedł z nimi w sojusz, ale po to, żeby oni go poparli w jego drodze do władzy. Gdy zaś nastała III Rzesza, wielkie prywatne koncerny przemysłowe zarabiały na zamówieniach państwowych, zwłaszcza że ruszyła machina zbrojeniowa, bo Niemcy szykowały się do podboju Europy.

Jak twierdzi Zitelmann, choć Hitler ubiegał się o głosy mieszczaństwa, to zarazem miał do niego bardzo krytyczne czy wręcz pogardliwe nastawienie. Zarzucał mu przedkładanie swoich klasowych interesów nad interesami niemieckiej wspólnoty narodowej, co miało u tej warstwy społecznej iść w parze z brakiem energii, słabością, tchórzostwem. Natomiast zgoła odmienny był stosunek Hitlera do robotników. Patrzył na nich z podziwem i uznaniem. Chciał dowartościowania ich trudu, czyli pracy fizycznej. Żywił przekonanie, że w odróżnieniu od mieszczaństwa proletariat cechuje się energią, siłą, odwagą, jest zahartowany bytowaniem w ciężkich, surowych warunkach. Zitelmann twierdzi, że Hitler hołdował darwinizmowi społecznemu. Przejawiało się to właśnie w postrzeganiu klasy robotniczej jako warstwy społecznej górującej nad mieszczaństwem pod względem biologicznym.

BEZ BOLSZEWIZMU NIE BYŁOBY HOLOKAUSTU

„Socjalizm w mundurze" to jednak polemika nie tylko z lewicą. Zitelmann w tej książce podjął również dyskusję z Ernstem Noltem, niemieckim historykiem o konserwatywnych poglądach, którego stanowisko dotyczące genezy nazizmu wywołało niegdyś w Niemczech burzę. Nolte zastanawiał się nad tym, jakimi motywacjami kierowali się naziści. I konkludował, że polityczny projekt Hitlera stanowił odpowiedź na żywione przez Niemców poczucie zagrożenia ze strony Związku Sowieckiego oraz światowego ruchu komunistycznego, co miało oznaczać tyle, że nazizm był przede wszystkim antykomunizmem, choć takim, który przybrał ludobójczy charakter. Jednocześnie Nolte wskazywał, że naziści dążąc do unicestwienia Żydów, paradoksalnie wzorowali się na bolszewickim terrorze, czyli na metodach swoich politycznych i ideologicznych wrogów (niemieckie obozy koncentracyjne jak gułagi). Z wywodów tych zatem wynika, że nie doszłoby do Holokaustu, gdyby w Rosji bolszewicy nie przejęli władzy. Nolte więc współodpowiedzialnością za nazizm obarczył czynniki zewnętrzne, a w dodatku komunizm zrównał z politycznym projektem Hitlera. Dlatego został zaatakowany przez niemieckich lewicowych intelektualistów (do tego grona należał zmarły 14 marca 2026 r. znany filozof i socjolog Jürgen Habermas), którzy jego stanowisko zinterpretowali jako skandaliczne podważanie wyjątkowości Holokaustu i niedopuszczalną relatywizację nazizmu.

Ale w rozważaniach Noltego jest jeszcze coś, obok czego Zitelmann właściwie się przemknął. Nolte nie przemilczał znaczącego zaangażowania Żydów w światowy ruch komunistyczny, które poskutkowało tym, że w nazistowskim imaginarium utrwaliła się figura Żyda komunisty. Tu warto przywołać książkę amerykańskiego historyka Michaela Kellogga pt. „Rosyjskie źródła nazizmu". Można w niej przeczytać o wpływie, jaki w latach 20. na ruch nazistowski miały środowiska, do których należeli świadkowie przewrotu bolszewickiego, czyli biali emigranci z Rosji (także z terenów, które zostały od niej odłączone po obaleniu dynastii Romanowów) – tacy jak ideolog niemieckiego rasizmu, późniejszy prominentny funkcjonariusz III Rzeszy, Alfred Rosenberg. Był on Niemcem bałtyckim (urodził się w Rewlu przemianowanym w roku 1918 na Tallin). To właśnie w kręgach, o których mowa, Żydzi byli karykaturowani z jednej strony jako przebiegli plutokraci stojący na czele globalnej finansjery, z drugiej zaś – jako komunistyczni zbrodniarze dążący do zapanowania nad światem i wytępienia wszystkich nie-Żydów.

Dyktator III Rzeszy w zakresie technologii uprawiania polityki naśladował bolszewików, ale wyznaczał inne cele ideologiczne niż oni

REAKCYJNY MODERNIZM

Wracając do zastrzeżeń Zitelmanna wobec stanowiska Noltego, są one właściwie bezzasadne, bo co do sedna sprawy obydwaj historycy właściwie doszli do jednego wspólnego ważnego wniosku: Hitler w zakresie technologii uprawiania polityki naśladował bolszewików. I tu wracamy do głównej tezy „Socjalizmu w mundurze". Zdaniem autora Hitler był socjalistą, ale – jeśli tak można powiedzieć – alternatywnym (Zitelmann w odniesieniu do jego politycznego programu używa terminu „alternatywna rewolucja"). Optował za nowoczesnością, lecz podporządkowaną niemieckiemu egoizmowi narodowemu.

Czytając „Socjalizm w mundurze", trudno nie zadać pytania: Jakie były pozanaukowe intencje autora? Nasuwa się odpowiedź, że Zitelmannowi chodziło o udowodnienie, że nazizm nie był zjawiskiem prawicowym. Tyle że ów zabieg przywodzi na myśl to, co na przeciwległym względem konserwatystów biegunie politycznym i ideologicznym czyni część ludzi lewicy. Chodzi o serwowanie przekazu, że skoro w państwach komunistycznych nie udało się zrealizować obietnicy szczęścia, a w zamian tego rządziły w nich krwawe totalitarne reżimy, to oznacza to, że u władzy była tam prawica schowana za czerwoną fasadą.

Z kolei Zitelmann zasugerował, że skoro Hitler deklarował się jako socjalista – mniejsza o to, że narodowy – a III Rzesza, żeby podnieść poziom życia swoich obywateli, uprawiała wobec nich politykę interwencjonizmu państwowego, to z tego płynie wniosek, że nazizm nie był zjawiskiem prawicowym.

Prawda jednak jest dużo bardziej skomplikowana. Projekt polityczny Hitlera okazał się po prostu trzecią drogą między lewicą a prawicą. Wpisał się w wiele – zresztą różniących się między sobą – nurtów politycznych oraz kulturowych o ostrzu jednocześnie antyliberalnym i antykomunistycznym. Amerykański historyk Jeffrey Herf trafnie określił je jako „reakcyjny modernizm".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Z Jackiem Piekarą, autorem książki „Świat zaginiony. Wyprawa do wnętrza PRL”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Skansen ponurej przeszłości

FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Przez pryzmat nostalgii postrzega PRL wciąż niemało Polaków. Z jakich powodów?

JACEK PIEKARA: Przyczyn wymieniłbym kilka. Pierwsza kwestia: dla mojego pokolenia były to lata dzieciństwa i młodości, a więc pierwszych przyjaźni i miłości, imprez, poznawania świata. Zazwyczaj na ten okres patrzymy przez różowe okulary. Natomiast druga kwestia to obecne ocieplanie i infantylizacja wizerunku Polski Ludowej przez media. Patrzenie na nią poprzez jej irracjonalne funkcjonowanie albo sentymentalne zdarzenia czy też kuriozalne, unikatowe przedmioty. No i wtedy zapominamy, że PRL to była przecież groźna, antyludzka tyrania, która doprowadziła kraj do nędzy, zamordowała tysiące obywateli, setki tysięcy zmusiła do emigracji, a miliony pogrążyła w codziennej biedzie. W biedzie dla obecnego pokolenia niewyobrażalnej, w której wyzwaniem było pozyskanie najprostszego jedzenia takiego jak chleb, sery, wędliny, masło, względnie towarów codziennego użytku, np. kosmetycznych lub toaletowych. Jak sądzę, każda kobieta, która żyła w epoce PRL, pamięta świetnie, że kupienie podpasek graniczyło z cudem.

Oczywiście bywały w tamtym czasie okresy lepsze i gorsze pod względem zaspokajania potrzeb konsumentów, lecz generalnie życie w socjalistycznym państwie charakteryzowało się ciągłym brakiem towarów. Mądrze nazywa się to „gospodarką niedoboru”. Wyróżniała ją również fatalna jakość oferowanych wyrobów.

Odkurzanie absurdów tej epoki słusznie minionej może zmienić nasze postrzeganie PRL?

Samo ich przypominanie pewnie wpłynie na to w wymiarze niewielkim. Natomiast jeżeli ktoś uzmysłowi sobie, że z tymi absurdami trzeba było żyć na co dzień, bezustannie, to już może mocniej przemówić do wyobraźni. Ale PRL to przede wszystkim antywolnościowy terror. Odbierający ludziom zdrowie, życie i godność w wymiarze społecznym, indywidualnym, gospodarczym, politycznym i kulturowym. To gigantyczna zapaść cywilizacyjna dla kilku generacji. Europa Zachodnia pędziła pociągiem, my wlekliśmy się furmanką. Płacimy za tę stagnację do dzisiaj, ponieważ gdybyśmy przez niemal półwiecze, po drugiej wojnie światowej, rozwijali się w otwarciu na Zachód, niczym Austria lub Finlandia, to bylibyśmy teraz na nieporównanie wyższym stopniu rozwoju ekonomicznego i cywilizacyjnego.

Pański leksykon omawia rozmaite dziedziny egzystencji?

Tak, a warto podkreślić, że każda z nich w państwie socjalistycznym opierała się na zgniłych fundamentach, stanowiących stałą cechę systemu. Tymi zgniłymi fundamentami były: w sferze ekonomicznej upaństwowienie gospodarki oraz gospodarka centralnie planowana, a w politycznej i ideologicznej marksizm-leninizm, skutkujący całkowitym brakiem wolności. Przypomnijmy, że wszystkie wybory, od gminnych do parlamentarnych, stanowiły fikcję. A każda publikacja, występ artystyczny, program telewizyjny czy radiowy podlegały cenzurze prewencyjnej. Czyli przed upowszechnieniem musiały zostać zaakceptowane przez urzędnika nazy-

eprasa.pl 5b4182b876

wanego cenzorem. I bynajmniej nie była to formalność. Dla ludzi urodzonych już w III Rzeczypospolitej zapewne trudny do uwierzenia może być fakt, że zgodę na każdy wyjazd obywatela za granicę musiało wyrazić państwo, a po powrocie do kraju paszport należało bezzwłocznie zwrócić do biura podległego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

JACEK PIEKARA
„ŚWIAT ZAGINIONY. WYPRAWA DO WNĘTRZA PRL"
ZYSK I S-KA 2025

Swe hasła autor utkał wyłącznie z autopsji?

„Świat zaginiony" nie jest książką wspominkową, ale całościowym i uniwersalnym kompendium wiedzy o PRL. Zrozumiałe więc, że poruszałem w nim wiele tematów, których nie byłem świadkiem. Raczej trudno przypuszczać, patrząc na moją datę urodzenia, żebym znał Bieruta czy Gomułkę.

Wiele terminów ma chyba dla czytelników wychowanych już w III RP wymiar odkrywczy. Przykładowo: ZURT, PEWEX, PGR...

Oczywiście, pewne wtedy powszechnie znane pojęcia uległy dziś zapomnieniu. A przecież Pewex to sieć popularnych sklepów, które dawały klientom namiastkę życia na Zachodzie, gdyż sprzedawano w nich za dolary ekskluzywne wyroby z rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Pewexy wyraźnie ukazywały podział społeczeństwa na dwie grupy: dewizowców, mogących sobie pozwolić na towary w nich oferowane, i złotówkowców, którzy mogli jedynie na ów asortyment popatrzeć. Bo warto zaznaczyć, że np. amerykańskie dżinsy w Pewexie kosztowały w przeliczeniu tyle, ile wynosiła średnia miesięczna pensja. A PGR, czyli Państwowe Gospodarstwa Rolne? Przecież te przedsiębiorstwa zajmowały ok. 3–4 mln ha! To była – w szczycie ich popularności – niemal jedna piąta gruntów rolnych w Polsce! Mało osób dzisiaj pamięta, że upadek tego molocha, po 1990 r., stał się jedną z największych katastrof gospodarczych i społecznych we współczesnej historii Polski.

Dlaczego tom dotyczy głównie zagadnień polityczno-ekonomicznych?

Polityka i ekonomia są podstawą, którą trzeba opisać, aby reszta spraw stała się dla dzisiejszego czytelnika zrozumiała. Ale w pierwszym tomie opowiedziałem także o podróżach, motoryzacji, domach, mieszkaniach, jedzeniu i napojach.

Świat zaginiony zdominował przede wszystkim lęk, a nie śmiech...

Strach w PRL rozkładał się różnie – w zależności od czasów. PRL w ogóle nie była tworem jednorodnym. Możemy ją podzielić na cztery główne epoki. Bierutowska to oczywiście krwawy terror i setki tysięcy ofiar – zamordowanych, uwięzionych, wywiezionych do sowieckich łagrów. Gomułkowską uosabia ubóstwo, ale też pewna stabilizacja i powrót do względnej normalności po zamordyzmie. Dekada gierkowska – przez wizerunek której wiele osób ocenia cały PRL – stanowi złoty okres polskiego socjalizmu, kiedy wiele osób uwierzyło, że nawet w tym ustroju można zbudować państwo, gdzie będzie się żyło przyzwoicie. No i wreszcie lata stanu wojennego, opresyjna dyktatura Jaruzelskiego, kiedy system pokazał całkowitą nieudolność, która doprowadziła do zapaści gospodarki, oraz musiał znowu posiłkować się przemocą. Epoki te rozdzielały krótkie okresy tzw. odwilży, czyli poluzowania polityki reżimu. Pierwsza trwała od roku 1956 do 1957, druga od sierpnia 1980 do grudnia 1981. No a potem, po roku 1989, nastąpiła transformacja ustrojowa, która – jak piszę – rezonowała tym, że jedni Polacy wdarli się na listy milionerów, a inni spadli poniżej poziomu skrajnego ubóstwa. Tych drugich było oczywiście wielokroć więcej.

Zatem strach – w zależności, o której z tych epok mówimy – kształtował się na różnym poziomie. Za podobny czyn w latach stalinizmu groziła śmierć, a za Gierka utrata pracy. Zachodziła więc istotna różnica.

Co do śmiechu, to PRL nie bez powodu nazywano „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym". W dekadzie raju na kredyt towarzysza Sztygara swoboda dawana artystom kształtowała się na pewno na najwyższym poziomie spośród „krajów demokracji ludowej". Dotyczy to zarówno teatru, filmu, telewizji, jak i kabaretu. Co nie oznacza oczywiście, że w jakikolwiek sposób spełniała ona zarówno dzisiejsze kryteria wolności słowa, jak i normy obowiązujące wówczas na Zachodzie. To nadal był zamordyzm, chociaż łagodniejszy niż w innych dyktaturach. Jeśli chodzi o życie prywatne, to Polacy byli też dużo odważniejsi w wypowiedziach od obywateli innych krajów socjalistycznych. Powszechnie zauważali ten fenomen zarówno obserwatorzy z Zachodu, jak i mieszkańcy państw ściśle zależnych od Związku Sowieckiego.

Niedawna zmiana na stanowisku marszałka Sejmu może wywołać PRL-owskie resentymenty?

Włodzimierz Czarzasty jest postacią zarówno odrażającą, jak i pozbawioną charyzmy, więc chyba to nam nie grozi. Niemniej sam fakt, że ten dawny zagorzały komunista, towarzysz partyjny zbrodniarzy i morderców, został drugą osobą w państwie, jest skandaliczny.

Co będzie zawierała część druga publikacji?

Drugi tom, znacznie obszerniejszy od pierwszego, ukaże się na wiosnę 2026 r. Jest już zresztą gotowy, gdyż podział na dwie części wynikał jedynie z kwestii technicznych i marketingowych, a nie z oczekiwania na napisanie dalszego ciągu przez autora. W kontynuacji opowiadam o dzieciach, ich wychowaniu i zabawach, obyczajach oraz życiu codziennym, zjawiskach popkultury – w tym dużo o filmie i telewizji – również o sporcie. Bardzo obszerny rozdział poświęciłem PRL-owskiej technologii. To dla osób urodzonych w XXI w. jedna wielka zagadka. Pokaż im stary telefon z tarczą, a nie będą wiedziały, ani czemu ten przedmiot służy, ani jak go używać. Pokaż im zestaw: kaseta magnetofonowa plus ołówek, a nie będą miały pojęcia, co to oznacza. Przypomnienie naszego zacofania technicznego robi wrażenie piorunujące!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Piekara – autor ponad 30 książek, głównie z gatunku szeroko pojmowanej fantastyki, dziennikarz i redaktor prasowy oraz radiowy, publicysta społeczno-polityczny. Zajmował się również reżyserią dubbingów, tłumaczeniami i grami komputerowymi.

eprasa.pl 5b4182b876

Rafał Łatka

Przypuszczalnie w szczerość książki Romana K., niegdyś redaktora naczelnego „Faktów i Mitów", nie będą w stanie uwierzyć nawet najwięksi jego dawni zwolennicy. Wydaje się, że niżej stoją już tylko pamiętniki z więzienia Janusza Palikota

Proces Romana K. w Łodzi w sprawie podżegania do zabójstwa żony (2019)
FOT. ROMAN ZAWISTOWSKI/PAP

Powrót antyklerykała

Roman K. od przynajmniej połowy lat 90. należał do ścisłego grona najgłośniejszych wrogów Kościoła katolickiego w Polsce. Najbardziej „zasłynął" jako: twórca, wydawca i redaktor naczelny „Faktów i Mitów", pisma o jadowicie antykościelnym charakterze. To – jak się wydaje – zaskarbiło mu sympatię w wielu lewicowych środowiskach oraz stanowiło przepustkę do dalszej kariery – już politycznej w roli posła ugrupowania Ruch Palikota (został wybrany w 2011 r.). W ostatnich latach jednak dał się poznać nie tylko jako antyklerykał, lecz także jako więzień, który przesiedział w sumie 7,5 roku w łódzkich więzieniach. Po opuszczeniu przymusowej izolacji K. wydał pamiętniki: „Byłem więźniem …wyzwolił mnie On" (Poligraf 2025). W poniższym tekście omówię wątpliwą jakość wspomnianej publikacji, ale zanim do tego przejdę, należy krótko przypomnieć drogę życia byłego księdza i wskazać, że to nie pierwsze wspomnienia, które opublikował.

K. pochodzi z Koła, niewielkiego miasta w województwie wielkopolskim. Liceum ukończył w Kłodawie w 1986 r. Następnie wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku. Kształcił się tam w latach 1986–1989. Następnie miał roczną przerwę, po czym swoją edukację kontynuował już w łódzkim WSD, łącząc ją ze studiami teologicznymi w łódzkiej filii Akademii Teologii Katolickiej. W 1993 r. zakończył naukę, uzyskując dyplom magistra nauk teologicznych, w tym samym roku przyjął święcenia kapłańskie i został inkardynowany do diecezji łódzkiej. W kwietniu 1989 r. został pozyskany do współpracy agenturalnej z SB przez st. sierż. Henryka Marczewskiego, funkcjonariusza Wydziału IV Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Włocławku. Esbek nadał mu pseudonim Janusz. K. kilkukrotnie spotkał się ze swoim oficerem prowadzącym, a relacje z aparatem bezpieczeństwa zakończyły się wraz z oficjalnym końcem bezpieki (czyli w kwietniu 1989 r.).

WSPÓŁPRACA Z MORDERCĄ KS. POPIEŁUSZKI

Główna postać niniejszego tekstu duchownym była dość krótko, bo w rzeczywistości tylko w latach 1993–1996, gdy pełniła posługę wikariusza kolejno w trzech parafiach diecezji łódzkiej: w Ruścu, w Aleksandrowie Łódzkim i w Ozorkowie. Oficjalnie ze stanu kapłańskiego został wykluczony jednak dopiero w 2015 r. decyzją watykańskiej Kongregacji do spraw Duchowieństwa. Ta daleko idąca opieszałość struktur kościelnych może dziwić ze względu na jego drogę życiową oraz publiczną antykościelną działalność.

W 1997 r. K. został biznesmenem, założył przedsiębiorstwo, a następnie wydawnictwo Niniwa. Owocem działalności tej oficyny było m.in. drugie wydanie pamiętników ks. Leonarda Świderskiego „Oglądały oczy moje". Wspomniana książka była elementem akcji propagandowej komunistów wymierzonej w bp. Czesława Kaczmarka na początku lat 60. W tym samym 1997 r. K. opublikował także własne „wspomnienia" z seminarium we Włocławku i w Łodzi zatytułowane „Byłem księdzem" – wyszły pod pseudonimem Roman Jonasz. Zawierały one zmanipulowany obraz wewnętrznego funkcjonowania seminarium oraz przykłady licznych patologii wśród duchowieństwa

eprasa.pl 5b4182b876

(w większości nie sposób określić, na ile prawdziwe). Do sukcesu rynkowego książki wydanej w 1997 r. przyczyniły się sprawny styl narracji K. i sensacyjna treść obnażająca rzekomo mechanizmy władzy w Kościele. Kontynuacją tych działań było czasopismo „Fakty i Mity" wychodzące do 2020 r. W stylu nawiązywało do Urbanowego „Nie", a bohater tego tekstu w walce z Kościołem nie cofał się przed niczym, udostępnił swoje łamy m.in. Grzegorzowi Piotrowskiemu, mordercy ks. Jerzego Popiełuszki (który następnie też usilnie promował pismo) piszącemu pod pseudonimem Sławomir Janisz. „Fakty i Mity" wychodziły przez w sumie 20 lat, ostatni numer ukazał się 31 lipca 2020 r., w momencie gdy K. już przebywał w areszcie. W 2016 r. rozpoczęły się problemy prawne K. 15 lutego został aresztowany przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego. Postawiono mu zarzuty: podżegania do zabójstwa byłej żony, nielegalnego posiadania broni palnej, działania na szkodę spółki, którą kierował, i przywłaszczenia pieniędzy do niej należącej, wyłudzenia środków finansowych z ubezpieczenia oraz kradzieży dwóch samochodów. Sąd Okręgowy w Łodzi skazał go w sierpniu 2019 r. za wszystkie wymienione wyżej przestępstwa i orzekł karę łączną 10 lat bezwzględnego pozbawienia wolności. W 2022 r. został skazany ponownie, m.in. za posiadanie pornografii dziecięcej, ale rok później Sąd Apelacyjny uchylił wyrok w tej sprawie. Sam K. utrzymuje, że był niewinny w zakresie zarzucanych mu czynów (przyznał się częściowo na łamach książki tylko do tych najmniej znaczących i związanych z finansami).

Książka „Byłem więźniem" w tytule i stylu nawiązuje do wspomnień K. z okresu seminaryjnego. Były duchowny z pewnością chciałby też powtórzyć sukces wydawniczy tamtego przedsięwzięcia. Nic jednak nie wskazuje na to, by było to teraz możliwe. W 1997 r. trafił na dobry moment rozwoju antyklerykalizmu w Polsce – popularności rozmaitych inicjatyw antykościelnych. Teraz jego pamiętniki mogą zainteresować co najwyżej kurczące się grono działaczy ateistycznych oraz badaczy historii politycznej (by przekonać się, jak nisko mógł upaść były przecież parlamentarzysta). Wspomnienia K. mają nietypową konstrukcję. Składają się z pięciu rozdziałów, z których tylko jedna część, zatytułowana „Dziennik w kratkę", ma charakter realnych zapisków, prowadzonych z dnia na dzień. Część pierwsza pt. „Od milionera do zera" to sprawna autokreacja K., pokazująca go jako skutecznego biznesmena, który w zasadzie w pojedynkę zbudował imperium medialne. Były ksiądz prezentuje się tu jako prawdziwy człowiek sukcesu, któremu zaszkodziły jedynie zły wybór pierwszej żony oraz prokuratura Zbigniewa Ziobry, która miała się uwziąć na K. i doprowadzić do tego, by poszedł siedzieć do aresztu „za niewinność" czy niemal niewinność. Jako kuriozalny element tych rozważań można wskazać to, że by dodać sobie wiarygodności, K. przyznaje się do niektórych mniej istotnych przestępstw. Druga część książki, niezbyt zresztą obszerna, dotyczy szpitala więziennego. Możemy się z niej dowiedzieć, jak niski poziom usług zdrowotnych świadczony jest aresztantom, a medycy lekceważą potrzeby swoich pacjentów. Rozdział trzeci poświęcony został opisowi warunków aresztu i nosi tytuł „Smutna, smutna". Jego celem jest przekonanie czytelników, że więźniowie przebywają w nieludzkich niemal warunkach, co ma oczywiście wywołać współczucie u tych, którzy po książkę sięgnęli. Sympatię do K. ma także wzbudzić jego regularne psioczenie na ministra Ziobrę i jego współpracowników, którzy we wspomnieniach K. odgrywają w zasadzie rolę katów niewinnie zastraszanych więźniów.

W czwartej części będącej właściwym dziennikiem (choć trudno tu powiedzieć, na ile K. korygował i uzupełniał swoje zapiski) autokreacja idzie już na całego. Po pierwsze, były duchowny prezentuje się w niej jako człowiek pełen serca dla współwięźniów, zawsze ich wspomagający, nawet jeśli na to zupełnie nie zasługują. Po drugie, kreuje siebie na osobę dbającą o porządek we własnej celi i o własną stabilność emocjonalną – czemu mają służyć ćwiczenia oraz regularne lektury. Po trzecie, przedstawia się jako człowiek stale gnębiony, przez bezwzględnego prokuratura, który zakazuje mu nawet spotkań z rodziną. K. stale narzeka także na niski poziom opieki zdrowotnej oraz wyżywienie. Swoje rozterki i stany emocjonalne skrupulatnie opisuje, ewidentnie po to, żeby wzbudzić współczucie u czytelników.

ROZBUDOWANE EGO I AUTOKREACJA

Najbardziej kuriozalna jest jednak ostatnia część książki, zatytułowana „Dotyk Boga", w której K. pisze np. to: „Po tym wszystkim, czego doświadczyłem w swoim pięćdziesięciosiedmioletnim życiu, mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że nie wierzę w Boga. Ja WIEM, że On istnieje. Prowadzi mnie od czasu stworzenia mojej duszy. W tym wcieleniu – od łona matki, przez osobliwe koleje losu: seminarium duchowne, kapłaństwo zafałszowanej, katolickiej religii, apostazję, pisarstwo (książek i do gazet), posłowanie. I wreszcie przez więzienie. Po kilku cudach, które w tej książce opisałem, Stwórca dał mi również duchowe oświecenie. Objawienia. Pragnąłem ich od dzieciństwa". Ten rozdział ma jednakże, w moim przekonaniu, bardziej merkantylny wymiar, a mianowicie zapowiada część drugą wspomnień więziennych, w których K. będzie się chciał podzielić tym, jak doznał „objawienia", a że przy okazji trochę zarobi…

W zasadzie jedyny ciekawszy element wspomnień byłego księdza to charakterystyki współwięźniów, gdyż z nich można się dowiedzieć, jaki przekrój społeczny występuje wśród aresztantów łódzkiego więzienia. Zaletą książki K. jest też to, że otwarcie pisze, iż przebywa na tzw. ochronce, czyli wśród więźniów chronionych przez zakład karny, siedzących za przestępstwa pogardzane przez ogół izolowanych. Te nieliczne walory nie przesłaniają jednakże ogólnej oceny, że mamy do czynienia z dziełem wyjątkowo kuriozalnym, w którym rozbudowane ego autora przeplata się z daleko idącą autokreacją. Przypuszczalnie w szczerość książki „Byłem więźniem …wyzwolił mnie On" nie będą w stanie uwierzyć nawet najwięksi dawni zwolennicy Romana K. Wydaje się, że niżej stoją już tylko pamiętniki z więzienia Janusza Palikota.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i politologiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 5b4182b876

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zbrodnia w Ciecierzynie

Nawet po latach takie zbrodnie, popełniane przez komunistów z przyczyn ideologicznych, robią wrażenie. Obecne władze w Polsce nie chcą o tym na poważnie rozmawiać. Przeciwnie, skoro w rządzie jest formacja mająca ciągłość organizacyjną z PPR-PZPR-SLD itd., to nic nie mają do jej przeszłości i działalności. Komuniści podczas okupacji popełniali liczne zbrodnie, od współpracy z gestapo aż do odchyleń obyczajowych, ale po 1944 r. nie można było o tym mówić i pisać, żeby nie dawać argumentów „wrogom ludu" i Radiu Wolna Europa. W związku z tym pamięć zanikała, dokumenty były trzymane w ścisłym zamknięciu, a rządząca partia miała wiele innych problemów niż zajmowanie się swoją ohydną przeszłością.

Czy to znaczy, że powinniśmy na to wszystko spuścić zasłonę miłosierdzia i zapomnieć czy jednak mówić? Lepiej późno niż wcale. Do takich ideologiczno-seksualnych wynaturzeń dochodziło bardzo często, ale nieczęsto zachowały się dokładne opisy popełnianych zbrodni. Oto w terenowym raporcie AK z września 1943 r. jest wstrząsający opis jednej z nich. Doszło do niej w folwarku Ciecierzyn (powiat Częstochowa). Działała tam banda rabunkowa, uznawana za „oddział partyzancki" Gwardii Ludowej. Z raportu AK wynika, że bandyci robili napady na ludność, rabując bydło, żywność i pieniądze, nawet w biały dzień. Właściciel majątku, nie chcąc odpowiadać przed Niemcami, był zmuszony powiadomić żandarmerię o napadach. Doszło do starcia żandarmów (bardzo często byli to Ukraińcy w służbie niemieckiej) z bandą. Zginęło czterech żandarmów, a trzech zostało rannych. Bandyci ponieśli podobne straty: trzech zabitych i sześciu rannych. Bandyci w odwecie napadli na folwark i wymordowali rodzinę właściciela – zginęło pięć osób, szósta była ciężko ranna. Były to głównie kobiety i dziewczęta. Napastnicy, aby podkreślić swój ideologiczny rodowód, ciała ułożyli w swoisty symbol – w gwiazdę.

W historiografii komunistycznej w Polsce Ludowej rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Zrobiono z tego wydarzenia „akcję bojową", którą miał przeprowadzić oddział GL „im. Stefana Czarnieckiego" pod dowództwem Karola Brymory „Przemytnika". Pisali o niej historycy komunistyczni, pomijając całkowicie sprawę wymordowania mieszkańców majątku Ciecierzyn. Na przykład Ryszard Nazarewicz (vel Raps, podpułkownik UB) stwierdził, że „ludność wiejska witała partyzantów z radością". Jaka to mogła być radość w obliczu okrutnych egzekucji?

Bardzo wiele takich spraw, wraz z upływem czasu, poszło w zapomnienie, a herszt bandy wszedł do kanonu bohaterów GL-AL. Nie tak miało być… ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Konstytucja kwietniowa

Jednym z głównych celów obozu sanacyjnego realizowanym od przewrotu majowego była zmiana obowiązującej konstytucji. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem nie miał jednak w Sejmie wymaganej większości i z tego powodu Piłsudski nie interesował się specjalnie pracami nad ustawą zasadniczą. Projekt był gotowy pod koniec 1933 r. i w styczniu przedłożono Sejmowi tezy konstytucyjne sformułowane w formie niemal gotowych artykułów. Posłowie opozycji demonstracyjnie opuścili salę obrad, pozostawiając wyłącznie dwóch obserwatorów. Główny twórca nowej konstytucji, wicemarszałek Sejmu Stanisław Car, natychmiast wykorzystał sytuację. Ogłosił, że skoro opozycja nie jest zainteresowana pracami nad konstytucją, to tezy należy uznać za projekt ustawy zasadniczej i natychmiast poddać pod głosowanie. Kazimierz Świtalski (marszałek Sejmu) przychylił się do wniosku Cara i w ogromnym pośpiechu przeprowadzono wymagane głosowania (strona rządowa pod nieobecność opozycji dysponowała wymaganą większością). Powracającym na salę przeciwnikom pozostała tylko obserwacja entuzjazmu posłów obozu rządowego.

Nastroje niezwłocznie ochłodził Piłsudski, który podczas spotkania ze współpracownikami zachowywał daleko posuniętą rezerwę: „Komendanta ustosunkowanie się do tego faktu – wspominał Kazimierz Świtalski – nie było w zasadzie negatywne, natomiast od razu przyznał mi rację, że dla Ustawy Konstytucyjnej uchwalenie jej dowcipem i trikiem nie jest zdrowe i że wobec tego należy ten trik pokryć i zneutralizować przez szczegółową debatę i zmiany w Senacie […]. Potem poprawki należałoby przyjąć w Sejmie […]. Komendant dodał, że jedynym usprawiedliwieniem dla naszego triku jest fakt, że w ogóle konstytucje w historii nie były uchwalane przy zbytnim porządku pod względem formalnym".

Piłsudski miał rację, trudno chyba znaleźć w dziejach przełomową ustawę zasadniczą, uchwaloną zgodnie z obowiązującym prawem. Nawet Konstytucja 3 maja, z której tak dumni są obywatele naszego kraju, została ogłoszona „trikiem i dowcipem". Komendant chyba nigdy w całości nie przeczytał projektu nowej konstytucji. Powiedział kiedyś Waleremu Sławkowi, że nie będzie jej analizował, bo zapewne „zbyt dużo zmian musiałby wprowadzić". Dobrze wiedział, że każdą ustawę zasadniczą można bez końca poprawiać, a i tak zawsze pozostanie niezadowalająca. Podczas prac nad projektem dawał wskazówki, a o resztę mieli zadbać zaufani specjaliści: Sławek, Świtalski i Car. Ustawa zasadnicza została ostatecznie uchwalona 23 marca 1935 r., a miesiąc później podpisał ją prezydent Mościcki. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5b4182b876

Groźna zabawa zapałkami

Jacek Przybylski

Atak USA i Izraela na Iran doprowadził już do globalnego kryzysu na rynkach surowców energetycznych. Eskalacja konfliktu na Bliskim Wschodzie niesie ze sobą rosnące ryzyko nowej światowej klęski głodu, zagrożenie zamachami w Europie i w USA, a także kryzysu migracyjnego na niespotykaną dotąd skalę

FOT. TIKTOK.COM/@WHITEHOUSE

Zdecydowana większość Amerykanów jest przeciwna rozpętanej przez Trumpa i Netanjahu wojnie na Bliskim Wschodzie. W filmie opublikowanym przez Biały Dom na X postać z kreskówki mówi jednak: „Chcesz zobaczyć, jak to zrobię jeszcze raz?". Jednocześnie widz obserwuje odtajnione nagrania amerykańskich pocisków niszczących irańskie samoloty i wysadzających w powietrze ciężarówki wroga. Inny filmik przedstawia amerykański rzut w kręgle, podczas którego „strąceni" zostają ajatollah Chamenei i inni wysocy rangą urzędnicy irańskiego reżimu. W innym filmiku na oficjalnych kontach w serwisach społecznościowych cele wroga niszczone są do rytmu „Macareny". W prymitywnych filmikach wykorzystywane są też sceny ze znanych filmów, seriali czy kluczowe momenty rozgrywek sportowych. Takie trywializowanie wojny pokazuje niezwykle arogancki stosunek Trumpa i jego ekipy do konfliktu zbrojnego, w którym zginęło już ponad tysiąc osób. I daje nikłą nadzieję na to, że w Białym Domu jest ktoś na tyle dorosły, aby móc przewidzieć konsekwencje tej wojny.

EWAKUACJA URZĘDNIKÓW

Fort Lesley J. McNair. Ogromna, amerykańska baza wojskowa – znana od dekad jako Washington Arsenal – została w okolicach Waszyngtonu założona już w roku 1791 i ma kluczowe znaczenie dla obrony stolicy Stanów Zjednoczonych. Jej dogodne położenie w okolicy Białego Domu sprawiło, że właśnie w tej bazie zamieszkali w ostatnich tygodniach członkowie administracji Donalda Trumpa, którzy nie czują się już bezpieczni w swoich prywatnych, cywilnych rezydencjach.

Schronienie w tej bazie wojskowej znaleźli m.in. prokurator generalna USA Pam Bondi, szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio oraz minister obrony Stanów Zjednoczonych Pete Hegseth. Ten ostatni jako szef Pentagonu w połowie marca publicznie buńczucznie deklarował, że w wojnie z Iranem siły amerykańskie nie będą brały jeńców ani okazywały żadnej litości dla wroga, co zostało odebrane przez ekspertów jako bezprecedensowy apel do żołnierzy o popełnianie zbrodni wojennych oraz łamanie prawa międzynarodowego, w tym konwencji haskiej.

W ubiegłym tygodniu okazało się, że nawet w bazie wojskowej członkowie gabinetu prezydenta Donalda Trumpa nie mogą czuć się bezpieczni. Jak poinformował dziennik „The Washington Post", nad waszyngtońską bazą wojskową wykryto bowiem wiele niezidentyfikowanych dronów. Błyskawicznie podjęto decyzję o wzmocnieniu środków bezpieczeństwa i zwołano naradę w Białym Domu. Urzędnicy współodpowiedzialni za inwazję na Iran coraz bardziej boją się, że krwawa zemsta może ich dosięgnąć nawet na amerykańskiej ziemi.

Amerykańskie władze obawiają się nie tylko ataku na bazę w Waszyngtonie. W ubiegłym tygodniu Stany Zjednoczone oficjalnie ogłosiły globalny alert bezpieczeństwa dla zagranicznych placówek dyplomatycznych i z powodu wzrostu potencjalnego zagrożenia podniosły stan gotowości w kilku bazach wojskowych na terenie USA. Wśród nich znalazły się Joint Base McGuire-Dix-Lakehurst w New

eprasa.pl 5b4182b876

Jersey oraz baza sił powietrznych MacDill na Florydzie. Obie podniosły stopień alarmowy do poziomu Charlie – to trzeci w czterostopniowej skali poziom, który oznacza, że dowódca ma informacje wywiadowcze, które wskazują na realne zagrożenie lub ryzyko ataku. Wyżej jest już tylko poziom Delta.

W Joint Base McGuire-Dix-Lakehurs – jedynej należącej do Departamentu Obrony bazie obsługującej jednocześnie trzy rodzaje sił zbrojnych – w poniedziałek niepokój wzbudziły m.in. podejrzane przesyłki (które po sprawdzeniu okazały się niegroźne). Według „The Washington Post" również w środę doszło w niej do „nieokreślonego incydentu" związanego z bezpieczeństwem. Z tego powodu wydano rozkaz rozkaz ukrycia się/pozostania wewnątrz budynków.

W irańskich atakach odwetowych – kontynuowanych mimo deklaracji Donalda Trumpa o zniszczeniu 100 proc. możliwości wojskowych Iranu – trafionych zostało już wiele amerykańskich placówek dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie. Departament Stanu USA polecił wszystkim szefom placówek przeprowadzenie przeglądu pod kątem bezpieczeństwa, wskazując w uzasadnieniu na „rozwijającą się sytuację na Bliskim Wschodzie oraz możliwość jej rozlania się na inne regiony".

ZAGROŻENIE ZAMACHAMI

– Należy się spodziewać ataków cybernetycznych i terrorystycznych, zarówno tutaj, jak i na całym świecie – ostrzegał już na początku marca Jamie Dimon, prezes jednego z największych amerykańskich banków JP Morgan Chase, dodając, że celem mogą stać się również banki. Jamie Dimon jest zwolennikiem ataku na Iran. Swoje ostrzeżenie formułował zaś, gdy można jeszcze było mieć jakąś nadzieję, że Amerykanie mają jakikolwiek pomysł na szybkie zakończenie tego konfliktu. W ubiegłym tygodniu nawet niedawni sojusznicy Donalda Trumpa zaczęli jawnie wyrażać obawy, że nieprzemyślana i nielegalna wojna, którą Stany Zjednoczone toczą obecnie z Iranem, wymyka się spod kontroli amerykańskiego prezydenta.

Świadczy o tym dymisja dyrektora Narodowego Centrum Antyterrorystycznego. Joe Kent zrezygnował, oskarżając Biały Dom o uleganie izraelskiej presji. „Nie mogę z czystym sumieniem popierać trwającej wojny w Iranie. Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla naszego kraju i jest oczywiste, że rozpoczęliśmy tę wojnę pod naciskiem Izraela i jego potężnego amerykańskiego lobby" – napisał Kent na X. Wcześniej Trumpa za toczącą się wojnę skrytykował także „car od kryptowalut i AI" David Sacks, który ostrzegł, że jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, to Izrael może użyć broni jądrowej.

Eksperci ostrzegają także przed konsekwencjami toczącej się wojny. W Stanach Zjednoczonych już 1 marca, dzień po inwazji na Iran, uzbrojony mężczyzna w bluzie z napisem „własność Allaha" otworzył ogień w ogródku piwnym w centrum miasta Austin w Teksasie, zabijając trzy osoby i raniąc kilkanaście. Napastnik został zastrzelony przez amerykańskie służby, a FBI atak ten zakwalifikowała jako potencjalny akt terroru.

REKLAMA

eprasa.pl 5b4182b876

12 marca 41-letni Ayman Mohamad Ghazali – naturalizowany obywatel USA, pochodzący z Libanu, który według mediów miał stracić co najmniej czworo krewnych w izraelskich atakach w Libanie – próbował dokonać zamachu na synagogę Temple Israel w West Bloomfield niedaleko Detroit. Ghazali wjechał wypełnionym materiałami wybuchowymi samochodem w budynek synagogi. Uzbrojony w karabin napastnik został zastrzelony przez ochronę synagogi. W ataku lekko ranny został jedynie pracownik ochrony.

Nie próżnują również sympatyzujący z Iranem cyberbojownicy. 12 marca grupa hakerów powiązana z Iranem wzięła na siebie odpowiedzialność za cyberatak na amerykańską firmę Stryker, wyjaśniając, że był to odwet za zbrodnię wojenną popełnioną przez amerykańskich wojskowych podczas ataku na szkołę podstawową w Iranie, w którym zginęło ponad 100 osób, głównie niepełnoletnich dziewczynek. Zdaniem ekspertów zagrożone podobnymi atakami są elementy infrastruktury krytycznej oraz systemów komunikacyjnych USA, Izraela i ich sojuszników. Zwłaszcza że Iran może liczyć na przychylność wielu osób w Meksyku, krajach Ameryki Środkowej i Południowej etc. Zdaniem analityków wywiadu Irańczycy mogą próbować dokonać zemsty na Amerykanach, używając do ataku relatywnie prostych do skonstruowania dronów wystrzelonych np. z Meksyku lub z pokładu statku płynącego w pobliżu amerykańskiego wybrzeża. Federalne Biuro Śledcze (FBI) już pod koniec lutego ostrzegło kalifornijskie służby przed potencjalnym zagrożeniem atakami z użyciem dronów startujących z niezidentyfikowanej jednostki pływającej u wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Specjaliści do spraw bezpieczeństwa obawiają się również, że władze w Teheranie mogą aktywować uśpionych agentów do przeprowadzania ataków odwetowych na terenie USA. I nie tylko tam.

Amerykańsko-izraelska inwazja na Iran budzi też obawy o nowe zamachy na terenie Starego Kontynentu. 5 marca Europol ostrzegł, że obecny kryzys zwiększa dla UE ryzyko terroryzmu, brutalnego ekstremizmu, cyberataków i działań sieci powiązanych z Iranem oraz tzw. osią oporu.

Kilka krajów UE, w tym Francja i Niemcy, zaostrzyło środki bezpieczeństwa, ponieważ władze obawiają się potencjalnych ataków związanych z irańskimi sieciami lub podmiotami ekstremistycznymi. Przedstawiciele szwedzkiej służby bezpieczeństwa (SAPO) ostrzegli, że eskalacja napięć wokół Iranu może zwiększyć ryzyko ataków na cele izraelskie oraz amerykańskie w Europie. Norweski kontrwywiad PST zwrócił z kolei uwagę na rosnące ryzyko wykorzystywania przez wrogie państwa lokalnych grup przestępczych do przeprowadzania zamachów na terenie państw skandynawskich.

Norweska policja zatrzymała już w połowie marca trzech podejrzanych – mniej więcej 20-letnich obywateli Norwegii z irackimi korzeniami – w związku z zamachem bombowym na ambasadę USA w Oslo, do którego doszło w nocy z 7 na 8 marca. W ataku nikt nie został ranny, a sam budynek amerykańskiej placówki został uszkodzony w niewielkim stopniu. Z kolei 10 marca w pobliżu konsulatu USA w Toronto dwóch mężczyzn wysiadło z pojazdu, oddało kilka strzałów w kierunku budynku z broni krótkiej, po czym wróciło do auta i odjechało.

WIDMO KLĘSKI GŁODU

Gdy w ubiegłym tygodniu Izrael zbombardował South Pars, jedno z największych pól gazowych na świecie, Iran w odwecie zaatakował w rejonie Ras Laffan, uderzając w najważniejszą instalację gazową Kataru. Ta eskalacja sprawiła, że wojna weszła w nową fazę. Odłamki irańskiego pocisku spadły również w okolicach terminala gazowego Habshan w emiracie Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Efekt? Ceny gazu w Europie wzrosły w czwartek o ponad 20 proc., a cena jednej baryłki ropy ruszyła w kierunku 110 dol. za baryłkę.

Jeżeli cena ropy utrzyma się na poziomie powyżej 100 dol. za baryłkę, to mocno zdrożeją koszty transportu i nawozów, a za nimi ceny żywności. – Światu grozić będzie nowa klęska głodu – ostrzegł w marcu w Genewie zastępca dyrektora wykonawczego Światowego Programu Żywnościowego (WFP) Carl Skau. Innymi słowy: z powodu wywołanej przez USA i Izrael wojny dotkniętych dotkliwym głodem może zostać dodatkowo 45 mln osób. Jeżeli ten czarny scenariusz się zrealizuje, to liczba osób głodujących na świecie przekroczy poziom 318 mln i będzie to rekordowy wynik w historii globu. Według prognoz WFP najbardziej narażone na klęskę głodu są kraje Afryki Subsaharyjskiej i Azji.

Globalna klęska głodu w połączeniu z gorącą wojną w Zatoce Perskiej może jeszcze bardziej napędzić kryzys migracyjny w Europie i sprawić, że na Stary Kontynent będzie próbowało dostać się najwięcej migrantów od czasu wybuchu wojny domowej w Syrii. Wówczas z rejonu walk uciekło ponad 6 mln osób, co wywołało najgroźniejszy kryzys migracyjny od wielu dekad. Iran liczy bowiem ok. 90 mln mieszkańców – czterokrotnie więcej niż Syria przed wybuchem wojny domowej. Tym razem również uchodźców byłoby zatem wielokrotnie więcej.

Ewentualny wybuch wojny domowej w Iranie w połączeniu z coraz gorętszym konfliktem na linii Afganistan – Pakistan mógłby się bowiem przerodzić w jeden z największych kryzysów migracyjnych we współczesnej historii świata. W samym Iranie przed atakiem 28 lutego schronienie znalazło od 2 do 3 mln Afgańczyków. Konsekwencje napaści dokonanej przez Izrael i Stany Zjednoczone poniosą kraje sąsiadujące z Iranem (głównie Turcja) oraz państwa Unii Europejskiej (albo finansując pomoc dla uchodźców przebywających w tureckich obozach, albo angażując się w rozwiązanie problemu uchodźczego na terenie samej Europy).

Nawet jeśli ten czarny scenariusz się nie zrealizuje, to wyższa inflacja i duża niepewność na światowych rynkach krótkoterminowo doprowadziły już do osłabienia globalnej koniunktury gospodarczej, a długoterminowo niosą za sobą ryzyko niebezpiecznej stagflacji. Wzrost bezrobocia wśród Europejczyków w połączeniu z masami migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu może prowadzić do groźnych napięć.

I chociaż trudno uznać, że obserwujemy już trzecią wojnę światową, to coraz gorętszy konflikt w Zatoce Perskiej ma potencjał do tego, aby przemienić się w wojnę regionalną, a być może nawet w globalne starcie mocarstw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

FOT. CYBERROBOOD/X.COM

PRZYGODA Z ROBOTEM

Czy można na ulicy spotkać robota? Tak. Przekonała się o tym w Makau 70-letnia kobieta. Szła ulicą i w pewnym momencie się zatrzymała, żeby spojrzeć na swój telefon komórkowy. Wtedy obok niej stanęła maszyna humanoidalna. Kobieta się wystraszyła. Chciała od siebie robota odpędzić. On jednak stał nadal i próbował się nawet z nią pojednać. Ostatecznie interweniować musiała policja. Jak się okazało, maszyna znalazła się na ulicy w ramach kampanii promocyjnej ośrodka edukacyjnego.

MRÓWKI AFRODYZJAKI

Na lotnisku w Nairobi został zatrzymany Chińczyk, który próbował przemycić z Kenii do swojego kraju ponad 2,2 tys. mrówek w probówkach i rolkach papieru toaletowego. Spośród nich prawie 2 tys. stanowiły mrówki żniwiarki. Dorastają one do ok. 2 cm. W Chinach są uważane za przysmak. Są także spożywane jako afrodyzjaki. Szacuje się, że na czarnym rynku pojedynczy owad może kosztować nawet 100 euro. W Kenii za nielegalny handel mrówkami grozi kara do siedmiu lat więzienia.

SEKS ZA NOMINACJĘ

W Zambii pojawiły się oskarżenia o seksualne wykorzystywanie kobiet w polityce. Głośno się na ten temat zrobiło w związku ze zbliżającymi się w tym kraju wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi. Mainga Kabika, wysoka rangą urzędniczka w biurze prezydenta Zambii, zaalarmowała, że kobietom ubiegającym się o start w wyborach partie polityczne stawiają warunek: świadczenie usług seksualnych w zamian za nominację.

„SOS" Z LODU

Dwoje niemieckich turystów udało się na wyprawę narciarską po zamarzniętym akwenie. Utknęli na dryfującej krze w Zatoce Botnickiej między Finlandią a Szwecją. Kiedy lód zaczął pękać, ich sprzęt wpadł do wody. Nie mieli żadnego nadajnika, więc ułożyli z bloków lodu olbrzymi napis: „SOS". Ratownicy dostrzegli komunikat i po ok. pięciu godzinach kobietę i mężczyznę uratowali. Oboje byli wychłodzeni. Poza tym nie odnieśli żadnych obrażeń.

STARANOWANY SALON

Gang włamywaczy staranował samochodem wejście do salonu motocykli i w kilka minut ukradł dziewięć dwukołowych pojazdów o wartości ok. 80 tys. funtów. Do włamania doszło w angielskim mieście Keighley. Przestępcy do budynku wjechali Nissanem Juke, po czym motocykle załadowali do dużego wozu – vana typu Luton. Policja przybyła na miejsce zdarzenia, gdy sprawców już tam nie było. Zabezpieczono ślady i wszczęto śledztwo. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polacy chcą inwestować w AI

Sieć supermarketów Walmart uzyskała w marcu nowe patenty na narzędzia pozwalające sztucznej inteligencji (AI) kształtować politykę cenową, sprawniej zarządzać towarami czy polepszać doświadczenia zakupowe klientów.

Tacy giganci jak Alphabet, Meta Platforms, Microsoft czy Amazon tylko w roku 2026 chcą zainwestować w infrastrukturę centrów danych AI prawie 700 mld dol. Według prognoz Gartnera światowe wydatki na sztuczną inteligencję – infrastrukturę, usługi, cyberbezpieczeństwo etc. – mają wynieść aż 2,52 bln (!) dol. w 2026 r. (wzrost o 44 proc. w ujęciu rocznym).

Jak w tym wyścigu wypada Europa? I czy AI w czymś już rzeczywiście pomaga? Opublikowane w ubiegłym tygodniu badanie Revolut Business Report – przeprowadzone na próbie 1350 członków zarządów firm w dziewięciu krajach Europy, w tym 150 członków zarządów z Polski – pokazuje, że w Europie wyróżniły się firmy z Polski oraz Francji. Zarządzający z tych krajów pilnie zwiększają bowiem wydatki na AI (w Polsce to 21 proc. firm, a we Francji 30 proc.). Najmniej inwestycjami w sztuczną inteligencję interesują się Brytyjczycy (8 proc.).

Polscy zarządzający są wdzięczni AI za szybsze wprowadzanie nowych produktów na rynek (25 proc.) i za redukcję kosztów operacyjnych (19 proc.). Obie te korzyści w raporcie Revolut Polacy wskazywali najczęściej w Europie. Różnice w podejściu do AI w różnych krajach są wyraźne. Można więc mieć nadzieję, że polskie firmy wykorzystają technologiczny przełom, aby uzyskać przewagę nad konkurencją. I że Polska będzie jeszcze szybciej skracać dystans do najbogatszych gospodarek Europy.

eprasa.pl 5b4182b876

Nauka ofiarą wojny

Maciej Pieczyński

Sprawa rosyjskiego archeologa, aresztowanego w Polsce na życzenie Kijowa, jest kolejnym przykładem nadgorliwości Warszawy (naukowiec podróżował swobodnie po Europie), która próbuje być często bardziej ukraińska niż Ukraina. A poza wszystkim zamykanie naukowca za jego pracę naukową budzi poważne zastrzeżenia

Aleksander Butiagin został aresztowany w Polsce na życzenie Kijowa

FOT. MARCIN OBARA/PAP

„Płacę gorzką cenę za wiarę w Europę" – żalił się Aleksander Butiagin w wywiadzie udzielonym niedawno zza krat rosyjskiej redakcji BBC. Przypomnijmy: rosyjski archeolog od trzech miesięcy przebywa w warszawskim areszcie śledczym. W ubiegłym tygodniu Sąd Okręgowy w Warszawie zgodził się na jego ekstradycję na Ukrainę, gdzie wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne. Nad Dnieprem Butiaginowi grozi odsiadka za to, że brał udział w wykopaliskach na terenie Krymu po aneksji półwyspu.

Rozmowa z BBC to pierwsza publiczna wypowiedź naukowca, odkąd został aresztowany przez ABW. Butiagin przyznał, że nie obawiał się podróżować po Europie, mimo iż wiedział, że na Ukrainie grozi mu więzienie. Zanim został zatrzymany, już po inwazji rosyjskiej zdążył zwiedzić niemal cały Stary Kontynent. Swoje wykłady wygłaszał na Cyprze, w Niderlandach i w Czechach. Ponadto przesiadał się na lotniskach we Francji i w Danii. Nawet ci komentatorzy, którzy bronią archeologa i uważają, że jest prześladowany, dziwią się, iż tak swobodnie podróżował on po krajach Unii Europejskiej i publicznie dzielił się planami swoich wystąpień, ryzykując zatrzymanie. „Uważałem, że tradycje wolności, rozumu i humanizmu nie pozwolą Europie przyłączyć się do polowania na naukowców […]. Niestety, okazało się, że nie wszystkie kraje Europy zdecydowały się nie polować na naukowców" – przekonywał rosyjski archeolog w rozmowie z brytyjskim, rosyjskojęzycznym medium.

NIECHCIANI NAUKOWCY

Butiagin zawiódł się nie tylko na Europie, lecz także na Ukrainie. A dokładniej: rozczarowała go postawa tamtejszych naukowców. Jego zdaniem to właśnie ukraińscy badacze stoją za represjami wymierzonymi w ich rosyjskich kolegów po fachu. Butiagin twierdzi, że powiedzieli mu o tym sami Ukraińcy. „Dowiedziałem się od kijowskich znajomych, że prześladowania rosyjskich archeologów są sprawką grupy inicjatywnej z [kijowskiego] Instytutu Archeologii. Rozumiem gniew ukraińskich archeologów wobec Rosji, ale jest mi bardzo przykro, że koledzy, do których zawsze żywiłem szacunek, tak postąpili" – mówił.

Butiagin nie jest jedynym naukowcem, podejrzewanym przez Kijów o udział w nielegalnych wykopaliskach na terenie Krymu. W prowadzonej przez Główny Zarząd Wywiadu (HUR) bazie danych „Wojna i sankcje", w rozdziale „złodzieje dziedzictwa", znaleźli się uczeni z Muzeum Puszkinowskiego, Instytutu Archeologii Rosyjskiej Akademii Nauk i innych rosyjskich instytucji. Redakcja BBC skonfrontowała rewelacje Butiagina z „kijowskimi znajomymi", na których się powołał. Ewelina Krawczenko z Instytutu Archeologii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy twierdzi, że w jej jednostce nie ma żadnej grupy inicjatywnej. Przyznaje jednak, że wraz z innymi działaczami kultury próbuje wpływać na politykę Rosji na Krymie, aby minimalizować szkody wyrządzone dziedzictwu kulturowemu. Celem jest doprowadzenie do sytuacji, w której uczeni rosyjscy nie będą brali udziału w wykopaliskach na terenach okupowanych w ramach państwowych

eprasa.pl 5b4182b876

projektów. „W żaden sposób nie odnoszę się do samego Butiagina. Jest on obywatelem Federacji Rosyjskiej, który pracował na Krymie. Uważam, że jego praca w negatywny sposób wpłynęła na kulturowe dziedzictwo półwyspu" – stwierdziła Krawczenko w rozmowie z BBC.

Z jednej strony można zrozumieć, że Ukraińcy bezkompromisowo odnoszą się do wszelkiego rodzaju aktywności rosyjskiej na okupowanym Krymie, uważając taką aktywność za legitymizację aneksji. Z drugiej strony przypadek Butiagina nie jest oczywisty. Nie chodzi przecież o propagandystę wojennego, tylko o naukowca, który po prostu wykonywał swoją pracę. Butiagin jest archeologiem i historykiem sztuki, cenionym badaczem antyku. Pracował w petersburskim Ermitażu – jednym z największych muzeów na świecie. Co bardzo istotne, Butiagin w wykopaliskach na Krymie brał udział już od 1999 r. Kierował ekspedycją archeologiczną, wysłaną przez Ermitaż na miejsce starożytnego miasta Mirmekion nad Cieśniną Kerczeńską. Rzecz jasna, za zgodą strony ukraińskiej. Wtedy władzom w Kijowie nie przeszkadzali rosyjscy naukowcy.

Sytuacja zmieniła się w 2014 r. Ermitaż zwrócił się wówczas o zgodę na kontynuację badań do rosyjskich urzędników, tym samym przykładając rękę do legitymizacji nielegalnej aneksji półwyspu. „Po 2014 r. administracja muzeum nie mogła i nie wysłałaby wniosku do Kijowa, ponieważ oficjalna komunikacja między Ukrainą a Rosją stała się niemożliwa. Nie miałem żadnego wpływu na tę sytuację […]. Administracja muzeum wysyłała wniosek do Moskwy, kierując się tym, kto faktycznie w danym momencie kontrolował stanowisko archeologiczne" – wyjaśniał Butiagin w rozmowie z mediami.

Archeolog kontynuował więc badania, ponieważ uważał to za konieczne i „właściwe w odniesieniu do danego zabytku". W jego ocenie „zmiany polityczne" nie powinny wpływać na pracę naukowców. Jak zauważył, „praca naukowa, w tym naukowe wykopaliska archeologiczne, prowadzona jest nie w interesie konkretnego państwa czy grupy politycznej, lecz w interesie światowej nauki". Butiagin nie zgadza się z zarzutem, jakoby jego działalność przynosiła szkody ukraińskiemu dziedzictwu narodowemu. Jak przekonuje, jest dokładnie odwrotnie. Gdyby z powodu sytuacji politycznej zaprzestano wykopalisk, stanowisko archeologiczne uległoby zniszczeniu wskutek naturalnych procesów czy aktów wandalizmu. Paradoksalnie więc działalność rosyjskich naukowców (tego wprost Butiagin nie mówi, ale pośrednio wynika to z jego wypowiedzi) przynosi korzyści Ukrainie – jeśli kiedyś Kijów odzyska półwysep, to wraz z jego zabytkami, zachowanymi dzięki staraniom Rosjan.

Archeolog zaprzecza też formułowanym przez prasę nad Dnieprem oskarżeniom, zgodnie z którymi on i jego współpracownicy wywożą dobra kultury z Krymu do Rosji. „To nieprawda. Wszystkie pozostają tam […]. Są w Kerczu, w muzeum, na terytorium, które Ukraina uważa za swoje, dlatego ich los będzie nadal związany z losem Krymu" – twierdzi Butiagin.

Argumentacja badacza brzmi przekonująco. Nic nie wiadomo o jego poglądach na wojnę rosyjsko-ukraińską. Publicznie nigdy wyraźnie ani nie poparł, ani nie potępił agresji swojego kraju na kraj, w którym pracował. Można oczywiście zastanawiać się nad stroną etyczną takiej postawy. Ale Butiagin jest naukowcem, a nie politykiem czy publicystą. Z jednej strony nie brzmi przekonująco, gdy mówi, że badania prowadzi w interesie nauki, a nie w interesie tego czy innego państwa. W praktyce przecież pracuje dla Rosji i tylko dzięki jej władzom może prowadzić badania na terenie anektowanego półwyspu. Odkrycia, których dokonują, pójdą na konto rosyjskiej, a nie ukraińskiej nauki. Z drugiej strony generalnie trudno się nie zgodzić z jego punktem widzenia. Rzeczywiście co do zasady nauka nie powinna mieć narodowości. Wątpliwe etycznie jest nie tylko prowadzenie badań na okupowanych terenach, lecz także karanie naukowca tylko za to, że kontynuuje swoje badania.

POLSKA NADGORLIWOŚĆ

Sprawa Butiagina ilustruje dwa bardzo ważne dylematy, które w Polsce i na Zachodzie pojawiły się po 24 lutego 2022 r. Pierwszy problem można streścić w pytaniu: „Czy zawsze musimy robić to, o co prosi nas Kijów?". Powinno to być retoryczne pytanie, niestety polskie władze ze śmiertelną powagą nazbyt często udzielają na nie twierdzącej odpowiedzi. Niewątpliwie w interesie Polski leży utrzymanie niepodległości Ukrainy i osłabienie imperialnej potęgi Rosji. Ale do realizacji tych celów nie jest konieczne ustępowanie naszym południowo-wschodnim sąsiadom we wszystkim. Szczególnie że, jak już wielokrotnie się przekonaliśmy, na wzajemność liczyć nie możemy. Wykopaliska Butiagina na okupowanym Krymie mogą przeszkadzać Ukraińcom, ale Polakom powinny być obojętne.

W tej sprawie po raz kolejny niepotrzebnie wyszliśmy przed szereg. Archeolog swobodnie podróżował po Europie i tylko Warszawa wykazała się nadgorliwością, którą Kijów doceniłby jedynie wówczas, gdybyśmy zażądali czegoś w zamian (czego najprawdopodobniej nie zrobiliśmy; jak zwykle zresztą). Przy czym nie chodzi tutaj w ogóle o strach przed ewentualnym odwetem ze strony Rosji. Chodzi o to, że jak już zatrzymywać rosyjskiego naukowca, to nie za darmo.

Zdaniem Butiagina to ukraińscy badacze stoją za represjami wymierzonymi w ich rosyjskich kolegów po fachu

Drugi dylemat brzmi następująco: „Czy za inwazję Rosji powinniśmy karać przedstawicieli rosyjskiej nauki i kultury, o ile nie występują jednoznacznie przeciwko wojnie?". Można zrozumieć Ukraińców, którzy usuwają z przestrzeni publicznej wszystko, co jest związane z państwem agresorem. Ale czy Polska aby na pewno musi iść tym śladem? Kultura rosyjska nie jest wolna od propagandy i często wysługuje się władzy, ale nie zawsze. Wciąż jest popularna na całym świecie, w tym na samej Ukrainie. Wojna się skończy, a kultura i nauka rosyjska będą nadal funkcjonować. Cancelowanie nic tu nie da. A poza wszystkim prześladowanie naukowców za to, że są naukowcami, może odnieść skutek odwrotny od zamierzonego. Butiagin stanie się męczennikiem, Moskwa zaś zyska kolejny argument na rzecz tezy, że prawdziwa cenzura i dyktatura to są na Ukrainie i na Zachodzie. Po co nam to?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b4182b876

Z prof. Markiem Alcocerem, badaczem meksykańskich organizacji przestępczych z University of California Merced rozmawia Piotr Włoczyk

Fentanylowa sieć „El Mencho"

FOT. PIOTR WŁOCZYK

PIOTR WŁOCZYK: Co zmieni śmierć „El Mencho", szefa brutalnego Cártel de Jalisco Nueva Generación (CJNG)?

PROF. MARCO ALCOCER: Raczej minimalnie wpłynie na przemyt narkotyków do USA, a w drugą stronę – broni do Meksyku. Można też zakładać, że nie zmniejszy zasadniczo wysokiego poziomu przemocy ze strony karteli. Na pewno akcja przeciw „El Mencho" wpłynie na sytuację tam, gdzie kartel działa; teraz ta organizacja musi się poukładać na nowo i będzie dochodziło do sporów w jej gronie, które pociągną za sobą wzrost przemocy. Z pewnością też rywale tego kartelu będą się starali wykorzystać chwilę słabości przeciwnika.

To wciąż świeża sprawa i musimy poczekać na efekty. Ale często jest tak, że duża grupa się rozpada i w to miejsce powstają mniejsze, ale wciąż silne i bardzo agresywne grupy. W krótkim okresie wiąże się to zazwyczaj ze zwiększeniem poziomu przemocy. To może być koniec hegemonii tego potężnego kartelu, co może oznaczać jeszcze bardziej rozdrobniony krajobraz przestępczy, trudniejszy do kontrolowania przez władze.

Dlaczego więc władze meksykańskie wyeliminowały „El Mencho", skoro wiadomo było, że dojdzie do krwawej zemsty, a efekt całej akcji może być nieprzewidywalny?

Czasem w takich sytuacjach chodzi o to, by rząd mógł pokazać skuteczność. Myślę, że kluczowa była presja USA. Prezydent Meksyku mogła chcieć ugłaskać prezydenta Trumpa, który rozważał wysłanie za południową granicę wojsk USA, dronów, a nawet rakiet, by walczyć z kartelami przemycającymi do Ameryki narkotyki, w tym przede wszystkim fentanyl. A takie groźby ze strony Waszyngtonu to jest coś, czego Meksykanie, którzy cenią sobie suwerenność, bardzo nie chcą. Meksykańskie władze na pewno wiedziały, że skutkiem wyeliminowania „El Mencho" będzie wzrost przemocy w krótkim okresie, jednak wygląda na to, że ważniejsze okazały się tu inne, polityczne argumenty.

Kiedy CJNG stało się najsilniejszym, najbrutalniejszym meksykańskim kartelem?

Bardzo długo najsilniejszy w Meksyku był kartel Sinaloa. Wraz z fragmentacją takich grup jak Tijuana, Juárez, Golfo CJNG był jedynym kartelem, który mógł się równać z Sinaloa. Gdy Sinaloa pogrążyła się w wojnie domowej, CJNG stał się najsilniejszym kartelem w Meksyku, co stało się ewidentne ok. dwóch lat temu. CJNG, który nie działa w całym kraju, ale w wielu jego regionach, utrzymuje też kontakty biznesowe z grupami w Kolumbii czy w Ekwadorze. Mimo że CJNG nie może się równać pod względem siły z meksykańskim państwem, to bardzo trudno go namierzyć i zlikwidować. Szczególnie w swoim „rodzimym" stanie Jalisco kartel wytworzył bardzo silne połączenia z lokalnymi politykami, policją, a nawet z wojskiem.

Kilka lat temu w Internecie głośno było o filmiku przedstawiającym istny konwój pojazdów opancerzonych i stojących przy nich ludziach uzbrojonych i umundurowanych jak żołnierze. Nie wszyscy zwrócili uwagę, że ci „żołnierze" krzyczeli: „Niech żyje »El Mencho!«".

To było tzw. Grupo Elite, którą stworzył „El Mencho". To nie są przemytnicy czy zwykli „mięśniacy" kartelu CJNG. Ta grupa specjalna została powołana do toczenia wojen z innymi kartelami, ale również, jeżeli zajdzie taka potrzeba, z policją. Jej członkowie dysponują „domowej roboty" wozami pancernymi, mają sprzęt wojskowy, karabiny wielkokalibrowe. Chociaż Grupo Elite jest największa i najbardziej profesjonalna, to jest to tylko jedna z kilku milicji, które stworzył „El Mencho". Od mniej więcej 30 lat widzimy militaryzację karteli, ale w ostatnich latach ten problem stał się naprawdę palący – te siły są coraz bardziej profesjonalne.

Sytuacja w stanie Jalisco to doskonały przykład utkania prawdziwej pajęczej sieci. Jeżeli jesteś politykiem, który chce realnie walczyć z kartelem, to musisz się liczyć z tym, że nie pożyjesz zbyt długo...

Faktycznie, sytuacja stała się niebezpieczna dla polityków, ale przecież nie zawsze tak było. Pierwsze morderstwo polityka przez zorganizowaną grupę przestępczą miało w Meksyku miejsce w 2002 r. Fala przemocy wzrastała, aż w latach 2008 i 2009 wystrzeliła. Kartele mają dzięki sprzedaży narkotyków tyle pieniędzy, by tkać swoje sieci, że gdy zabezpieczono dokumenty „El Mencho", okazało się, jak rozbudowany był jego system opłacania lokalnej policji. Kartele mają oprócz „marchewki" także „kij", czyli przykładowo właśnie Grupo Elite, które wykonują wyroki na politykach, policjantach, aktywistach i dziennikarzach, którzy są niepokorni. Meksyk to jedno z najbardziej niebezpiecznych państw dla dziennikarzy i aktywistów.

Dlatego dla zwykłych Meksykanów kartele stały się od początku tego stulecia bardzo widocznym problemem. Wcześniej tak nie było – działalność tych grup, a nawet porachunki między nimi nie wpływały tak bardzo na życie. Teraz fala przemocy jest już bardzo rozlana.

W wyborach w Meksyku w 2024 r. zginęło kilkudziesięciu kandydatów, co przypisuje się kartelom.

Nie wszystkie te zabójstwa były dokonane przez kartele, ale większość na pewno. Część kandydatów obiecuje

eprasa.pl 5b4182b876

zwalczanie przestępczości i dlatego jest brana na celownik, ale nie we wszystkich przypadkach tak jest. Niektórzy politycy giną, ponieważ współpracują z wrogim kartelem… To samo tyczy się zabójstw niektórych policjantów. Często rozmawiamy o wolności prasy i dziennikarzach, którzy giną, bo opisują zbrodnie karteli. Ale niekiedy zdarza się też tak, że meksykański dziennikarz jest zabijany, ponieważ robi coś wbrew umowie z kartelem...

Dlaczego meksykańskie kartele są tak brutalne? Dlaczego obcinają ofiarom głowy, rozczłonkowują ich ciała, zwieszają okaleczone ofiary na linach z mostów?

To bardzo skomplikowany problem. Za czasów dyktatury Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej w Meksyku [PRI rządziła do 2000 r. – przyp. red.] władze chroniły – za pieniądze – dużych przemytników, przez co stali się oni w końcu „korporacjami”. Wcześniej był to „lokalny biznes” i umowa była jasna: nie rozrabiajcie za bardzo na własnym podwórku, sprzedawajcie narkotyki w USA, ale nie w Meksyku. Wraz z demokratyzacją upadł stary system ochrony ze strony państwa i kartele poszły ze sobą na wojnę. I wtedy pojawiała się militaryzacja tych organizacji. Wraz z ustanowieniem wolnego handlu między USA a Meksykiem łatwiej było przemycać narkotyki, co bardzo wzbogacało te organizacje. W drugą stronę płynęła natomiast ogromna rzeka broni, tak łatwo dostępnej w USA, co uzbroiło kartele po zęby.

Wreszcie w grudniu 2006 r. zaczęła się w Meksyku wojna z narkotykami. Wtedy wszystko dosłownie eksplodowało. Rząd walczył z kartelami, kartele biły się między sobą, dochodziło do podziałów tych grup i właściwie każdy walczył z każdym. Taka sytuacja trwa już niemal 20 lat. Obecny rząd niewiele zmienił tę politykę. Wciąż opiera się ona głównie na tym, że z kartelami walczą wojsko i Gwardia Narodowa.

Ale przecież prezydent Andrés Manuel López Obrador (znany jako AMLO, rządzący Meksykiem w latach 2018–2024) promował politykę „Abrazos, no balazos” („Uściski, nie pociski”), co miało oznaczać, że państwo będzie się starało prowadzić bardziej liberalną politykę w tym zakresie.

Jego retoryka była inna niż poprzedników, ale praktyka pozostała z grubsza taka sama. To właśnie za rządu AMLO doszło do słynnej historii z 2019 r. – pojmania syna „El Chapo”, który jeszcze tego samego dnia został wypuszczony przez władze po tym, gdy kartel zaczął siać zniszczenie.

Pod rządami AMLO zredukowane zostały inwestycje w lokalną policję, która odgrywa bardzo ważną rolę w zwalczaniu karteli. Prezydent promujący hasło „Abrazos, no balazos” polegał mimo wszystko bardziej na wojsku, zmilitaryzował policję federalną i stworzył Gwardię Narodową. A nie ulega wątpliwości, że wojsku, które nie jest przecież szkolone do prowadzenia operacji typowo policyjnych, nie najlepiej wychodzi zwalczanie karteli.

Czy Claudia Sheinbaum, obecna prezydent Meksyku, utrzymuje ten kurs? Po fali przemocy, która przelała się po zabiciu „El Mencho”, wielu komentatorów zastanawiało się, czy uda się zapewnić w Meksyku spokój w czasie zbliżającego się wielkimi krokami mundialu...

Gdy Claudia Sheinbaum była burmistrzem stolicy Meksyku, poprawiła znacznie bezpieczeństwo w tym gigantycznym mieście poprzez inwestowanie w lokalną policję. Nie w wojsko, Gwardię Narodową, tylko właśnie w lokalną policję. Sheinbaum była wskazana przez poprzednika na stanowisko prezydenta kraju, więc siłą rzeczy raczej kontynuuje jego politykę. Problemem jest to, że w meksykańskich warunkach istnieje mało zachęt politycznych, by inwestować w policję, wzmacniać prokuraturę i sądy, ponieważ prezydent nie podlega reelekcji. Premiowane są rezultaty, które można szybko osiągnąć, a zbudowanie sprawnej policji to przecież długie lata. Dlatego najłatwiej przekazać walkę z kartelami wojsku, co jednak często prowadzi do eskalacji przemocy.

Od 2006 r. wskaźnik zabójstw wystrzelił w Meksyku w górę z 10 na 100 tys. mieszkańców do ok. 30 na 100 tys. mieszkańców w czasie pandemii (w Polsce wynosi on poniżej 1). Czy „wojna z narkotykami”, rozpoczęta 20 lat temu przez prezydenta Felipe Calderóna, uważana jest dziś w Meksyku za błąd?

Opozycja uważa to za wielki błąd i wskazuje bardzo negatywne konsekwencje. Ale nawet zwolennicy tego prezydenta, jego współpracownicy przyznają, że ta polityka przyniosła pewne złe konsekwencje. Wciąż jej bronią, twierdząc, że kartele stawały się coraz bardziej agresywne i coś trzeba było zrobić, ale jednak trzeba podkreślić, że nawet ludzie, którzy odpowiadają za wprowadzanie w życie tej polityki, dostrzegają jej negatywne skutki. Opinia publiczna też widzi ogromną zmianę na niekorzyść. Przed 2006 r. znajdowano ciała poza miastami, a teraz strzelaniny mają miejsca w centrum miast.

Badania pokazują jasno, jak rozpoczęcie rozprawy z kartelami doprowadziło do wzrostu przemocy. Dane z innych państw pokazują, że tak gwałtowne akcje wojskowe zazwyczaj tylko zwiększają przemoc – to samo zaobserwowaliśmy w Brazylii czy w Ekwadorze. Dwadzieścia lat temu ten związek mógł być jeszcze nie do końca oczywisty, ale dziś politycy powinni już rozumieć, do czego może prowadzić taka polityka.

Rząd jednak musi coś robić, bo opinia publiczna wymaga przecież konkretnych działań. Co byłoby najlepszym sposobem na zduszenie karteli?

Wyeliminowanie tych grup jest praktycznie niemożliwe, jeżeli w grę wchodzą tak ogromne pieniądze z przemytu narkotyków. Praktyka pokazuje, że najważniejsze są sprawna lokalna policja, a także zapewnienie prokuratorom i sędziom ochrony przed zemstą przestępców. Poza tym zamiast uderzać w głowy karteli, jak „El Mencho” czy „El Chapo”, co prowadzi do krwawych odwetów i fragmentacji karteli, przez co sytuacja staje się jeszcze bardziej skomplikowana, lepiej byłoby zwalczać średnie szczeble tych organizacji, które są odpowiedzialne za ich finanse. Trzeba odbierać kartelom pieniądze i odcinać banki od współpracy z nimi. Celem powinno być takie osłabienie tych organizacji, by znów były strukturami czysto lokalnymi. I to byłby raczej plan maksimum, bo nie da się ich zupełnie wyeliminować.

Dobrze byłoby też coś zrobić z popytem na narkotyki w USA, ale to też jest niezwykle trudne zagadnienie. Inna sprawa, że kartele dochody czerpią już nie tylko z narkotyków. Zajmują się też choćby wymuszeniami, kradzieżą ropy naftowej, a także zainwestowały mnóstwo pieniędzy w przemysł turystyczny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Marco Alcocer
jest wykładowcą University of California Merced, znawcą meksykańskiej przestępczości zorganizowanej.

eprasa.pl 5b4182b876

Z Witoldem Modzelewskim, profesorem nauk prawnych Uniwersytetu Warszawskiego, doradcą podatkowym
rozmawia Jakub Wozinski

Jedyną szansą jest KSeF uchylić lub zlekceważyć

FOT. ADOBE STOCK

JAKUB WOZINSKI: Czy pana zdaniem KSeF to jest w ogóle autentycznie polski pomysł? Czy to jest coś, co zrodziło się w polskim ośrodku władzy, czy raczej należałoby przypisać jego powstanie jakiemuś zewnętrznemu czynnikowi?

WITOLD MODZELEWSKI: Po pierwsze, ciągle nie znamy faktycznych autorów tego pomysłu. Formalnie jest to jeszcze inicjatywa Polskiego Ładu, bo ustawa w tym względzie została przyjęta 16 czerwca 2023 r. A obecna władza, bez mrugnięcia okiem, kontynuuje to „dzieło". Czyli zauważmy: nie ma tu żadnej sprzeczności między tak twardo zwalczającymi się na co dzień obozami politycznymi.

Analiza tych pomysłów w szczegółach (ja jestem od badania szczegółów) świadczy o tym, że napisali to ludzie, którzy mają bardzo blade pojęcie o Polsce. Musiał to stworzyć ktoś, kto na pewno nie zna polskiego systemu fakturowania. Ten ktoś, przykładowo, chyba nie wiedział o tym, że faktura podatku VAT jest powszechnie od ponad 30 lat używana jako jedyny dokument handlowy. Sama faktura VAT z definicji dokumentem handlowym nie jest, gdyż służy do rozliczenia VAT. To jest po prostu zwyczaj, który ukształtował się w Polsce, a faktura VAT, która jest wysyłana nie kontrahentowi, tylko do władzy (KSeF) celem jej publicznego zarejestrowania, na dokument handlowy w ogóle się nie nadaje. Jeśli więc mówimy o proweniencji tego pomysłu, to najważniejsze jest to, że nikt się do niego nie przyznaje. Poza tym świat ekspertów podatkowych jest trochę mały: ja jestem już wiekowym człowiekiem i ludzi, którzy się znają na podatkach, raczej znam. I okazuje się, że nikt się do tego nie przyznaje. A poza tym zresztą jest to zrobione tak niezdarnie, jeśli idzie o wiedzę podatkową, że świadczy to o tym, że to jest „import zewnętrzny".

Jeśli projekt KSeF został przygotowany przez kogoś, kto nie zna polskich realiów, to o czym to świadczy? Czy jest to jakaś wrzutka pisana na zamówienie jakiegoś konkretnego kraju czy raczej stanowi to realizację globalistycznej agendy?

Zauważmy, że nie ma tu żadnego międzynarodowego standardu. System fakturowania handlowego ukształtowany jest przez tradycję prawa cywilnego. I te systemy są tak od siebie odległe, że o żadnym „standardzie międzynarodo-

eprasa.pl 5b4182b876

wym” czy „europejskim” w ogóle nie można mówić, ponieważ prawo cywilne nie podlega i nigdy nie będzie podlegało harmonizacji. Czyli na pewno nie chodzi o żadną standaryzację, bo jej po prostu nigdy nie będzie.

Warto sobie w tym momencie zadać pytanie, czy decydenci mieli świadomość tego, co właściwie robią. Moim zdaniem należy raczej postawić tezę, że nikt tego nie czytał. Zresztą nie tylko tego, bo to samo dotyczy przepisów podatkowych od co najmniej kilkunastu lat, a na pewno od momentu wstąpienia do Unii Europejskiej. W Polsce nie ma żadnej „polityki podatkowej”, nie ma żadnych rządowych centrów, które byłyby mocne w dopracowywaniu szczegółów, a te szczegóły są często bardzo ważne. Nikt projektów nie zna, nikt ich nie czyta ze zrozumieniem. Mamy do czynienia z nawarstwieniem zmian: powstają kolejne „nowelizacje nowelizacji”. Zapewne mamy do czynienia z lobbingiem, ponieważ KSeF na pewno nie powstał w interesie publicznym: destrukcja systemu fakturowania na pewno nie jest w tym interesie. Mówienie, że dzięki temu coś się „zautomatyzuje” i „poprawi”, to są po prostu brednie. A jak sam pan widzi: pomimo katastrofy tego pierwszego miesiąca funkcjonowania KSeF dyskusja na ten temat już ucichła. Jest to jakiś splot atrofii naszej klasy politycznej, która się w ogóle podatkami nie interesuje, nie ma na ten temat wiedzy i nie chce jej mieć. A z drugiej strony chyba dostrzeżono, że można do tego systemu „wrzucić”, co się chce, oraz są jakieś kanały wpływu na władzę i można takie „kalafiory” uchwalić jako przepisy prawa. Poza tym od ponad 30 lat dobrze wiemy, że najlepiej zarabia się na destrukcji. Najpierw trzeba dokonać przy pomocy działań publicznych destrukcji jakiejś branży czy jakiegoś obszaru działalności, „plan Balcerowicza” był tego najlepszym przykładem: potem się zarabia na wyprzedażach i na naprawianiu tej destrukcji.

Kto więc zarobi na KSeF? Część podmiotów na rynku, szczególnie tych dużych, przyjęła zmiany wręcz tak w podskokach. Czy możemy domniemywać, że duże podmioty mogły częściowo stać za lobbingiem, o którym pan wspominał?

Po pierwsze, obraz tego, jak sobie dały radę te duże firmy (są ich ponad 4 tys.), jest obrazem rozpaczy. Wiele zostało zrobione, nazwijmy to, po „partyzancku”. Nie wdrożono nawet tego, co zapisano w ustawach. Te 4 tys. podmiotów, które należy podejrzewać, że jednak miały wpływ na ten cały pomysł, same sobie zaszkodziły. Pytanie brzmi: Dlaczego chciały się w ogóle w to angażować? W tym systemie liczba faktur, które trzeba będzie wystawić, zwiększy się nawet wielokrotnie. Do tej pory wszystko było prostsze, a teraz jest podwójny system fakturowania: odrębnie do KSeF, odrębnie do kontrahenta. W dodatku każdy robi to inaczej. Faktura wysłana do KSeF nie rodzi obowiązku zapłaty, co jest elementarzem prawa, czyli ci, którzy to wdrażają KSeF, działają na własną niekorzyść. Jest to jakiś fenomen: dlaczego ci, którzy za tym być może lobbowali, działali na własną niekorzyść, bo ten system jest po prostu dla nich niebezpieczny. KSeF zagraża płatnościom w obrocie gospodarczym, a faktura VAT wysłana do KSeF żadnych skutków cywilnoprawnych nie

REKLAMA

eprasa.pl 5b4182b876

wywołuje. Twierdzi się nawet, że jakieś oprogramowanie będzie powodowało automatyczne księgowanie faktur z KSeF, ale przecież będzie jakiś odsetek faktur fałszywych, więc jeżeli ktoś zaksięguje fałszywą fakturę, to popełnia czyn zabroniony zagrożony karą. Zadał pan pytanie o to, czy ktoś to wszystko zrobił świadomie, a może warto rozważyć, czy mamy jednak do czynienia z jakimś szkodliwym szaleństwem, w którym uczestniczymy oraz uczestniczą ci, którzy za to zapłacą. Na pewno nie ma tu żadnej korzyści publicznej: nawet ci, którzy to wszystko w pocie czoła wdrażają, nie odniosą z tego żadnych korzyści.

Pomimo tego pojawiają się wciąż głosy ze strony przedstawicieli poprzedniej władzy, która, jak wiadomo, zainicjowała prace nad KSeF, że ten system mimo wszystko jest dobry, tylko trzeba jeszcze poczekać i go ulepszyć. Czy może jednak jest coś dobrego w KSeF?

Błędnych z istoty pomysłów nie da się naprawić. O czym my w ogóle mówimy? Jeżeli dotychczas trzeba było wystawić np. 10 faktur, a teraz przez bzdurne zasady tego systemu trzeba wystawać ich 10 razy więcej, to czy jest to dobry czy zły pomysł?

A czy do obecnej władzy, która już się zmierzyła z pierwszymi tygodniami tego chaosu, zaczęło już docierać, że to może po prostu nie wypalić? Przecież liczba trudności prawnych, organizacyjnych czy administracyjnych jest naprawdę spora. To może się przełożyć wprost na wzrost niezadowolenia społecznego.

Ja przed tym wszystkim publicznie ostrzegałem już dawno temu. Wiem, że oficjele czasami czytają to, co piszę, ale być może nie wiedzieli, o co tu chodzi. Choć może ja jestem trochę naiwny, gdy sądzę, że ktoś chciał zrobić coś dobrego, tylko brakuje mu wiedzy.

Ale jednak na sondaże politycy muszą się oglądać. Pamiętajmy, jaką cenę zapłaciła poprzednia władza za Polski Ład.

To jest przecież Polski Ład, to jest jego ostatni akord. Ja już o tym pisałem: obecna ekipa zatraciła chyba instynkt polityczny, skoro robi coś tak niepopularnego. Te zmiany dotyczą aż 4 mln podmiotów. To nie tylko przedsiębiorcy, to są także drobni konsumenci wynajmujący lokale: Czy wyobraża pan sobie, że emerytka, która wynajmuje garaż, będzie komuś od 1 kwietnia wystawiać fakturę ustrukturyzowaną? O czym my mówimy?

Zarówno ta, jak i tamta władza nie mają żadnego zaplecza merytorycznego w tej dziedzinie. Współpracowałem z pięcioma rządami – od „czarnej prawicy” do „czerwonej lewicy” (lata 1992–1996), więc wiem, że to nie zawsze tak było. Kiedyś władza miała zaplecze intelektualne, takich „cadyków”, którzy działali w dobrej wierze i potrafili podpowiedzieć władzy: nie rób tego albo zrób to, ze względu na twój interes polityczny.

Gdy wprowadzano w życie Polski Ład, już w lutym 2022 r. odbywały się „pogrzebowe” narady i zastanawiano się, czym przykryć tę katastrofę. Wtedy już siedem dni po wejściu w życie przepisów trzeba je było zmieniać. Ale później Putin rozwiązał cały ten problem, bo przyszedł 24 lutego 2022 r.

Co więc stanie się dalej z KSeF?

Jedyną naszą szansą jest to uchylić lub zlekceważyć. Przecież nawet te 4 tys. dużych firm w większości lub dużej części nie wdrożyły tych nakazów. Prawdopodobieństwo, że miliony podmiotów, w tym zwolnionych od VAT, będą w stanie wystawiać faktury ustrukturyzowane, jest niewielkie. Warto zadać pytanie: Ile osób odebrało faktury z KSeF przez ten pierwszy miesiąc? Niszczy się najważniejszy „papier wartościowy”, którym jest w Polsce faktura VAT.

W ostatnich latach w różnych rankingach ukazujących konkurencyjność podatkową Polska zajmuje regularnie coraz niższe miejsce. Jakich zmian podatkowych wymagałaby Polska dzisiaj najpilniej cztery lata po wprowadzeniu Polskiego Ładu?

Żeby rządzić podatkami, po pierwsze trzeba się na tym znać. To jest wiedza, której nie można sprowadzić do „matriksa” w rodzaju: „obniżyć”, „uprościć” i „podatek liniowy”. Jesteśmy członkiem Unii Europejskiej, która nigdy nie obiecała nikomu prostoty systemu, nigdy nie obiecała stabilizacji, nigdy nie obiecała nawet – co jest bardzo ważne – jego przewidywalności. Ona tylko obiecała, że będzie podobnie w poszczególnych krajach; podobnie, nie tak samo. To jest najbardziej skomplikowana organizacja podatkowa w historii świata. To jest 27 państw, które mają 27 systemów podatkowych bez żadnych granic między tymi państwami, czyli jest to kwadratura koła. Główną przyczyną stanu atrofii systemu podatkowego jest Unia Europejska i jej obiektywna nieumiejętność rozwiązania „kwadratury koła”, czyli stworzenia zharmonizowanego prawa podatkowego. To, co jest nam narzucane przez Unię Europejską, jest jeszcze gorsze, jeśli chodzi zarówno o jakość legislacyjną, jak i merytoryczną, niż np. Polski Ład.

Po drugie, władza wymaga kompetencji, czyli politycy powinni mieć zaplecze intelektualne, które będzie działać w interesie publicznym, opracuje projekty, a tego zaplecza nie ma. Już od kilkunastu lat rządzą tzw. ludzie z rynku, czyli ludzie, którzy sądzą, że się znają na podatkach. Wcześniej zajmowali się np. optymalizacją podatkową, nagle się z nich robi urzędników i oni zaczynają tworzyć prawo podatkowe. Jeśli więc chcemy naprawy, to powinniśmy najpierw stworzyć kompetentny zespół fachowców, działający w interesie publicznym i służący rządom niezależnie od ich politycznego kolorytu.

Czy zmianami podatkowymi można próbować powstrzymać naszą katastrofę demograficzną?

Porusza pan oczywiście zasadniczy problem, który – podobnie jak podatki – niestety nikogo nie obchodzi. Ten temat jest tak ważny, że wszystkie inne kwestie schodzą przy nim na dalszy plan. Jest to jednak zjawisko „pozapodatkowe”: to nie podatki są tu problemem. Przyczyna katastrofy leży zupełnie gdzie indziej, ludzie powinni po prostu na nowo odnaleźć szczęście i sens w posiadaniu dzieci. Jeszcze w moim pokoleniu tak właśnie definiowało się szczęście w życiu. Jeśli zmieni się wreszcie postawa społeczeństwa, to podatkowych metod wsparcia dzietności jest bardzo dużo. Można w parę dni przygotować odpowiednie projekty. Trzeba mieć również na to środki publiczne: dużo pieniędzy. Takie „reformy” jak KSeF tylko dezorganizują system podatkowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Witold Modzelewski
– profesor nauk prawnych Uniwersytetu Warszawskiego, doradca podatkowy.

eprasa.pl 5b4182b876

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tajna pomoc Polaków?

Dlaczego rząd nie ogłasza, ile Polacy – podatnicy łożą na Polaków – biorców wszelakiej pomocy?

Czy tylko dlatego, że wtedy wyszłoby na jaw, że to nie on – rząd – pomaga Polakom, lecz Polakom tym pomagają właśnie Polacy – podatnicy? A rząd, zanim wyśle komukolwiek „800+", „babciowe", 13. i 14. emerytury itd., itp., to najpierw pieniądze na te zasiłki i emerytury musi odebrać podatnikom? A może, starając się fakt ów trzymać w tajemnicy, a co najmniej go nie eksponować, rząd stara się podtrzymywać ekonomiczny analfabetyzm Polaków, czyli robić wszystko, żeby zbyt wielu Polaków nie połapało się, że wyższe albo nowe zasiłki, które otrzymują, pochodzą w części także z wyższych podatków, które sami płacą? Bo przecież taka wiedza, gdyby stała się wśród podatników powszechna, mogłaby sprawić, że odwróciliby się oni od polityków żyjących z rozdawania im ich własnych pieniędzy, a wśród pchających się do władzy takich jest przecież dziś zdecydowana większość.

Tak czy siak, owa wiedza o tym, ile przeciętny Polak wydaje na utrzymanie swego państwa i na rozdawnicze wrzutki polityków, nazywane przez nich eufemistycznie transferami socjalnymi, pozostaje tajemnicą dla większości Polaków, mimo że od kilkunastu lat FOR – Forum Obywatelskiego Rozwoju – publikuje coroczny „Rachunek od państwa", w którym te ponoszone przez podatników wydatki zestawia. FOR publikuje, a rządowi i opozycyjni politycy (z nielicznymi wyjątkami) starają się tę wiedzę – jak tylko mocno potrafią – przemilczeć.

No i np. z „Rachunku od państwa" za rok 2024 wynika, że „wydatki publiczne w przeliczeniu na jednego mieszkańca (niezależnie od wieku) wyniosły blisko 48 tys. zł". W szczegółach wygląda to tak: każdy statystyczny mieszkaniec Polski w tymże 2024 r. wydał (wszystkie dane w zaokrągleniu) na emerytury (w tym 13. i 14.) i renty – 15,5 tys. zł, na pomoc społeczną – 6,8 tys. zł (w tym 1705 zł na zasiłki „800+"), na zdrowie – 5,8 tys. zł, na wojsko, bezpieczeństwo wewnętrzne i sprawiedliwość – 5,2 tys. zł, na edukację i naukę – 5 tys. zł, na infrastrukturę – 3,3 tys. zł, na administrację – 2,5 tys. zł, na odsetki od długu Polski – 2,1 tys. zł, na środowisko – 1,5 tys. zł, na składkę do UE – 870 zł, na rolnictwo – 630 zł, na kulturę – 620 zł, na sport – ponad 350 zł, na inne, pozostałe cele – w sumie nieco ponad 1 tys. zł.

No i aby sprostać tym rosnącym wydatkom, w latach 2015–2024 rządy podniosły Polakom obciążenia podatkowo-składkowe aż o ogromne 4,4 proc. PKB. I nie było to trudne, bo nie spotkało się z żadnym oporem. Swoją drogą, ciekawe, wyborcy których partii są – jak by to powiedzieć – najbardziej ciemni jak tabaka w rogu? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dezercja z obozu Trumpa

Sama rezygnacja w ubiegłym tygodniu Joe Kenta, szefa Narodowego Centrum Zwalczania Terroryzmu USA, byłaby już wystarczająco mocnym sygnałem sprzeciwu wobec wciągnięcia Ameryki w wojnę na Bliskim Wschodzie. Do tego jednak doszedł krok jak dotąd bezprecedensowy: Kent opublikował na X (na firmowym papierze zresztą) otwarty list do prezydenta Trumpa, w którym przedstawia powody swojej decyzji. Stwierdza, że Iran nie stanowił dla USA bezpośredniego zagrożenia. Przypomina, że mocno wspierał kierunek, w którym Trump obiecywał prowadzić Stany Zjednoczone, stroniąc od długotrwałych konfliktów, i oznajmia, że wojna z Iranem jest tego zaprzeczeniem. Jako winowajcę podjęcia operacji wskazuje lobby izraelskie w USA.

Zdarzenia takie jak rezygnacja Kenta stawiają w coraz trudniejszej sytuacji przedstawicieli obozu trumpistów

Nawet jeżeli za stanowiskiem Kenta stoi jego osobista trauma – w 2019 r. stracił żonę, kryptologa w marynarce wojennej, w samobójczym ataku zamachowca w Syrii – to w niczym nie umniejsza to wagi jego słów. Można powiedzieć, że zadziałała tu zasada „uderz w stół, a nożyce się odezwą", gdy przedstawiciele izraelskiego lobby zaczęli całkowicie bezpodstawnie przypisywać jego stanowisku antysemityzm.

Znamienna była reakcja Tulsi Gabbard, szefowej wywiadu narodowego USA, formalnie zwierzchniczki Kenta, która opublikowała zastanawiająco neutralne w swoim wyrazie oświadczenie. Gabbard stwierdziła w nim, że prezydent zapoznał się z przedstawionymi mu materiałami i uznał, iż zagrożenie ze strony Iranu jest realne i bezpośrednie, a decyzja o podjęciu działań należy przecież do niego. Jest to opis sytuacji, a nie zajęcie przez Gabbard stanowiska – o swojej ocenie w oświadczeniu nie wspomniała.

Zdarzenia takie jak rezygnacja Kenta stawiają w Polsce w coraz trudniejszej sytuacji przedstawicieli obozu bezkrytycznych trumpistów na czele z PiS. Polacy odczuwają skutki wojny w portfelach coraz mocniej, a tymczasem polscy wielbiciele MAGA trwają w stuporze, niezdolni do choćby najłagodniejszej krytyki działań Trumpa. Paradoks polega na tym, że obóz MAGA w USA przeżywa właśnie swój największy kryzys, a wśród krytyków wojny są już tak znaczące jego nazwiska jak Joe Rogan czy Tucker Carlson. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik po persjarniach

JACEK KOMUDA

Dziś, kiedy wraca moda staropolska polegająca na noszeniu pasa kontuszowego do garnituru czy fraka, warto przypomnieć sobie, skąd wzięły się w Polsce te ozdoby, kojarzące się jednoznacznie z naszym strojem narodowym. Tkane pasy jedwabne, przetykane złotem i srebrem, pojawiły się w połowie XVII w., jednak największą popularność zyskały na początku kolejnego stulecia, za panowania Augusta II Sasa. Początkowo były one przywożone z Turcji i Persji przez Ormian zajmujących się tradycyjnie handlem ze wschodem. Jak podaje Magdalena Bartkiewicz w „Polskim ubiorze", od 1722 r., kiedy zamknięte zostały perskie manufaktury tkanin złotolitych, ich produkcja – przeznaczona na eksport do Polski – rozwinęła się w Stambule, gdzie tkano piękne pasy zdobione motywami roślinnymi, złociste lub niebieskie.

Zwykle pasy takie posiadały dwie, a nawet cztery strony z odmiennymi wzorami, co przy odpowiednim odwróceniu umożliwiało pokazanie się w innej barwie. Były bardzo długie – do 9 łokci, czyli ok. 4,5–5 m długości, co wystarczało do trzykrotnego opasania się. Pasy bywały, jak podaje Gloger: „Letnie i zimowe, powszednie i świąteczne, mundurowe i żałobne."

Ogromna popularność pasów w Polsce sprawiła, że w połowie XVIII stulecia zaczęły powstawać na naszych ziemiach pierwsze krajowe manufaktury zwane „persjarniami". Najsłynniejszą, prowadzoną od 1758 r. przez dwóch polskich Ormian – Jana i Leona Madżarskich – była radziwiłłowska, początkowo działająca w Nieświeżu, a później w Słucku na Litwie. Wytwarzane tutaj pasy były dwustronne, a każda

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ich połowa odznaczała się inną barwą, co sprawiało, że łatwo można było dopasować je kolorem do stroju. Były one także lite albo półlite, co oznaczało, że albo w całości tkane ze złoconych lub srebrzonych nici, albo też wykonywane z nich tylko w połowie.

Manufaktura działała w budynkach dawnych koszar w Słucku. Jej pierwszym dyrektorem i dzierżawcą był Jan Madżarski, który zresztą w 1761 r., jak pisze Wojciech Aleksander Siwek, uciekł z Nieświeża wraz z dwoma uczniami i dwoma pasami. Ścigany przez służbę Radziwiłłów odnaleziony został w Brodach i sprowadzony, jednak ułożył się na nowo z właścicielami dóbr. Persjarnia miała tkać przede wszystkim pasy, a także dywdyki, czyli zdobione czapraki na konie i makaty. W manufakturze pracowało dwóch czeladników, którzy w 1760 r. otrzymywali 4 złote tygodniowo, a także kilku chłopców do pomocy, którzy jednocześnie uczyli się zawodu. W sumie zatrudniano tutaj początkowo jedynie sześć osób. Ciekawe, że Madżarski mógł w persjarni tkać własne wyroby, pod warunkiem iż były sporządzane z zakupionych przez niego materiałów, i dowolnie je sprzedawać, ponieważ wynagrodzenie otrzymywane od Radziwiłłów było skromne i wynosiło tylko 1 zł na tydzień, a więc mniej niż pensja czeladnika.

Wkrótce na terenach Rzeczypospolitej pojawiały się kolejne persjarnie. W 1768 r. powstała manufaktura grodzieńska założona przez Antoniego Tyzenhausa, podskarbiego nadwornego litewskiego. Był to element realizowanego przez dygnitarza uprzemysłowienia okolic Grodna, które jednak skończyło się krachem finansowym i oskarżeniem go o malwersację, a nawet – o przygotowywanie zamachu na króla Stanisława Augusta.

Kolejne manufaktury pasów powstały w pobliżu Warszawy – jedna w dzisiejszej Kobyłce, druga w Lipkowie. Pierwszą założył w 1778 r. Aleksander Unrug, właściciel dóbr, początkowo kierował nią Francuz Szczepan Filsjean, następnie zaś jego rodak Franciszek Selimand, który wcześniej pracował w persjarni grodzieńskiej. Manufaktura w Kobyłce działała do 1794 r., składała się z 24 warsztatów tkackich produkujących miesięcznie ok. 60 pasów. Ciekawe, że część wyposażenia persjarni w Kobyłce pochodziła ze zbankrutowanej manufaktury w Grodnie. Było to 12 warsztatów „do roboty jedwabnej", 20 grzebieni, prasa i dwa stalowe młynki do drutu srebrnego lub złotego z kołowrotkami.

Niestety, koniec Rzeczypospolitej oznaczał zarazem początek końca persjarni w Koronie i na Litwie, które rozkwitały zwłaszcza w okresie Sejmu Wielkiego w Krakowie, w Korcu, w Gdańsku i innych miastach. Rzadko która doczekała nadejścia nowego, XIX w. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

MGS5 EV

FOT. JAP

To zaskakująco fajny elektryczny SUV. I to nie tylko dlatego, że jest dynamiczny i od zera do setki przyspiesza w zaledwie 6,3 s. Ten model brytyjsko-chińskiej marki da się lubić, bo potrafi budzić emocje z jazdy niczym stary, dobry samochód spalinowy.

Auto jest bardzo dobrze wyciszone i – jak na samochód rodem z Państwa Smoka – ma dość precyzyjny układ kierowniczy. Pod maską mierzącego 4,5 m samochodu w odmianie Long Range pracuje elektryczny silnik o mocy 231 KM. Moment obrotowy wynosi 350 Nm, a prędkość maksymalna to 190 km/h. W cyklu mieszanym na jednym ładowaniu można według producenta przejechać do 480 km. Do tego potrzeba jednak ekologicznego stylu jazdy. Jeśli zbyt często ulega się pokusie dynamicznej jazdy, to zasięg maleje. Tak czy owak, niemal 400 km da radę zrobić nawet przy mniej delikatnym traktowaniu pedału gazu. Plusem jest też rzeczywiście szybkie ładowanie. Od 10 do 80 proc. samochód ten można naładować w niecałe pół godziny.

Wygląd może budzić kontrowersje. Początkowo przód tego modelu absolutnie mi się nie podobał. Z dnia na dzień coraz bardziej się jednak do niego przekonywałem. Z tyłu MGS5 EV wygląda jak większość współczesnych SUV-ów: główną rolę gra pas świetlny poprowadzony przez całą szerokość klapy. Nieco sportowego charakteru dodaje subtelny spojler dachowy.

Jako SUV z pewną domieszką VAN-a MGS5 EV oferuje ponad 30 różnego rodzaju schowków (w tym superpraktyczny schowek na smartfona, którego można postawić pionowo w konsoli centralnej) oraz sporo miejsca dla pasażerów (nawet podróżujący z tyłu mają w tym modelu sporo przestrzeni na nogi i nad głową). Jakość materiałów wykończeniowych jest dobra, a ich spasowanie wręcz bardzo dobre. W podstawowej wersji Excite w kabinie znajdują się podgrzewane fotele kierowcy i pasażera, podgrzewana kierownica, a także dwa ekrany: 12,8-calowy systemu infotainment oraz 10,25-calowy wyświetlacz zegarów. Wariant Exclusive ma też na pokładzie dwukolorowe fotele z ekoskóry, kamerę 360 stopni oraz fotel kierowcy regulowany elektrycznie w sześciu kierunkach z ręczną regulacją podparcia lędźwiowego (szkoda jednak, że pasażer nie może liczyć na elektroniczną regulację fotela). Elektryczny SUV od MG bez problemów obsługuje także bezprzewodowo systemy Apple CarPlay i Android Auto. Zabrakło jednak modnego oświetlenia ambientowego.

Dobrze, że konstruktorzy tego modelu nie usiłowali na siłę wrzucić wszystkich funkcji do systemu multimedialnego. Mamy zatem oddzielne pokrętła i przyciski, np. do szybkiej obsługi klimatyzacji czy zmiany głośności. Bardzo praktyczny jest też przycisk „home", który umożliwia błyskawiczne przejście do głównego ekranu. Bagażnik ma 453 l pojemności.

Wariant ze standardowym zasięgiem kosztuje 143,9 tys. zł w wersji Excite oraz 153,9 tys. zł w odmianie Exclusive. Wydłużony zasięg (wersja Long Range) w obu wariantach wyposażenia wymaga 15 tys. dopłaty. ©℗

REALME 16 PRO+

Przepiękny, jasny ekran OLED z obsługą HDR10+, świetne aparaty fotograficzne, pojemna bateria oraz eleganckie wzornictwo – to największe zalety najnowszego smartfona ze średniej półki chińskiej marki realme.

Eleganckie wzornictwo to efekt współpracy Chińczyków ze znanym japońskim projektantem Naoto Fukasawą. Smukła obudowa (8,49 mm) wykonana z biopolimeru pochodzenia organicznego ma miękką i sprężystą teksturę przypominającą skórę. Nie tylko efektownie to wygląda, lecz także ma walor praktyczny: ogranicza ślizganie się smartfona w dłoni. Według producenta testowany model spełnia normy IP68 i IP69K (to najwyższa ocena w międzynarodowej skali stopnia ochrony przed pyłem i wodą). Ekran jest z kolei zabezpieczony szkłem Gorilla Glass 7i. Na pochwałę zasługuje również wytrzymała bateria o pojemności 7000 mAh z możliwością szybkiego ładowania w technologii 80W SuperVOOC.

Kolejnym plusem jest 6,8-calowy wyświetlacz: jasny, ze wsparciem dla HDR10+ oraz – przynajmniej teoretycznie – z maksymalną częstotliwością odświeżania na poziomie aż 144 Hz. Największą zaletą testowanego modelu są zaś dwa świetne – zwłaszcza jak na tę półkę cenową – aparaty fotograficzne: główny (200 MP) oraz teleobiektyw (50 MP), który umożliwia 3,5-krotne przybliżenie optyczne. Taki zestaw umożliwia robienie bardzo udanych portretów (z naturalnymi odcieniami skóry) czy też uchwycenie szczegółów na zdjęciach wykonywanych teleobiektywem. Jak na smartfona ze średniej półki jakość fotografii jest świetna, również tych wykonanych w gorszych warunkach oświetleniowych. Przyczepić można się tu jedynie do efektów fotografowania przy użyciu aparatu ultraszerokokątnego (ze słabą, ośmiopikselową matrycą).

Sercem urządzenia jest energooszczędny procesor Snapdragon 7 Gen 4. Nie jest to więc smartfon dla tych, którzy oczekują maksymalnej wydajności, ale jak na średnią półkę cenową, to i tak trudno się skarżyć na kulturę pracy tego modelu. Mamy tu też oczywiście obsługę 5G.

Wady? Mnóstwo preinstalowanych totalnie zbędnych aplikacji. Przydałyby się też lepsza stabilizacja przy nagrywaniu wideo, możliwość ładowania indukcyjnego oraz potężniejszy procesor. Niezależnie od tych minusów realme 16 Pro+ to godny polecenia średniak. Zwłaszcza jeśli komuś mniej zależy na wyśrubowanej wydajności, a bardziej na możliwościach fotograficznych smartfona. Cena wariantu 8/256 GB wynosi 2299 zł, a 12/512 GB 2499 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 5b4182b876

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ozdoba domu i stołu

Wielu z nas w Wielkim Poście powstrzymuje się od alkoholu, słodyczy lub mięsa – w zależności od tego, co lubi najbardziej. Ten czas to okazja, by oprócz woli wzmocnić też organizm. Najlepiej, gdy dodatkowo wspomożemy proces odtruwania. I tu w sukurs przychodzi nam karczoch – wyjątkowo piękna roślina, o silnie prozdrowotnym działaniu – zwłaszcza wspierającym wątrobę.

– Jak karczocha przyrządzić? – zapytałyśmy sprzedawcę. – Normalnie, jak kalafiora – odparł miły człowiek, po czym podsunął nam jeszcze kilka innych propozycji. Można ugotować go w osolonej wodzie z dodatkiem soku z cytryny albo upiec z dodatkiem oliwy i z przyprawami. Świetnie pasują do niego czosnek, oregano czy czerwona papryka. Doskonałe są karczochy marynowane w dobrej oliwie z przyprawami i mogą być dodatkiem do sałatek, kanapek czy

FOT. ADOBE STOCK

obiadu. Takie marynowane karczochy możemy przygotować w domu i przechowywać w słoiku. Karczochy to niedojrzałe kwiatostany, które są zbierane, zanim rozkwitną. Najcenniejsze jest serce karczocha, które znajduje się wewnątrz kwiatostanu. Jego właściwości zdrowotne są wyjątkowe – przede wszystkim zawiera błonnik, witaminy A, C, E i K, z grupy B i kwas foliowy, a także inulinę, czyli naturalny prebiotyk. Jednak najważniejszym bogactwem karczocha i jednocześnie najważniejszym związkiem aktywnym jest cynaryna, która wspiera pracę wątroby i wykazuje działanie hepatoprotekcyjne. Pomaga w przypadku marskości czy stłuczenia wątroby, reguluje poziom cholesterolu i wspomaga odchudzanie. Szkoda, że ta cudowna roślina jest tak mało popularna w Polsce, ale przecież możemy to zmienić, do czego serdecznie namawiamy!

Tagliatelle z karczochem i suszonymi pomidorami lub karczochy pieczone

Świeże karczochy najlepiej opłukać, obrać z twardych liści, obficie nasmarować oliwą z oliwek i sokiem z cytryny, posypać przyprawami, solą, oregano i czosnkiem przeciśniętym przez praskę. Piec pod przykryciem ok. 40–50 min w temperaturze 180 st. C. Karczochy po wyjęciu posypujemy tartym parmezanem, polewamy jeszcze oliwą z oliwek i sokiem z cytryny. Możemy zjeść ze świeżą bagietką lub wykorzystać do makaronu.

• makaron tagliatelle – ok. 100 g na jedną osobę • pomidory w oliwie suszone – 4 duże kawałki • pieczone karczochy ½ • suszona szynka parmeńska – 2 plasterki • ser parmezan – duża łyżka • 1 ząbek czosnku, świeża bazylia • oregano, sól, pieprz do smaku • olej z suszonych pomidorów

Makaron gotujemy zgodnie z przepisem. Na patelni rozgrzewamy olej z pomidorów, pokrojony ząbek czosnku podsmażamy, dodajemy szynkę pokrojoną na drobne kawałki, przyprawy, pomidory i pieczonego karczocha, którego również kroimy. Na koniec dodajemy ugotowany makaron. Wszystko razem mieszamy i posypujemy tartym parmezanem. Dekorujemy świeżą bazylią. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wiosna, ach to ty

Dlaczego pierwsi zawsze rozbierają się mężczyźni? Nie mam na myśli chippendales na wieczorze panieńskim. Chodzi o Las Kabacki, teren moich codziennych spacerów. Pierwsi w T-shirtach i szortach po zimie występują przeważnie rowerzyści albo biegacze. Lubię ten pierwszy zwiastun wiosny.

Ale starsi panowie sunący z godnością, jeszcze ubrani zimowo, spoglądają z politowaniem na gołe łydki cyklistów. Panie także otulone: puchówka, czapka. Dziewczyna ubrana na letnio zdarza się, to raczej rowerzystka. Ale generalnie panie są mniej odważne. Jednak wielu dzierży w rękach zdjęte szaliki i kurtki. Przyznają, że źle ocenili temperaturę. Pogoda zaskoczyła turystów, jak zima drogowców.

– Nie wyletniaj się, bo się zaziębisz – mówiła moja mama i goniła mnie z czapką, którą zdejmowałam zaraz po zniknięciu za rogiem. – Maciek znowu się wyletnił, a mówiłam, żeby włożył sweter – narzekała mama na mego brata, który wiosną rytualnie rozłożył się na anginę. Teraz nie zauważyłam, żeby ktoś używał słowa „wyletnić się". To jedno z tych słów starego pokolenia, które przejęliśmy my, młodsze, ale też już niemłode. Może nikt się już nie wyletnia?

Generalnie czas przechodzenia od zimy do lata poprzez wiosnę był i chyba jest także dzisiaj okresem przeziębień i angin. Doktor Czyżewicz ze swoim skórzanym neseserkiem w marcu bywał w naszym milanowskim domu częstym gościem.

Wyrosłam w czasach ciepłych i ciężkich płaszczyków, czas puchowych kurtek i polarów jeszcze nie nadszedł. Przeszedłszy kurs dziecinnego przegrzewania i znienawidzonych rajtuzów (drapały, gryzły i w ogóle były ohydne), własne dzieci starałam się ubierać lekko, chociaż w latach 70. i 80. czas puchówek też jeszcze nie nadszedł.

Moja mama nie przewidziałaby, że kilkadziesiąt lat później mogłaby mnie gonić, nie z czapką, ale ze skarpetkami. Przyjęłam z entuzjazmem i ulgą modę na gołe stopy, ponieważ nienawidzę skarpetek. Nie odstraszają mnie zziębnięte łydki, na które czasem patrzą ze zgrozą pasażerowie w metrze.

Jak to jest z tymi reakcjami na zimno? Mieszkańcy ciepłych krajów są wrażliwsi na zimno niż my, nordycy. Kiedy nasze dzieci chodziły do szkoły w Meksyku, jak zaczynała się zima – temperatura spadała do mniej więcej 10 stopni plus – mali Meksykanie przychodzili w futrzanych czapkach zakrywających uszy i czoła, z szalikiem na buzi. Meksyk leży na wysokości 2000 metrów i rzadko jest tam gorąco mimo strefy podzwrotnikowej. Kiedy raz spadł śnieg, dzieci zbierały go i wkładały do lodówek. A mamy miały jedną z rzadkich okazji, żeby włożyć futro. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O niewypałach i bluźnierstwach

Biali suprematyści 7 marca wyznaczyli sobie spotkanie pod rezydencją burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego na Manhattanie pod hasłem: „Zatrzymać przejmowanie N.Y.C. przez islamistów". Na to dictum postępowcy postanowili odpowiedzieć kontrdemonstracją w tym samym czasie i miejscu: „Wygnać nazistów z Nowego Jorku".

Na tę drugą 18-letni Emir Balat i 19-letni Ibrahim Kayumi pofatygowali się samochodem z Pensylwanii. Przywieźli ze sobą dwie wykonane w domu bomby. Ładunki wybuchowe umieścili w pojemnikach z potężnymi śrubami i nakrętkami. Obie bomby z zapalonymi lontami rzucili w demonstrujący tłum suprematystów, ale na szczęście nie wybuchły. Sprawcy zostali schwytani, a policyjni eksperci ocenili, że gdyby zamach się udał, mogłoby zginąć kilkanaście osób, a kilkadziesiąt odnieść rany. W ich samochodzie policjanci znaleźli notatnik z opisem, jak skonstruować bombę. Sprawcy tłumaczyli, że są bojownikami Państwa Islamskiego, być może przekonani, że należą im się prawa kombatanckie. Nieco podobnie zachowywali się fanatyczni zamachowcy włoskich Czerwonych Brygad pół wieku temu. Aresztowani deklarowali, że są więźniami politycznymi, a nie pospolitymi mordercami, bo kierowali się szlachetnymi celami walki o lepsze jutro.

Naturalnie nie sposób pogodzić się z rasowymi teoriami białych suprematystów w ogóle, a miłośnikom sportu czy jazzu w szczególe. Nie wiem, u kogo obaj zamachowcy pobierali nauki. Być może byli to wychowawcy na wzór postępowego nauczyciela elitarnego rzymskiego liceum, który pouczał, że faszystów bić można, a nawet trzeba. Rzecz jasna, zdaniem pedagoga decyzja o tym, kto jest faszystą, należy do jaśnie oświeconych postępowych elit. Na razie profesorek został zawieszony na pół roku. Towarzyszy mu aura męczennika.

O niedoszłym zamachu w kuriozalnych słowach opowiadała strona internetowa CNN: „Dwóch nastolatków pojawiło się w sobotę rano w Nowym Jorku. Mógł to być dzień uciech i rozrywki. Ale już godzinę później w ich życiu doszło do dramatycznego wstrząsu: zostali aresztowani za próbę zamachu bombowego". Słowem, biedni chłopcy. Wobec protestów dyrekcja CNN przepraszając, usunęła tekst ze strony.

A w północnej Anglii władze oświatowe wezwały nauczycieli do wzmożonej czujności, bo rysunki dzieci, lekcje tańca i muzyki, a także WF mogą zawierać elementy godzące we wrażliwość uczniów wyznających islam i ich rodziców. Mogą je zrozumieć jako bluźnierstwa. Z drugiej strony kanału La Manche kłania się w pas Michel Houellebecq, autor słynnej „Uległości". ©℗

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Is it safe?

Ja już nie mogę z tym SAFE. Znowu mamy wojnę plemienną na dwóch dobrze zdywersyfikowanych planszach. Dla plemion wszystko jest jasne, kłopot z tymi wahającymi się, choć jeśli chodzi o akceptację prezydenckiego weta do tego projektu, to mamy do czynienia z dwiema sprzecznymi narracjami. Jedne ośrodki badawcze dowodzą, że Polacy popierają weto, inne że – odwrotnie – ganią je. Ale dawno już publiczność przyzwyczaiła się do traktowania polskich badań opinii nie jako detektora nastrojów społecznych, ale jako narzędzia kształtowania niewyrobionych poglądów Polaków. Nie wiadomo więc, jakie są sądy rodaków, ale okazuje się, że to ma coraz mniejsze znaczenie.

SAFE w wersji brukselskiej jest już podobno dawno klepnięty na poziomie zobowiązań unijnych. To dlatego polska ustawa, o której tyle awantur, nie mówi o tym, kto dostanie co, za ile ma się oddać itd. Opisuje tylko instrumenty i instytucje finansowe, przez które będzie szła umówiona już kasa. Pozostaje tylko odwieczny dylemat: Czy jak to nasi podpisali w Brukseli, bez zgód wymaganych przez polskie prawo, to się to liczy czy nie? I kto to odda, jak się okaże, że był to nielegalny ruch?

Najbardziej dziwi histeria medialna. Przesadzono mocno z oficjalnymi środkami wyrazu. Nagle okazało się, że jeszcze wczorajsza 20. gospodarka świata (tak bardzo promowana przez premiera) nie poradzi sobie z zakupem (od własnych fabryk!) broni na wyposażenie policji i Straży Granicznej, nie ma też – bez pożyczki na ponad 40 lat, w obcej walucie, ze zmiennym oprocentowaniem i politycznym warunkowaniem – szans na kupienie policjantom kamizelek kuloodpornych. Notabene chodzi o kamizelki zawnioskowane przez szefa policji na okoliczność zwiększenia się przestępczości związanej z obecnym wzrostem migracji od naszego wschodniego sąsiada walczącego z Rosją oraz naszego przygotowania się na Ukraińców, którzy – w przypadku demobilizacji w wyniku zbliżającego się (?) rozejmu – mają się u nas pojawić, niekoniecznie zadowoleni ze swego losu.

Okazuje się, że kraj wydający na militaria co roku ze 200 mld zł (tyle samo co wojująca Ukraina!) bez tej pożyczki to by zginął. Wojsko – bez broni, policja – bez kamizelek. Tak jakby te 5 proc. polskiego PKB rozwiewało się gdzieś, a żeby wzmocnić polskie wojsko, trzeba koniecznie coś pożyczyć, może naklejać na kupione z brukselskiego SAFE czołgi jakieś serduszka à la Owsiak? Plemiona wiedzą swoje, jednak ich walka odbywa się na tematy zadane i nikt nie spyta, na co w takim razie idzie ta nasza zabudżetowana, a nie pożyczona kasa. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Pierwsza kroczy pycha

Niepokojące słowa padają ostatnio z ust amerykańskich polityków. Sekretarz wojny USA ogłosił, że wojna z Iranem nie miała być „uczciwą walką". „Uderzamy w nich, kiedy leżą, i słusznie. Będziemy uderzać dalej, aż nie będzie już kogo bić" – deklarował Pete Hegseth. Cytaty można mnożyć. „Nie brać jeńców, nie okazywać litości wrogom. Jeśli nie chcieli ginąć, to nie powinni stawać na drodze amerykańskiej sprawiedliwości".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

„Irańczycy zeszli do podziemi, kuląc się ze strachu. Tak zachowują się szczury. Nie polujemy już na armię, oczyszczamy teren z plagi szkodników". „Iran nie ma już obrony przeciwlotniczej, lotnictwa ani marynarki. Żadna współczesna armia nie została zniszczona tak szybko". W podobnym duchu wypowiada się Donald Trump. „Pozwólcie mi powiedzieć, że wygraliśmy tę wojnę. Już w pierwszej godzinie było po wszystkim" – zapewniał amerykański prezydent. „Okazało się to dla nas łatwiejsze, niż myśleliśmy" – mówił.

Równo 111 lat temu, w marcu roku 1915, potężna flota brytyjska i francuska szykowała się do opanowania cieśnin tureckich. Brytyjski admirał Jackie Fisher nie spodziewał się problemów: „Turecki marynarz to gnuśny azjatycki chłop, który boi się huku własnych dział. Ich flota to sterty zardzewiałego żelaza, obsługiwane przez ludzi pozbawionych umiejętności technicznych i dyscypliny. Jeden nasz cios zamieni ją w proszek". Zadufanie dowódców podzielali politycy. Winston Churchill zapewniał: „Samo pojawienie się floty alianckiej na Morzu Marmara wystarczy, aby wywołać w Stambule panikę i bez jednego strzału doprowadzić do upadku rządu […]. Turcja jest tylko cieniem samej siebie, padliną, którą rozszarpiemy, gdy sforsujemy cieśniny. To naród w stanie agonii, niezdolny do stawienia czoła nowoczesnej machinie wojennej".

Armada przeznaczona do sforsowania Dardaneli była potęgą, przy której siły obrońców zdawały się żałosne. Alianci (ententa) zgromadzili setki nowoczesnych okrętów, w tym aż 18 potężnych pancerników. Był wśród nich najnowocześniejszy wówczas na świecie superdrednot „Queen Elizabeth", uzbrojony w działa kalibru 381 mm. Koszt budowy takiego okrętu wynosił w roku 1915 ponad milion funtów, równowartość 1,5 mld dzisiejszych dolarów. Na jego pokładzie służyło ok. tysiąca marynarzy.

Przewaga aliantów na morzu wydawała się absolutna. Chroniące wejścia do cieśnin przestarzałe forty tureckie zostały szybko zniszczone ogniem artylerii okrętowej. Turcy zapewne „leżeli", używając metafory Pete'a Hegsetha. Sytuacja zmieniła się jednak w nocy 7 marca 1915 r., kiedy obsługiwany przez 40-osobową załogę, niewielki turecki stawiacz min „Nusret" w straceńczo odważnej misji umieścił u brzegów cieśniny jedynie 26 ładunków wybuchowych, z których każdy kosztował ówcześnie 50 funtów brytyjskich (dziś byłoby to 6 tys. dol.).

Dzień sądu dla floty aliantów nadszedł 18 marca 1915 r. Trzy pancerniki zatonęły po wejściu na miny, trzy kolejne zostały ciężko uszkodzone. Zginęły tysiące marynarzy. Z planów „rozszarpania tureckiej padliny" musieli Brytyjczycy zrezygnować. Wysłana Turkom na pomoc pojedyncza niemiecka łódź podwodna U-21 (załoga – 30 osób) w maju 1915 r. zatopiła dwa kolejne brytyjskie pancerniki. Próba odblokowania Dardaneli przez wysadzenie desantu lądowego także zakończyła się klęską. Turcy, broniący własnej ziemi, okazali się żołnierzami najwyższej próby. Straty aliantów sięgnęły 200 tys. zabitych i rannych.

Już starożytni Grecy uważali ludzką pychę („hybris") za zwiastunkę najgorszych klęsk. Brytyjczycy oparli swą „hybris" na druzgocącej przewadze technologicznej, liczebnej, operacyjnej i materiałowej. Najlepiej wyszkolona i wyposażona machina wojenna świata została jednak spektakularnie upokorzona przez „azjatyckich chłopów" w czymś, co dzisiejsi eksperci nazwaliby „konfliktem asymetrycznym". Niebawem przekonamy się pewnie, czy jej współczesna wersja, tym razem w cieśninie Ormuz, poradzi sobie lepiej. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Szlocha Sekwana. Jęczą rzeki chińskie...

Gdy 5 marca 1953 r. przestało bić serce towarzysza Stalina, wodza całej postępowej ludzkości, polscy komuniści rozpętali wielką, propagandową machinę, wyreżyserowany spektakl powszechnej żałoby. „Cała prasa utonęła w wazelinie, zakrztusiła się od nibyjęku, zachłysnęła śliną nieprzytomnych pochlebstw i ostentacyjnej pseudorozpaczy" – pisał Leopold Tyrmand. Rozszlochali się też, wylewając krokodyle łzy, polscy pisarze, również najwybitniejsi, sławiąc tyrana i największego, obok Hitlera, zbrodniarza XX w., zdaniem Jana Nowaka-Jeziorańskiego było to „największe poniżenie polskiej literatury". Powstawały żałobne treny, peany, panegiryki, elegie, których ich autorzy bardzo się potem wstydzili, nigdy nie przedrukowywali, tłumacząc, że nic o zbrodniach Stalina nie wiedzieli, że się bali, choć za odmowę nie groziły represje, ale marginalizacja, milczenie. Nie napisali nic wartościowego, autentycznego, wyłącznie stereotypowy, sztampowy chłam, pełen ogólników o Ojcu Narodów, często niemal bałwochwalczy, przypisujący mu cechy Boga, nadczłowieka, o nadprzyrodzonych mocach.

Rozszlochali się po śmierci Stalina, wylewając krokodyle łzy, polscy pisarze, również najwybitniejsi, sławiąc tyrana i największego, obok Hitlera, zbrodniarza XX w.

Wyróżnił się jedynie napisany już wcześniej, na 70. rocznicę urodzin Chorążego Pokoju, poemat Władysława Broniewskiego: „Pędzi pociąg historii, / błyska stulecie-semafor. / Rewolucji nie trzeba glorii, / nie trzeba szumnych metafor. / Potrzebny jest Maszynista, / którym jest On: / towarzysz, wódz, komunista – / Stalin – słowo jak dzwon!". Gdy Marek Hłasko przypomniał mu, że Ziutek-Słoneczko wymordował 20 milionów, wściekły Broniewski zadzwonił na UB, Hłasko salwował się więc ucieczką.

Szczytem serwilizmu była też „Rzeka" Adama Ważyka, sławiąca nadprzyrodzoną moc Wodza: „Mądrość Stalina / rzeka szeroka / w ciężkich turbinach / przetwarza wody / płynąc wysiewa / pszenicę w tundrach". Żartowano, że najdłużej opłakiwał Go Artur Międzyrzecki, przyszły prezes PEN Clubu, autor „Marca 1953" o kilkunastu zwrotkach: „Płakaliśmy w Warszawie / Na Śląsku, na dumnym Helu [...] / Odeszli Lenin i Stalin / Ale nie umrą nigdy". Wyjątkowo agresywny był „Ten dzień" Wisławy Szymborskiej, pisany, jak przyznawała, „drżącą ręką, z bólem i łzą", nawołując do czujności: „Pod sztandarami rewolucji / wzmocnić warty! / Wzmocnić warty u wszystkich bram!". Uczcił też Stalina jej ówczesny mąż, Adam Włodek: „Przypominał, jak wielkim ma na ziemi być człowiek / ale człowiek – pośród towarzyszy". Zbłaźniła się znakomita poetka, Anna Świrszczyńska, tłumacząc z koreańskiego tren Fak Ten Sika, niemalże erotyk o miłości do Stalina osieroconego ludu koreańskiego, któremu przyniósł wiosnę: „Tyś umiłowany / najczulszym miłowaniem / tak miłuje się tylko przyjaciela i wodza. / Wspólna nasza boleść / rosyjscy druhowie Stalina".

Rozpaczał również Gałczyński: „Krzyczy Wołga. Szlocha Sekwana / Woła Dunaj / Jęczą rzeki chińskie / Broczy Wołga jak otwarta rana / Lamentują potoki gruzińskie". Nie zabrakło też wśród żałobników płomiennego Wiktora Woroszylskiego: „Jest takie jedno słowo / Synonim wielu pięknych słów / Słowa wolność, słowa radość, słowa pokój, słowa socjalizm / przy którym wszyscy wstają i klaszczą / Stalin".

„Cóż za podłość, cóż za tchórzostwo, cóż to za kanalie!" – wściekał się w swoim dzienniku emigrant Jan Lechoń. Opłakiwali też Wodza: Jan Brzechwa, Jerzy Ficowski, Leon Pasternak, Arnold Słucki, Włodzimierz Słobodnik, Anatol Stern, Tadeusz Nowak, Tadeusz Urgacz. W specjalnych, żałobnych numerach czasopism oddawali mu hołd prozaicy. Leon Kruczkowski: „Kochaliśmy Go, Jak Ojca i Przyjaciela". Julian Przyboś: „Jego śmierć oniemia". Kazimierz Brandys: „Życie nasze było piękniejsze, ponieważ odczuwaliśmy jego obecność", Jerzy Andrzejewski: „Znienawidzony przez wrogów ludzkości, a kochany przez ludzkość – był jej dumą", Tadeusz Breza: „Ten, który nauczył nas hartu", Julian Tuwim: „Przed taką trumnę przychodzi się z pochyloną głową. Ale odchodzi się od takiej trumny z głową podniesioną". Tadeusz Konwicki: „Nasza miłość do Józefa Stalina nie jest abstrakcyjna. Bo nawet młody polski literat, który mozoli się nad swoją pierwszą książką, żyje cichą nadzieją, że przeczyta ją kiedyś Stalin". ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

ZOSTAŁ SAM

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Świątynia Grobu w Jerozolimie to miejsce, gdzie Chrystus został złożony do grobu, ale przede wszystkim miejsce Zmartwychwstania.

W Niedzielę Wielkanocną wznosi się okrzyki: CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ. Huczna radość, bicie w dzwony, strzelanie na wiwat, petardy i trąby. W tym roku przy Grobie Pańskim będzie martwa cisza, bo Izraelici zamknęli to miejsce i zakazali świątecznych obchodów, odprawiania Mszy.

Zakaz wstępu „do odwołania" z powodu wojny z Iranem. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy w ciągu dwóch tysięcy lat historii chrześcijaństwa. Ani w czasie wojen krzyżowych, ani w trakcie wojen światowych, ani w pandemii…

W tym samym czasie żydzi w Izraelu mogą się swobodnie gromadzić w synagogach. Żydowskie obchody święta Paschy nie zostały zakazane.

Świat milczy grzecznie i tchórzliwie. Nie słychać papieża, nie ma nacisków na władze Izraela płynących ze świata. Krzyk protestu słychać tylko w sieci i ten, kto protestuje, zostaje oznaczony jako antysemita.

***

Jak wygląda wojna z Iranem z perspektywy kilku tygodni?

Oświadczenia Białego Domu w tej sprawie były takie:

Tydzień 1: Zwyciężyliśmy.

Tydzień 2: Wygrywamy.

Tydzień 3: Oczekujemy pomocy.

Sojusznicy z NATO pomoc zadeklarowali, ale nie rwą się z jej udzielaniem. Zresztą nie bardzo mają czym pomagać, bo w NATO był jeden silny, a reszta chowała się za plecami tego silnego i liczyła, że w razie czego Ameryka znów obroni Europę swoimi siłami, tak jak to było w czasach Hitlera.

Armie w Europie są słabe. Były osłabiane celowo – wydatki na zbrojenia to mnóstwo pieniędzy, które można przeznaczyć na socjal i dzięki temu wygrywać kolejne wybory. Europa oszukiwała Amerykę, nie płaciła składek do NATO, nie wydawała pieniędzy na swoje uzbrojenie i dlatego teraz jest słaba.

Ten kolosalny kredyt, który chce się wcisnąć Polsce i wielu innym krajom, to dowód, że Europa nie ma broni. Gdyby miała, nie byłby potrzebny kolosalny kredyt. Dodatkowo Europa w ostatnich latach utopiła całą masę swoich zapasów uzbrojenia na Ukrainie. Rozdawaliśmy wszystko, co się rozdać dało. I za każdym razem z uzasadnieniem, że to nam niepotrzebne, bo stare, tamto niepotrzebne, bo właśnie zamówiliśmy nowe…

Za każdym razem, gdy wysyłaliśmy na Ukrainę kolejne porcje sprzętu lub amunicji, władza mówiła nam, że ten sprzęt jest w zasadzie do niczego nieprzydatny w Polsce, bo jest przestarzały. Aha, czyli w Polsce jest przestarzały i nieprzydatny do prowadzenia skutecznej obrony, ale po przejechaniu granicy traci wady i zaczyna być sprzętem dostatecznie dobrym, by powstrzymać Ruskich i osłaniać całą Europę przed Putinem.

To w zasadzie obraźliwe dla polskich żołnierzy – władza mówi, że w polskich rękach sprzęt byłby bezużyteczny, ale jednocześnie władza mówi, że ten sam sprzęt w rękach żołnierzy ukraińskich będzie skuteczny. Z tego prosty wniosek, że polskie wojsko jest gorsze od ukraińskiego – tamci potrafią powstrzymać Ruskich byle czym, nawet przestarzałym, a nasi muszą mieć wszystko nowe, bo inaczej klapa.

***

Iran udowodnił, że Stany Zjednoczone są słabsze, niż się wszystkim wydawało.

Opór Iranu i blokada cieśniny Ormuz spowodowały, że zniesiono sankcje na handel ruską ropą i Putin znowu zarabia. I po trzecie: Iran tak długo walił rakietami w Izrael, że Żelazna Kopuła nad Izraelem się wyczerpała i już jej nie ma. Bo kopuła to system urządzeń do wykrywania i zestrzeliwania w powietrzu nadlatujących pocisków. Ten system jest skuteczny tylko wtedy, gdy ma czym strzelać. Obecnie już nie ma czym, a dostaw nowych pocisków z USA nie ma, bo Stany Zjednoczone zaczynają odczuwać niedobory we własnym uzbrojeniu. Spory zapas amerykańskiej amunicji i rakiet utopiono na Ukrainie, a wcześniej Biden porzucił KOLOSALNĄ masę uzbrojenia w Afganistanie. Przemysł amerykański jest silny i się rozwija, ale żołnierze strzelają w Iran tak szybko, że fabryki nie nadążają z uzupełnieniami.

***

Są ludzie, którzy potrafią to policzyć – szybkość strzelania porównać z wydolnością uzupełnień z magazynów i fabryk. Są dane w sieci, które da się pozbierać. Dane oficjalne, którymi Ameryka chwaliła się wcześniej – ile to mamy pocisków takich i siakich, jak mocno Trump uzupełnił zapasy broni, ile nowych zamówień się realizuje…

Gdy władza się chwali, to pewnie zawyża oficjalne dane lub przynajmniej zaokrągla końcówki w górę. Nie da się sprawdzić dokładnie, o ile zawyżyli podawane liczby zapasów amunicji, rakiet i sprzętu, ale… można zacząć liczenie od tych danych zawyżonych. Co nam wychodzi teraz?

Ameryce zostało zapasów amunicji na jeden tydzień strzelania na Bliskim Wschodzie. Co potem?

Wojna z Iranem nierozegrana, niedokończona, bo nie ma czym strzelać, Trump musi się wycofać bez zwycięstwa. Albo… musi uszczuplić strategiczne zapasy w innym miejscu, czyli OSŁABIĆ obronę kontynentu amerykańskiego, lub zabrać zapasy broni z Europy i osłabić obronę Europy lub Tajwanu, lub, lub… I co wtedy?

Wtedy Chińczycy mogą skoczyć na Tajwan i Ameryka straci przyczółek w tamtej części świata, przestanie kontrolować Morze Południowochińskie, czyli strefa wpływów Ameryki się skurczy, a strefa wpływów chińskich się poszerzy. Niedobrze.

Co jeszcze można zrobić?

Kończą się zapasy rakiet normalnych, więc sięgamy po broń nuklearną? No ale co potem z tym rozwalonym Iranem? Amerykańskie wojsko wkracza z butami jako siła okupacyjna? I co dalej? Ruscy się ruszą? Oni też potrafią policzyć, ile jeszcze broni ma Trump – tydzień strzelania.

Zadziwiające, że Trump się tym razem tak kolosalnie przeliczył. Nigdy do tej pory mu się to nie zdarzyło. Umiał ryzykować i wygrywać. Umiał obrócić kryzys w zwycięstwo. Miał asy w rękawach. Zaskakiwał wszystkich. A teraz stoi sam na przegranym polu. ©℗

eprasa.pl 5b4182b876

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ",
GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK,
PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763~~ ZŁ

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5b4182b876

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

Szał Szeli – w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem.

Stalowy filantrop – Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej.

Kozielska wojna nerwów – film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny.

Czmychający Bierut – namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych.

Kod Voynicha – konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza.

Burzliwa młodość geniusza – wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie.

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5b4182b876